

Reporter



REPORTER

NR 2 - 3 KWARTALNIK JESIEN - ZIMA 86

REDAKTOR NACZELNY *Jan Ten* współpraca STUDIO GRAF X
NUMER ZŁOŻONO 16 GRUDNIA 1986 **WARSZAWA**

przewodnik po numerze

Pierwszy numer "Reportera" został dość ciepło przyjęty przez czytelników, co nie znaczy, że nie wywołał i głosów krytycznych. Dość długo musieliśmy tłumaczyć pewnej urzędniczej literackiej, że wiersz Broniewskiego "Tużaczka" ma wszelkie cechy reportażu, wierszowanego co prawda, że te same cechy ma i piękny wykład Piłsudskiego "Psychologia więźnia politycznego", jak również wspomnienie nauczycielki z Łucka z kazachstańskiej gehenny pt. "Wywózka". że coś może być jednocześnie reportażem i wierszem, wykładem i reportażem itd., że może się mieścić nie tylko w jednej szufladce. Spotkaliśmy się też z zarzutem jednego z liderów opozycji, że drukując Piłsudskiego, przyczyniamy się do tworzenia psychozy oczekiwania na wodza narodu, słowem: już dziś gruntujemy przyszłą dyktaturę jednostki. Aczkolwiek uważamy, że typ nieideologicznej dyktatury osoby jest znacznie mniej groźny dla narodu i jednostki niż dyktatura ruchu ideologicznego, co dowodnie wykazały dyktatury faszystowskie i komunistyczne i sądzimy, że jeśli grozi nam w przyszłości dyktatura, to nie Piłsudskiego, to zapewniamy, że jesteśmy zwolennikami demokracji parlamentarnej.

Wydawało nam się, że w epoce więźniów politycznych wykład Piłsudskiego należy przypomnieć, cieszymy się, że udało nam się go ponownie wprowadzić do obiegu. Z zadowoleniem przyjęliśmy fakt, że wydrukowała go ostatnio paryska "Kultura" (lipiec-sierpień 1986), a także ukazały się już przedruki krajowe (m.in. krakowskiej "Roty"). Okazuje się, że Jerzy Giedroyc, na którego biurku znalazł się pierwszy numer naszego pisma, jest nie tylko wielkim redaktorem, ale i Wielkim Czytelnikiem. Oby żył sto lat!

Ten numer ctwieramy blokiem materiałów poświęconych osobie ks. Małkowskiego, jego postawie i sprawie; zaczynamy cytatem ze Skargi: "...ksiądz się wdawa w politykę". Polityka a religia - ten splót spotykamy w dziejach Polski i ludzkości od niepamiętnych czasów. Przypomnijmy, że Chrystus w swoim czasie przywódca żydowskiej sekty religijnej, został oskarżony przez Sanhedryn, a następnie skazany przez prokuratora rzymskiego Piłata na biczowanie i ukrzyżowanie jako przestępca polityczny. (W innej wersji Piłat tylko zatwierdził wyrok wydany przez Sanhedryn, ale w każdym razie jest ustalane przez historyków, że ani Sanhedryn ani prokurator rzymski nie mogli skazać na śmierć za przestępstwo przeciwko religii żydowskiej, więc Sanhedryn przedstawił Jezusa prokuratorowi rzymskiemu jako zbrodniarza politycznego).

Dokumenty tzw. sprawy ks. Małkowskiego, które publikujemy, zapewne wywołają kontrowersje. Pragniemy uprzedzić zarzuty, iż są one wymierzone w politykę księdza Prymasa. Wręcz na odwrót: ich publikacja unaoczniając podatność kurii na sugestie władz może politycznie - w rozmowach z władzami - pozycję kurii wzmocnić, a także pokazuje opinii publicznej, przed jak ciężkimi moralnie zadaniami staje niejednokrotnie hierarchia kościelna, której rolę jest wyważanie dążeń samozachowawczych - a nawet rozrostowych - Kościoła jako instytucji z zasadami Ewangelii. Naszym zaś zadaniem było udostępnić je opinii publicznej, zobowiązując nas do tego tytuł pisma. Nie staramy się w tych materiałach prowadzić żadnej polityki ani też

propagować myśli i poglądów ks. Małkowskiego, co nie znaczy, że się do nich dystansujemy. Redakcja - i tylko redakcja - bierze odpowiedzialność za publikację tych materiałów, ale nie za każde sformułowanie i za każdą interpretację (a interpretacje będą zapewne różne). Ten blok materiałów nasunie zapewne czytelnikom pytania o sens postawy i poglądów ks. Małkowskiego. Czy nie jest on aby nazbyt manichejski? Czy nie ulega sam grzechowi pychy? Czy dostatecznie dużo w nim chrześcijańskiej pokory? Czytelnik sam musi postawić pytania i sam na nie odpowiedzieć. Najpowszechniejszym sposobem pozbawiania jednostki suwerenności jest dawanie za nią odpowiedzi.

Mieliśmy przygotowane do tego numeru fragmenty książki Pruszyńskiego "W czerwonej Hiszpanii", które wzbogaciłyby nasze spojrzenie na zagadnienie komunizm a religia. Tymczasem całość ukazała się w wydawnictwie "Nowa". Przychodzi nam tylko pogratulować. Wielki, a zapomniany dotąd reportaż.

Polecamy czytelnikom ponadto fragment książki Malapartego o Leninie. W poprzednim numerze drukowaliśmy fragment Ossendowskiego o twórcy systemu, w którym żyjemy. Mamy przygotowane leniniana i do następnych numerów, pragniemy bowiem przyczynić się do odleninienia Lenina. Curzio Malaparte w charakterystyce Lenina może się mylić, ten klasyk światowego reportażu miał bowiem skłonność do epatowania czytelnika (kosztem analizy). Dobrze jest jednak przypomnieć, że demaskował on nie tylko hitleryzm w sławnym "Kaputt", ale na wiele lat wcześniej zajmował się twórcą realnego leninizmu.

Współczesność reprezentują dwa materiały: "SB-władztwo" i "Klarnet". Pierwszy przedstawia rzeczywistość prowincjonalną, a zwłaszcza los zwykłych ludzi z małych miast, którzy nie wyrzekli się ideałów "Solidarności", natomiast drugi - fragment wielkomięskiej rzeczywistości niezależnej, która jest fragmentami zdegenerowana, fragmentami podniosła, jeszcze dość odległa od tej przedstawionej wizjonersko i w mistrzowskiej formie przez Konwickiego w "Małej Apokalipsie".

Numer zamyka materiał historyczny: szkic biograficzny Józefa Kurasia, który przeszedł do historii pod pseudonimem "Ognia". Dla nas uderzające jest podobieństwo partyzantów "Ognia" do bojowników afgańskich. Już stary Clausewitz pisał, że do walki partyzanckiej najlepiej nadaje się teren górzysty. I - trzeba dodać - ludzie gór. Warto przypomnieć też, że osamotnienie ludzi "Ognia", jak całej zresztą antykomunistycznej partyzantki polskiej drugiej połowy lat 40-tych w swej masie chłopskiej, ludowej, było znacznie większe, niż dziś Afgańczyków. Nowej Wierze dali się bowiem ukąsić dialektycznie nie tylko nasi krajowi intelektualisci, ale i zachodni, tworzący opinię międzynarodową. Jeżeli przebaczymy tym, którzy oddali się w ramiona Nowej Wiary, przebaczymy i tym, którzy stawiali jej opór.

Pseudohistorycy (pseudo jest tu właściwe) partyjno-policyjni Wałach, Machejek itd, obciążają winą "Ognia" za mordowanie Żydów. Można przypomnieć im rolę, jaką odegrali w 1968 roku i potem, można przypomnieć świeżo opublikowane w "Aneksie" (nr 39/1985) wspomnienia starego komunisty Leona Kasmana (w oprac. T.Torańskiej), ujawniające, że partyzanci Moczara też mordowali Żydów. Ale sprawa jest zbyt poważna, żeby ją tak łatwo zbyć. Najsensowniej i najobiektywniej, bezurazowo oświeć ją Abel Kainer w tekstach opublikowanych w "Krytyce" i "Tygodniku Mazowsze", obliczając, że w latach 1945-46 zamordowano w Polsce co najmniej 1500 Żydów, w tym wielu przez grupy partyzanckie, głównie NSZ. W artykule "Kielce -4 lipca 1946" pisze: "Osobnym powodem nienawiści do Żydów było postrzeżenie w nich bazy komunizmu. Zwracało się to przeciw wszystkim Żydom - również niekomunistycznej większości". Ginęli więc Żydzi winni (funkcjonariusze ub i komuniści) i niewinni - za współbracia, ale i za swe żydostwo, za przynależność narodową czy religijną. Prymas Hlond - pisze dalej Kainer - tłumaczył przedstawicielom Żydów, że nastroje antysemityczne wynikają z udziału Żydów we władzach, i że na froncie, jaki istnieje w Polsce, zginęło więcej Polaków niż Żydów. Tylko biskup częstochowski Kubina jasno i ostro potępił pogrom oraz wiarę w mord rytualny". Antysemityzm, będący nierządno mrocznym przesądem, przybierał często

formę zbrodni. Uczestnictwo w budowie irracjonalnego Nowego Ustroju, również często przyjmowało formę zbrodni - kapturowych wyroków, |skrytobójstw - będąc zresztą samo w sobie uczestnictwem w zorganizowanym terrorze.

"Ogień" walczył nie z Żydami, tylko o wolność swojego narodu, więc i moja, więc i naszą. Żydzi pod sowieckim nadzorem i u boku polskich towarzyszy, którzy uczestniczyli w budowie komunizmu, nie walczyli z narodem polskim, tylko o Nowy Ustrój.

To, że wojna polsko-komunistyczna przybierała czasami s t r a s z n ą postać wojny polsko-żydowskiej, czyją jest wina? Polskiego antysemityzmu? Antysemityzmu w ogóle? Komunizmu? Komunistów? Jak ta wina się rozkłada i czy jej w ogóle szukać?

Do dziś nie wiadomo, gdzie jest grób "Ognia". Jego legenda i legenda "leśnych" z lat 1945-49 - "Mścicieli", "Harnasiów", "Orłów" - czeka na swojego Józefa Mackiewicza i na swego Wajdę.

redaktor

ks. Piotr Skarga

Wzywianie do pokuty

Rzecz kto: ksiądz się wdawa w politykę. Wdawa i wdawać się winien, nie w rządy jej, ale w zatrzymanie, aby jej grzechy nie gubiły a wykorzenione z niej były, e dusze ludzkie w niej nie ginęły. Abo nie słyszyn, co Pan Bóg do Jeremjasza mówi? *Otom cie postanowił nad narodami i królestwy, abys wykorzeniał, psował i gubił (grzechy i złości) a budował i szczeplił (bojaźń Bożą) i cnoty święte, i dobre uczynki i pokute, którąby się pomsta Boża od królestw oddalała i polityka wasza nie ginęła. My na złe prawa i niesprawiedliwości wasze narzekamy: a wy politykę swoją naprawujcie, jeśli z nią zginąć nie chcecie. Piszemy wiele praw, ale mało roztropnych i które wykonania nie mają, a praw niesprawiedliwych nie gasim, które są wszystkie katy i tyrany najokrutniejszymi. Bo tyrańska moc krótko, a prawa wieczności chcą i okrucieństwo we złych nie ustaje.*

Cyt.wg wyd. Paryż, Księg. Luksemburska, 1867.

O szatanie, grzechu i komunizmie

Rozmowa z ks. Stanisławem Małkowskim

- Proszę księdza, czy mógłby ksiądz powiedzieć, jak poznał księdza Jerzego i jak wasza znajomość się rozwijała?

- Piszę o tym w krótkim tekście poświęconym mojej znajomości z księdzem Jerzym: poznaliśmy się w 1970 roku w warszawskim seminarium jako klerycy, ale zaprzyjaźniliśmy się w ciągu ostatnich dwóch lat. W roku 1975 przyszedłem do Ząbek na jego miejsce, a później spotykałem go u św. Anny, gdzie miał grupę studentów w latach 1979/80 i gdzie zaprosił mnie z prelekcjami o obronie życia dzieci poczętych; to było tuż przed powstaniem "Solidarności". Chodzi o ruch "Gaudium vitae". Do "Solidarności" zbliżyliśmy się niezależnie, on skierowany przez przełożonych kościelnych, prymas Wyszyński polecił mu udać się do Huty, natomiast ja na własną rękę, nie pytając przełożonych i nie będąc skierowany. I ja, i Jerzy znaleźliśmy się blisko tworząc się "Solidarności" i obaj mieliśmy nadzieje związane z "Solidarnością", i obaj poczuliśmy się solidarni z "Solidarnością". Do stoczni w Gdańsku trafiliśmy ze Zbroszy Dużej. Od 1978 byłem i jestem związany z księdzem Czesławem Sadowskim ze Zbroszy. W czasie strajku na Wybrzeżu chłopci zebrali się w niedzielę 24 sierpnia po mszy i prelekcję miał pan Tadeusz N., senior ruchu ludowego z Warszawy i ja tam poszedłem i rezultatem tego spotkania był list chłopów do strajkujących w stoczni, wyraz solidarności ze strajkującymi i prośba o solidarność. Z tym listem i pieniędzmi zebranymi przez chłopów dla strajkujących stoczniovców przyjechałem do Gdańska. To było we czwartek, 28 sierpnia, przed rozmowami z delegacją rządową. W sali konferencyjnej przeczytałem chłopski list i dodałem swoją prośbę o solidarność z więźniami politycznymi, a także z dziećmi poczętymi w łonach matek, zagrożonymi przed urodzeniem śmiercią zadawaną przez tzw. "sztuczne poronienia". Powiedziałem wówczas m.in., że tak jak "nie ma Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej", tak również nie ma Polski niepodległej bez Polski sprawiedliwej. Chodziło mi o to, że warunkiem zarówno solidarności, jak i niepodległości jest sprawiedliwa troska o życie i prawo do życia od poczęcia. O ile słowa moje na temat chłopów, więźniów i mojej solidarności ze strajkującymi były nagrodzone oklaskami, o tyle słowa o dzieciach poczętych przyjęto z milczeniem i lekką konsternacją, jakbym powiedział coś nieodpowiedniego (przynajmniej w tym miejscu i w tej chwili), o czym lepiej zaraz zapomnieć.

Po powrocie do Warszawy odebrałem w Kurii list z poleceniem, żebym wracał do Warszawy. Moje działania nie były mi zlecone przez władzę kościelną. Przyzwyczaiłem się do pewnej marginesowości swoich poczynań. Inaczej Jurek. Był nie tylko lojalny, umiał nawiązać kontakty z przełożonymi. Ja nie byłem nieposłuszny, ale miewałem luki, bo nie lubiłem pytać o pozwolenie. A przy tym w ciągu sześciu lat nie miałem przydziału w diecezji (niezgodnie z prawem kanonicznym) - częściowo w wyniku działań SB (nacisków na księdza Floriana Klewiado w Skierniewicach, caritasowa, który był krótko moim proboszczem w roku 1977), a częściowo w związku z szorstkim kurialnym stylem postępowania z niewygodnymi księżmi. Jurek miał dobre układy z przełożonymi, co mu zresztą, jak wiemy, nie pomogło w sytuacji zagrożenia życia.

Oczekiwania wobec przełożonych miałem chyba mniejsze niż Jurek, stąd też mniej rozczarowań.

Jeszcze przed Sierpniem związany byłem z tzw. opozycją demokratyczną, z ruchami niezależnymi, z chłopami, tworzącymi Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej w Zbrozsy. Dwukrotnie byłem przed sądem i modliłem się z chłopami, podczas pierwszej próby rejestracji, kiedy rejestracji "Solidarności Wiejskiej" odmówiono, i podczas drugiej, kiedy "Solidarność Wiejską" jako NSZZ RI "S" zarejestrowano. Jerzy działał w innych kręgach, robotniczych. Miałem poczucie, że się uzupełniamy. Od czasu do czasu Jerzy zapraszał mnie, żebym odprawił mszę dla pielęgniarek w "Res Sacra Miser", czasem telefonował, miał jakąś prośbę, żeby go zastąpić, czy w czymś pomóc.

Na początku lipca 1983 odwiedziłem Jurka, Jurek się ucieszył: "O, dobrze że jesteście, mamy w lecie kłopoty z księżmi z powodu wakacji". I zostałem przyjęty do św. Stanisława Kostki na okres letni przez ks. Marcina Wójtowicza zastępującego ks. prałata, a potem ksiądz prałat Bogucki przedłużył współpracę. Od lipca 1983 na zasadzie umowy z proboszczem parafii u Stanisława Kostki mam określone obowiązki, jednak w znacznie mniejszym wymiarze niż wikariusz i rezydent. Bywałem u św. Stanisława 2-3 razy w tygodniu. Nieraz Jurek mówił, że przysyła dary, może coś potrzebuje dla "Gaudium vitae". Msze za Ojczyznę od roku 1982 zaczęły przyciągać rzesze ludzi. Ale w nich początkowo nie uczestniczyłem, bo uważałem, że to sprawa Jurka. Miałem zresztą w tym czasie zwykle obowiązki w innych parafiach, np. na Rakowcu w kaplicy przy ulicy Gorlickiej. Od września 1983 odprawiałem msze za Ojczyznę u Matki Boskiej Częstochowskiej na Zagórnej róg Czerniakowskiej. Nie wzorowałem się na Jurku. Tam sytuacja była inna niż u Kostki - proboszcz ostrożny, bo zajęty budową kościoła. Mówiłem tam kazania do końca listopada 1984, później tylko odprawiałem msze, aż w końcu sierpnia 1985 proboszcz podziękował mi za współpracę. Przyczyną bezpośrednią było to, co proboszcz odebrał jako moje nieposłuszeństwo. W czasie nieobecności proboszcza, zaproszony przez wikarego wygłosiłem kazanie, zresztą łagodniejsze niż zwykle. Nie miałem nigdy tak dobrych układów z przełożonymi, jak Jurek na przykład z biskupami Kraszewskim i Miziołkiem. Nawet trochę mu zazdrościłem umiejętności zaprzyjaźniania się z ludźmi i niższymi pozycją od niego, i przełożonymi, robotnikami i twórcami. Miał dar przyciągania ludzi. Msze za Ojczyznę są przykładem, jak ludzie ciągnęli do niego.

- Od pewnego momentu ksiądz zaczął koncelebrować msze z Ojczyznę u św. Stanisława Kostki.

- Gdy ataki na Jurka nasiliły się z początkiem grudnia 1983 roku, postanowiłem przynajmniej kilka razy z nim koncelebrować. Napisałem oświadczenie o mojej solidarności z księdzem Jerzym (ukazało się w "Tygodniku Wojennym"). Jeżeli nie mogłem koncelebrować, to chociaż udzielałem komunii świętej. Chodziło o znak solidarności i pomoc kapłańską. Zauważyłem, że księżę przybywa. W roku przed śmiercią Jerzego bywało trzech, lub więcej niż trzech, raczej spoza diecezji warszawskiej. Odprawiłem w intencji Jurka 11 stycznia 1984 mszę świętą w kościele Najśw. Marii Panny na Nowym Mieście i powiedziałem homilię.

Od lata 1984 czułem, że msza za Ojczyznę jest zagrożona. Pytano prałata Boguckiego, co będzie, jeżeli Prymas zakaże. Prałat odpowiedział, że będzie musiał odwołać, ale ogłosi to ludziom. Ludzie nieraz mówili, że tym razem będzie to już ostatnia msza za Ojczyznę. Jurek też to czuł; kiedy ks. prałat był chory, czułem, że jeżeli choroba prałata się przedłuży, to i sam będzie musiał odejść. Pytałem go o wyjazd do Rzymu. Odpowiedział, że nie będzie się o to starał ani prosił. Oznaczało to, że jeżeli otrzyma polecenie, to wyjedzie, ale sam nic w tym kierunku nie zrobi. Prymas chciał, żeby Jurek o to poprosił, żeby w razie czego mógł powiedzieć robotnikom: prosił mnie o to.

- Czy ksiądz spodziewał się, że wobec księdza Jerzego zastosowana zostanie przez władzę przemoc fizyczna?

- Jurkowi groziło więzienie, ale myśleliśmy, że tylko więzienie. Potem przyszła amnestia chwilowa. Zagrożenie Jurka zaczęło wzrastać. Zapytałem, czy liczy na pomoc biskupa warszawskiego. Machnął ręką. Jedyna pomoc, jaką mogłem mu okazać, to było naśladować go i pełnić podobne zadania, w jego duchu. To co robiłem nie było wtórne, było niezależne, trochę inne. Jurek mnie zaskoczył, kiedy zaczął prowadzić msze za Ojczyznę: nagle jakby urósł.

Zdumiewała mnie jego determinacja i gotowość przyjęcia wszystkiego, co go może spotkać ze strony przemocy. Myślałem, że będzie się przed więzieniem jakoś energiczniej bronił. Pytałem go o więzienie i dziwił mnie spokój, z jakim pogodził się z perspektywą wyroku. Jurek miał dobre stosunki z przełożonymi, ale te sympatie ze strony biskupów Kraszewskiego czy Miziołka nie zostały wypowiedziane publicznie przed śmiercią Jurka, chociaż obaj biskupi przybywali kilkakrotnie do św. Stanisława na msze święte organizowane przez Jurka, co już jest przecież formą poparcia.

- Po ataku Urbana na księdza zatytułowanym "Nienawiść" (napaść Urbana na księdza Jerzego miała tytuł "Seanse nienawiści") otrzymał ksiądz zakaz wygłaszania kazań?

- Nie otrzymałem zakazu. Ksiądz Prymas ze mną na ten temat nie rozmawiał. Prymas rozesłał do parafii w archidiecezji warszawskiej zakaz udzielania mi zgody na wygłaszanie kazań. Zamknięto przede mną ambonę, ale mnie osobiście zakazu nie dano. W tym piśmie zresztą Prymas pisze, że bardzo poważni katolicy (a Urban nie jest przecież katolikiem ani człowiekiem poważnym) wyrażają oburzenie i że moje kazania nie mają nic wspólnego z duchem Ewangelii i z prawdziwym patriotyzmem. Prymas napisał całe opracowanie: "głosi własną naukę i na własny sposób". I że byłem wielokrotnie upominany przez władze kościelne. To nieprawda, byłem upominany przez SB, a to chyba nie to samo. Przez władzę kościelną byłem upominany tylko raz. Gdyby mi Prymas wprost zakazał, to byłbym posłuszny. Są w archidiecezji warszawskiej parafie, które mnie zapraszają ze słowem Bożym. Może proboszczowie nie dostali zakazu, albo w swoim sumieniu uznali go za nieobowiązujący. Ale pewien proboszcz i zarazem kapelan wojskowy w Legionowie ten zakaz odczytał cały na mszach św., w ramach ogłoszeń.

- Podczas procesu toruńskiego morderców księdza Popiełuszki wyszło na jaw, że działania pozaprawne miały być wymierzone najpierw w osobę księdza, dopiero Piotrowski położył a k e n t na księdzu Popiełuszce.

- Tak, Pietruszka chciał, żeby zacząć ode mnie.

- Kiedy ksiądz dowiedział się, że miał być obiektem napaści planowanej przez wysokich funkcjonariuszy MSW? I co odczuł wtedy?

- Najpierw powiedział mi o tym jeden z przyjaciół, jeszcze przed procesem toruńskim, były już przecieki ze śledztwa, a potem słuchałem w radio sprawozdań z procesu. Co odczułem? Wdzięczność. Świadomość, że Jurek i Chrostowski uratowali mi życie. Jurek ściągnął na siebie nienawiść nieprzyjaciół i zginął za innych, a gdyby Chrostowskiem nie udało się wyskoczyć z samochodu i uratować, świat zapewne nie dowiedziałaby się, kim byli mordercy i mogliby mordować nadal.

Mam świadomość tego, że w pewnym sensie schowałem się za Jurka. Wcześniej porównywałem sytuację Jurka ze swoją: dlaczego Jurek jest bez przerwy inwigilowany, a ja dużo rzadziej. Jego uznano za niebezpiecz-

niejszego ode mnie. Kiedy SB uznała Jurka za wroga nr 1, to ja czy inni księża mogliśmy sobie na więcej pozwolić. Moje kazania były ostre, kazania Jurka, w moim odczuciu, łagodne. Dziwiłem się, co UB chce od niego. Cytował Prymasa Wyszyńskiego, Papieża. Nigdy nie użył słowa "komunizm". Dziwiłem się, co Prymas ma mi za złe. Sięszalem, że Prymas ma bardzo poważne zarzuty: że rozbija jedność narodową, zatracą swoje kapłaństwo, szuka własnej chwały. Jurek użył nawet takiego zwrotu: "patrzył na mnie z nienawiścią"

- Przy furcie?... "Prowersyjność" w seszycie nr 3 opublikowała ostatnio notatki księdza Popietuski. Pod datą 18.XII.1983 ks. Jerzy zanotował: "To prawda, że ks. Prymas mógł być zdenerwowany, bo wiele kosztował go list pisany do Jaruzelskiego w mojej sprawie. Ale zarzuty mi postawione sważyły mnie z nóg. SB na przesłuchaniu szanowało mnie bardziej".

- Jurek zanotował to bardzo ogólnie. Choć ocenę przyczyny "zdenerwowania" ks. Prymasa trzeba uznać za nietrafną, naiwną.

- Czy encyklika Ojca Świętego Piusa XI "Divini Redemptoris" - o bezbożnym komunizmie obowiązuje nadal? Czy wchodzi w skład nauki społecznej Kościoła?

- Oczywiście tak. Ja ją przy różnych okazjach cytuję. Jurek jej nie cytował. Papież Jan Paweł II w encyklice "Redemptor hominis" nie nazywa komunizmu po imieniu, mówi o totalitaryzmach, ale powołuje się na dwie encykliki Piusa XI - o faszystwie "Mit brennender Sorge" i właśnie "Divini Redemptoris". I stwierdza, że przyczyną wojny były dwa totalitaryzmy.

- A czy praca dr Stefana Wyszyńskiego "Inteligencja polska a kultura bolszewizmu" mieści się w nauce społecznej Kościoła?

- Tak. Zawiera zresztą podobne myśli co "Divini Redemptoris". Wracając do Jurka, to mimo postuszeństwa w stosunku do przełożonych, była w nim duża niezależność sądów. Gotów był wiele stracić, by pozostać wierny swojemu sumieniu. Wielkość Jurka nie ujawniała się dość długo. Przez księży był odbierany za przeciętnego, niczym się nie wyróżniającego. Jak się zastanawiam, to wiele jego cech świadczy o wielkości. Kiedy odgrywał taką rolę w "Solidarności", wielu zastanawiało się skąd mu to przyszło? On był lepiej odbierany przez lud Boży, czyli wiernych, niż przez księży i biskupów. Został odkryty w swej wielkości, w swej świętości, najpierw przez ludzi świeckich, później przez księży i przez biskupów. Ksiądz Prymas ma ciągle nastawienie trochę niechętne. Na pogrzebie nazwał Jurka męczannikiem, ale po roku już tego nie powtórzył.

- Swego czasu Klub młodych komunistów z Uniwersytetu Warszawskiego "Sigma" zaprosił księdza na dyskusję poświęconą, jak oni to nazwali, historycznemu kompromisowi między komunizmem i chrześcijaństwem.

- Nawet dwukrotnie mnie zaprosili, raz podstępem. Powiedzieli, że będzie redaktor Śpiewak, a Śpiewakowi, że będzie ksiądz Maikowski. No i zgodziłem się przyjąć, bo będzie Śpiewak, a Śpiewak przyszedł, bo będzie Maikowski. I ja im tam powiedziałem, że komunizm jest nie do pogodzenia z chrześcijaństwem, komunizm jest antytezą chrześcijaństwa, chociaż wszelkie dobro, z jakiegokolwiek pochodzące strony, powinno być ocenione. Trzeba uznać dobrą wolę niektórych ludzi z tamtej strony.

- Jako człowiek świecki, powiedziałbym, że komunizm jest zaprzeczeniem natury.

- Tak: natury. Komunizm w teorii jest zły, bezbożny i niehumanistyczny. A jeżeli nie jest taki zły do końca, to tylko dlatego, że ludzie go uczłowieczają, lub raczej w praktyce stępiają jego ostrze, bo szatański system uczłowieczyć się nie da.

- To, co jest u nas, to nie jest czysty komunizm.

- Czysty komunizm to jest cmentarz, bez krzyży, bez nadziei, bez sensu.

- Kambodża?

- O, powiedzmy. Czy Sowiety w pewnych okresach.

- Ale Prymas takiej prawdy głosić przecież nie może. Globalna polityka Prymasa - żeby nie dopuścić do adwersarii komunizmu z Kościołem, nie dopuścić do zmniejszenia stanu posiadania Kościoła, a nawet go poszerzyć - wydaje się być słuszna.

- Tak. Nie można przyjąć założenia, że zawsze trzeba głosić całą prawdę. Ja też nie czuję się zobowiązany, żeby każdemu całą prawdę mówić. Więc przypominanie nauki społecznej Kościoła nie w całosci, przemilczanie pewnych jej ujęć ze względu na warunki, na taktykę - z tym się zgadzam. Jest to być może dla całokształtu spraw Kościoła wskazane. Jeżeli jednak jakiś ksiądz powtarza naukę Kościoła na własne ryzyko, to sądzę, że ma prawo tak czynić zgodnie ze swoim sumieniem. Są ludzie, którzy pragną jasnego, jednoznacznego stawiania sprawy. Prawda na temat komunizmu nie jest do końca znana. Trzeba się temu zamętowi myślowemu, pomieszaniu pojęć przeciwstawić. Możliwe jest porozumienie z komunistami jako ludźmi pod warunkiem, że przestaną być komunistami. Jeżeli Kościół wzywa do porozumienia i głosi to porozumienie, to jest do tego zobowiązany, bo do istoty Kościoła należy posługa jednania. W przypadku komunistów jest to wezwanie do nawrócenia. Czyli: nawróćcie się, opamiętajcie. A nawrócenie się dla komunisty oznacza przestać być komunistą. A przy tym Kościół nieustannie zobowiązany jest do obrony prześladowanych ludzi i niszczonej wartości. Przywileje materialne i społeczne niektórych duchownych mogą działać jak różowe lub końskie okulary.

- Co to znaczy być w Polsce komunistą?

- W latach 20-tych, 30-tych, byli w Polsce komuniści ideowi, którzy w komunizm wierzyli i przeważnie zapłacili za swoją naiwną wiarę i fałszywe ideały śmiercią w sowieckich więzieniach i łagrach. W tej chwili być w Polsce komunistą znaczy przystosować się do warunków narzuconych Polsce przez zależności międzynarodowe i wyciągnąć z tego korzyści osobiste. Motywnem do bycia komunistą jest strach i chęć zysku, konformizm, cynizm. Ale z drugiej strony mało który ksiądz stawia sprawę jasno. Wszelkie precyzowanie pojęć ludzie odbierają jako agresję: ktoś chce wniknąć w nieporządek, który panuje w ludzkich sumieniach. Wciąż nie rozróżnia się jasnej oceny wartości od oceny ludzi. Jeżeli kłamstwo nazwę kłamstwem, to ktoś poczuje się dotknięty i powie, że go obrażam.

Ksiądz Prymas w Stanach mówił, że są w Polsce księża, którzy zajmują się polityką, zamiast Ewangelii głoszą nienawiść. Na jednej płaszczyźnie stawia księża-marksistów w Ameryce Południowej i księży związanych z "Solidarnością" tu. Co innego jak ksiądz zasiada w rządzie komunistycznym czy idzie do partyzantki i chodzi z karabinem, a co innego, jeżeli ksiądz bierze głos w sprawach moralnych. Ja mówię np. ludziom, że udział w komunistycznych "wyborach", w tym zorganizowanym kłamstwie, jest grzechem i uzasadniam to.

Komunizm jest formą grzechu, ale nie jedyną. Wielu ludzi zrzuca winę na swe grzechy indywidualne na komunizm. Nie można mówić, że totalitaryzm czy komunizm to zło numer jeden i wszystkie inne to pochodne. Uwikłanie w zło komunistyczne to jedna z form zła. Widzę wiele zła i w krajach, gdzie nie ma komunizmu. Tam jednak działalność społeczna, gospodarcza często mniej związana jest z grzechem niż u nas. Premiowana jest kompetencja i uczciwość, a u nas odwrotnie, wszelką działalność zawodową człowieka komunizm wikła w zło. A ponadto jako system nihilistyczny programowo niszczy kulturę i życie społeczne.

- Prowadzona przez księdza z ambony polemika z komunistami ma charakter, o ile się dobrze orientuję, nie doraźny, polityczny, ale zasadniczy.

- W Dziejach Apostolskich znajdujemy opisy wspólnot wczesnochrześcijańskich: U św. Łukasza jest zdanie: każdemu według potrzeb; i u św. Pawła jest zdanie: każdemu według pracy ("kto nie pracuje, niech nie je"). Ale oba te zdania mają w Piśmie Świętym inny sens niż w marksizmie. Wspólnoty wczesnochrześcijańskie były wspólnotami ducha, serca, wiary i modlitwy. Przy czym nikt nie nazywał swoim tego, co posiadał i dzielono każdemu według potrzeb. Tu nie byłby określał świadomość, jak w marksizmie, ale świadomość - wspólnota ducha - określała byt. Jeżeli tej jedności ducha nie ma, a nie ma i nie może być w komunizmie, nawładzwanie do wspólnot wczesnochrześcijańskich jest z gruntu fałszywe. W komunizmie nie ma wspólnoty ducha, jest tylko wspólnota stada.

Marksizm, według mnie, sprowadza się do trzech założeń: byt określa świadomość; praktyka jest kryterium prawdy; siła jest prawem. W chrześcijaństwie jest na odwrót: świadomość określa byt, prawo jest siłą, prawda jest kryterium praktyki. To powtarzam zawsze: komunizm jest antytezą chrześcijaństwa, jest szatańska parodia Nowego Przymierza.

- Mówił ksiądz, że komunizm jest grzechem, ale i kapitalizm nie jest wolny od grzechu.

- Bardzo upraszczając: zagrożeniem Wschodu (lub raczej "wschodnim") jest totalitaryzm, a zagrożeniem Zachodu (a raczej "zachodnim") jest liberalizm, rozumiany nie jako doktryna gospodarcza, tylko jako światopogląd, liberalizm indywidualistyczny. W totalitaryzmie źródłem zła jest narzucone i wtłoczone w świadomość przekonanie o nadrzędnym znaczeniu państwa, narodu, klasy, rasy, partii, słowem: grupy, która uzurpuje sobie prawo do decydowania o blagu historii, kolektywu uznające siebie za nosiciela wartości, za Mesjasza zbiorowego. W przypadku komunizmu jest to partia czy klasa robotnicza, rozumiana nie jako rzeczywistość robotników, ale jako mit, jako zbawiciel świata. W przypadku indywidualizmu liberalnego zagrożenie wynika z przekonania, że człowiek uzgodniwszy z innymi swoje dążenia może żyć rozumnie i szczęśliwie. Jeżeli uświadomi sobie, że źródłem wartości jest on sam. Państwo władzę nadaje społeczeństwu, będące sumą jednostek. Jak źródłem wartości w totalitaryzmie ma być mityczna zbiorowość, tak w przypadku liberalizmu ludzka jednostka. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie ma miejsca dla wartości absolutnych, nie ma miejsca dla Boga.

- Jest ksiądz znany z wystąpień w ramach ruchu "Gaudium vitae"...

- Bo to jest ogromny problem moralny współczesnego świata: sztuczne poronienia. Oblicza się, że w Rosji na jedną statystyczną kobietę w okresie rozrodczym przypada osiem sztucznych poronień, w USA - 0,5, a w Polsce na 700 tysięcy narodzin rocznie przypada tyle samo sztucznych poronień. Jesteśmy więc pod tym względem w połowie drogi do sowietyzacji, między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Ta postać ludobójstwa jest największym zagrożeniem dla pokoju na świecie, jak powiedziała matka Teresa z Kalkuty.

- Na jednym ze zjazdów partii, chyba w 1935 roku Stalin zakazał sztucznych poronień.

- Tak, ale on to zrobił nie z szacunku dla życia ludzkiego i praw człowieka, tylko ze względów hodowlanych. Jego stosunek do ludzi był stosunkiem hodowcy do stada. Totalitaryzmy są to systemy hodowlane, które traktują ludzi jak bydło, a niekiedy gorzej niż bydło.

- Ksiądz Sadłowski jest synem chłopskim, ksiądz Popiełuszko też był synem ludu. Tak się składa, że księga młazani z "Solidarnością" często bywają dziećmi ludu. Czy można księdza po marksistowsku zapytać o pochodzenie społeczeństwa?

- Moja rodzina jest inteligentka. Ojciec ojca był geologiem i profesorem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, a ojciec matki legnionista, działaczem spółdzielczym, pisarzem, sędzią, później senatorem RP na Kresach. Po wkroczeniu Sowietów do Polski w 1939 roku został aresztowany i zamknięty w więzieniu w Mińsku i tam zlikwidowany w niewyjaśnionych okolicznościach. A ojciec ojca był w Sachsenhausen, w obozie hitlerowskim, ale wrócił. Rodzina poniosła straty zarówno pod okupantem hitlerowskim, jak i sowieckim.

- *Swego czasu wziął ksiądz udział w głodówce w kościele św. Krzyszpaka, którą była wyrazem solidarności z braćmi Czechami z Karty 77, wówczas sądzonymi, teraz w kilku podziemnych pismach z listopada 1985 czytam oświadczenie księdza solidaryzującego się z Markiem Adamkiewiczem skazanym za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. To tylko dwa przykłady aktów solidarności księdza z represjonowanymi za wiarość prawde i messtwo cywilne. To droga, którą ksiądz kroczy od lat. Ale są przecież i inne drogi.*

- Jest na przykład program pozytywistyczny. Sto lat temu były jednak większe możliwości pozytywistycznej pracy "u podstaw" niż dzisiaj. Jest oświata niezależna, samokształcenie, "podziemna" informacja.

- *Podczas procesu toruńskiego padły oskarżenia pod adresem księży katolickich o prowadzenie działalności pozareligijnej.*

- To wynika z niechrześcijańskiej koncepcji religii. Jak duży związek jest z ciałem, tak ze społeczeństwem związana jest religia. Komuniści chcieliby zamknąć nas w kościele, w zakrystii, najlepiej w rezerwacie. I wara katolikom od spraw społecznych, które kontroluje państwo. A państwo tymczasem nie potrafi lub nie chce rozwiązać żadnego problemu z wyjątkiem sprawy utrzymania się przy władzy grupy rządzącej oraz niezakończoną rabunkową eksploatacją kraju. Jeżeli istnieją niezależne instytucje, to Kościół jest zwolniony od wielu zadań. Jeżeli Kościół jest jedyną niezależną od państwa instytucją działającą legalnie, to oczekiwania społeczeństwa co do roli, jaką powinien spełniać, poszerzają się. Kościół, gdyby nawet chciał, nie może zamknąć się w zakrystii, bo jest arka płynąca po wodach komunistycznego potopu.

- *Wyrzucano swego czasu zakonnice ze szpitali. Przez wiele lat narzekano potem na brak pielęgniarek, siołowych.*

- A teraz brak zakonnic do szpitali, bo zakonnice-pielęgniarki się postarały, a młode zakonnice były kształcone do innych potrzeb. Zniszczyć można szybko, a budować trzeba latami.

- *Spotykałem się z opinią, że robotnicza "Solidarność" w dniach swej największej siły upominała się o prawa Kościoła, walczyła o msze święte w radio, o zwiększenie nakładów pism katolickich, torowała Kościółowi drogę do uczestnictwa w życiu społecznym, do hut, stoczni, fabryk, do najszerszych rzesz robotniczych, a w dniach swych porażek nie otrzymywała należytego wsparcia ze strony Kościoła, została pozostawiona samej sobie.*

- To nieporozumienie. "Solidarność" stworzyła nowe formy działania dla narodu, ale bez Kościoła w ogóle by nie powstała. Kościół przez samo swe istnienie przygotował grunt dla "Solidarności", przez wypełnianie swego posłannictwa, przez ciągłe przypominanie praw człowieka i narodu. To, czy jakiś biskup lubi czy nie "Solidarność", czy jakiś ksiądz ją popiera czy nie, jest mniej istotne w porównaniu z tym fundamentalnym związkiem Kościoła i "Solidarności". Ksiądz, który pracuje dobrze, wspiera "Solidarność" czy chce tego, czy nie chce. Ja bym nie dzielił kapłanów na tych, którzy popierają "Solidarność" i na tych, co nie popierają. Jeżeli ksiądz pracuje dobrze, to z punktu widzenia narodu działa na jego rzecz. Kościół i "Solidarność" nawzajem się uzupełniają. Kościół zorganizował pomoc charytatywną. Pomoc dla więzio-

nych działaczy "Solidarności" zorganizowana została wspólnie przez Kościół i "Solidarność". Niektórzy biskupi nie chcą tego, ale Kościół jako całość poparł pomoc dla uwiecznionych, nadał jej formy organizacyjne i dał możliwości materialne. Ścisłe polityczna działalność niezależna, do której ludzie mają naturalne prawo, powinna jednak odbywać się poza Kościołem, który musi stać ponad partiami i barykadami, nie może nawet w tym sensie identyfikować się z ofiarami prześladowań, żeby wyrzec się troski o dobro prześladowców. Powołaniem Kościoła jest pełna solidarność, a więc troska o wspólnotę, o każdego człowieka (odkąd zaczyna istnieć w łonie matki aż po wieczność) i o wspólne dobro. Solidarność jest Kościołowi objawiona, dana i przykazana. Zdana.

- W drugiej połowie lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, kiedy władze sowieetyzowały Polskę, udało im się stworzyć ruch tzw. księży patriotów. Czy dziś ten manewr jest możliwy do powtórzenia?

- Poszczególnych księży UB próbuje przekupywać lub szantażować. Udaje się to im czasem z pojedynczymi kapłanami. Są też księża nie tyle łasi na korzyści materialne dla siebie, co kierujący się materialnie pojętym dobrem swej parafii, chodzi np. o przydział materiałów budowlanych czy inne korzyści materialne i organizacyjne dla parafii. Spośród nich rekrutują się ci, co czasem wystąpią w telewizji lub dadzą się sфотографować, jak idą do tzw. wyborów. Po ruchu tzw. księży patriotów popieraających władzę pozostały tylko szczątki. Władzom nie udało się go odtworzyć i już się nie uda. Ubeckie sztuczki są elementem komunistycznego panowania, to zaś panowanie jest częścią władzy szatana nad światem. Kompromis z komunistami (jako ludźmi dysponującymi siłą) jest możliwy, a nawet konieczny, nie wyłączając ograniczonych form współdziałania - byle nie kosztem zdrady człowieka i solidarności. Z bandytami lub terrorystami niekiedy jakoś trzeba się dogadać, nie tracąc jednak świadomości sytuacji i sprzecznych dążeń. Jak daleko można się posunąć w kontaktach z władzami komunistycznymi jest dla mnie problemem dotyczącym mnie osobiście, ważnym moralnie i interesującym poznawczo.

not. Jan Ten

Homilia

na III niedzielę Adwentu (rok "B")

Święty Jan Chrzciciel w Ewangelii dzisiejszej mówi sam o sobie: "jestem głosem wołającego na pustyni: prostujcie drogę Pańską". Czy wołanie na pustyni, a zwłaszcza wyznaczanie na pustyni drogi Pańskiej jest przedsięwzięciem sensownym? Pustynia jest przecież bezludna i bezdrożna! Czy Jan Chrzciciel postawił sobie zadanie na swoją miarę, na miarę otaczającej go rzeczywistości, na miarę ludzi sobie współczesnych? Czy Jan Chrzciciel był realistą? Czy był zdrowy? A może Jan Chrzciciel głosił jakąś dziwną, własną naukę? Może dał się ponieść emocjom i wdał się w szaleniczą polemikę z rzeczywistością? Co to ma wspólnego z prawdziwym patriotyzmem? Czyżby duch Ewangelii unosił się nad pustynią? Opinie ludzi bardzo poważnych i nieposzlakowanych o Janie Chrzcicielu nie mogły być dobre. Wykonali oni jednak gest dobrej woli wobec Jana, wysłali do niego kapłanów i lewitów z zapytaniem: kim jesteś? daj świadectwo o sobie! Słowa Jana potwierdziły ich obawy. Obawy przemieniły się wkrótce w poczucie zagrożenia, zaś to poczucie - we wrogość. Jak zamknąć usta temu człowiekowi? Jak go zneutralizować - nie tylko uciszyć, ale nawet unicestwić? Czy tak ruchliwego i nieposkromionego człowieka wystarczy wysłać za granicę? Czy wtrącić go do więzienia? Rozwiązaniem "ostatecznym" wobec Jana okazało się zabicie go z rozkazu Heroda w czasie uczyty w dniu urodzin króla. Święta głowa Jana Chrzciciela stała się prezentem urodzinowym i warunkiem radości współbiesiadników.

W kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie jeden z księży kaznodziejów zwrócił, kilka tygodni temu, uwagę na okoliczność, że zamach na księdza Jerzego Popiełuszkę dokonano właśnie w dniu urodzin ministra spraw wewnętrznych - generała Kiszczaaka. Oto ksiądz martwy, z kneblem w ustach, ze zmiążdżonym językiem miał stać się prezentem urodzinowym warunkującym pomyślność i radość biesiadników komunistycznych w Polsce.

Poprzez wieki ludzkiej historii trwają dwie przeciwstawne biesiady-ucyty. Uczta weselną Baranka Bożego, który poślubia odkupioną ludzkość, jest Msza święta - uczta Eucharystyczna. Przeciwnieństwem biblijnym tej uczyty jest uczta Baltazara. Król Babilonu, stolicy symbolizującej pychę oraz wrogość wobec Boga i narodu wybranego, powiada: "czy nie jest to wielki Babilon, który ja zbudowałem jako siedzibę królewską siłą mojej potęgi i chwałą mojego majestatu?"

Babilon buduje swoją potęgę na ludzkiej krzywdzie, na udęcie narodu wybranego. Król Baltazar w czasie bałwochwalczej uczyty urządzonej dla tysiąca możnowładców sprofanował naczynia liturgiczne zrabowane ze świątyni Boga prawdziwego w Jeruzolimie. Zburzenie Jeruzolimy nie wystarczyło bezbożnemu królowi, chciał jeszcze zbeszcześcić to, co pokonane. Uczta

Baltazara - uczta dla uprzywilejowanych jest znakiem bałwochwalstwa i świętokradztwa wobec Boga, zaś okrucieństwa i pogardy wobec ludzi. W czasie uczty ukazał się napis na ścianie królewskiego pałacu: "mane, tekell, fares". Napis ów przeraził króla. Treść słów tajemniczych wyjaśnił prorok Daniel: "Bóg ustalił kres twojego panowania, niebawem zginiesz, a twoje królestwo ulegnie podziałowi". "Tej samej nocy król chaldejski Baltazar został zabity" - czytamy w Księdze Daniela.

Cały świat jest miejscem dwu uczt i dwojakiego ucztowania. Ucztowanie eucharystyczne wyraża miłość Boga do człowieka i człowieka do Boga, miłość - komunie Bożoludzką i międzyludzką. Eucharystia jest szkołą dziękczynienia i dzielenia się. Chrystus dziękuje Ojcu i dzieli się z ludźmi - braćmi swoim życiem. Jako uczestnicy Mszy św. - Eucharystii, uczymy się wdzięczności za dar życia i nabieramy zdolności, by dzielić się tym, co mamy. Uczta eucharystyczna otwiera serca, jednoczy serca, tworzy wspólnotę wszechogarniającą. Uczta Baltazara natomiast zamyka serca, wyraża brak solidarności, niewdzięczność, ciasne samolubstwo uczujących. Głoszenie Ewangelii jest nieustannym wezwaniem do udziału w uczcie eucharystycznej. Zaś korzystanie z przywilejów związanych z bezbożną i nieludzką władzą jest zaproszeniem na ucztę Baltazara. Dramatyczne przeciwieństwo między dwiema ucztami trwa poprzez wieki. Warto zauważyć, że jedną z form współczesnej uczty Baltazara jest państwo komunistyczne zbudowane na ludzkiej krzywdzie, na pogardzie wobec Boga i ludzi, państwo zwrócone ku zaspokojeniu potrzeb i pragnień ludzi uprzywilejowanych, w myśl hasła: "my się wyżyjemy zawsze". Przeciwieństwo między Kościołem a państwem komunistycznym jest więc nieuchronne. Na ścianach komunistycznego pałacu pojawiają się słowa: "mane, tekell, fares", które są zapowiedzią upadku państwa szatana. Sens tych słów wyjaśnia Kościół. Przeszło cztery lata temu, pojawiło się w komunizmie słowo "Solidarność". Pełny sens tego słowa i treści, którą niesie, ujawnia się stopniowo w świetle Ewangelii, w świetle nauki społecznej Kościoła, w świetle nauczania Jana Pawła II, w świetle objawień - zwłaszcza objawień Matki Bożej Fatimskiej. Biblijny Baltazar poddał się bożemu wyrokowi. Natomiast komunistyczne władze usiłują walczyć ze słowem, usiłują zatrzeć i zniszczyć sens proctwa zawartego w znakach i wydarzeniach. Jednak ani walka z Ewangelią, ani walka z Krzyżem, ani walka z Kościołem, ani walka z Janem Pawłem II, ani walka z Matką Bożą Fatimską, ani walka z "Solidarnością" - nie może być skuteczna. Tego napisu - słowa "Solidarność" - nie da się zamalować wapnem, choć pojawił się on na wapnie ściany królewskiego pałacu za świecznikiem - jak czytamy w piątym rozdziale księgi Daniela. Komunistycznym świecznikiem jest Lenin. I właśnie w stoczni imienia Lenina w Gdańsku, w sali konferencyjnej koło gipsowej figury komunistycznego wodza pojawiła się "Solidarność" i nie przestała straszyć uczujących przywódców, możnowładców, ich żon i nałożnic. To strach jest bodźcem, by własne ucztowanie opierać na zniewoleniu społeczeństwa i narodu. Uczujący na poczucie bezpieczeństwa, gdy wie, że niewolnik skapitulował i zamilkł.

Nie chcemy być niewolnikami, nie chcemy kapitulować przed uczującym przeciwnikiem, nie chcemy milczeć!

Dlaczego ksiądz Jerzy Popiełuszko ściągnął na swoją głowę nienawiść przeciwnika? Dlatego bo nie zamilkł, bo wołał: prostujcie drogę Pańską! - bo prowadził ku Chrystusowi naszą Ojczyznę - nie zniechęcając się tym, że zło bezprawia, przemocy i beznadziejności usiłuje przemienić Polskę w pustynię, w bezdroże, po którym błąkałoby się w osamotnieniu niesolidarni ludzie bez serc i bez ducha. Właśnie komunizm spełnia groźną prze-

powiednię Adama Mickiewicza: "bez serc, bez ducha to szkieletów ludy!". Głoszona przez ks. Jerzego solidarność serc i ducha miała powstrzymać złe procesy przemiany Polski w pustynię i cmentarz. I na pustyni jest droga, i na cmentarzu jest podziemie! - woła prorok. Prorockim i pasterkim zadaniem ks. Jerzego była praca dla podziemia, było dążenie, żeby pustynię komunistyczną przemienić w ogród poczynając od ludzkich serc. Chciał więc ks. Jerzy solidarność zwycięską wyprowadzić z podziemia i wskazać jej drogę ku Polsce wolnej i sprawiedliwej, niepodległej i solidarnej, ku światu, w którym pustynia przemienia się w ogród, wreszcie - ku ziemi nowej, zjednoczonej z nowym niebem. Męczeństwo ks. Jerzego podobne jest więc do męczeństwa św. Jana Chrzciciela, tak jak życie ks. Jerzego było życiem proroka, który prostując drogę Pańską, gotów życie oddać za wiarę, w imię wierności Bogu, ludziom i swojemu powołaniu.

Nadejście światłości jest poprzedzone przez świadectwo. Prorok jest świadkiem światłości. Jeszcze ciemno na świecie, jeszcze trwa długa noc adwentowa, a prorok już widzi światło i woła, że światło świeci i jest różne od ciemności i jest zwycięskie. Świadectwo proroka jest więc świadectwem nadziei, ale i świadectwem rozróżnienia. Prorok nazywa odważnie zło złem a dobro dobrem, prorok zna wagę i cenę słów, prorok gotów jest, gdy trzeba, za słowa płacić. Prorok jest głosem wołającym, a więc nie tylko jest kimś kto woła. Prorok sam jest wołaniem. Poprzez proroka woła Bóg. Można prorokowi zamknąć usta, a on nie przestanie wołać. Można go zabić - narodzi się nowy, bo sama śmierć jest dla proroka nowymi narodzinami. Prorocy wołają także wtedy, kiedy milczą, nawet wtedy, gdy leżą w grobie - "cun tacent clamant". Samo istnienie proroka kamie samotność pustyni i milczenie cmentarza. Krew proroka woła głośniejsz niż krew Abła. Wołanie męczeńskiej ofiary proroka ks. Jerzego rozlega się już na całym świecie, wokół jego grobu budzi się nowe życie, jego grób jest Bożą ręką, że Polska solidarna nie zginie i do grobu komunistycznego lub jakiegokolwiek wtrącić się nie da. Jeszcze Polska nie zginęła, póki żyją i umierają dla niej prorocy. Jeszcze Polska nie zginęła, bo i za nią umarł, bo i dla niej zmartwychwstał Prorok, Kapłan i Pasterz - Jezus Chrystus. Drogą przez pustynię, kapłańską drogą ofiary jest ON - Chrystus. Życiem naszym na przekór śmierci zadawanej i wybieranej przez człowieka jest ON - Chrystus! Chrystusowa Ewangelia, Chrystusowy Krzyż są dla nas drogą, prawdą i życiem. W nieszczęściach, grzechu, zniechęceniu i rozpacz, w nieszczęściach prześladowań komunistycznych, bezprawia i nędzy, wśród zniszczenia wartości duchowych i materialnych w naszej Ojczyźnie - w Krzyżu Chrystusa odnajdujemy drogę i ratunek. Dlatego obrona krzyża przez młodzież z Wioszczonej jest czymś więcej niż walką o symbole. Komuniści gotowi są "kupować" symbole, które nie są dla nich groźne: stroją się w rozmaite barwy i cudze piórka, poczekajmy trochę cierpliwie, to ukoronują "ludowego" orła. Znak krzyża dany jest nam jednak jako ratunek także przed czerwoną zarazą, przed komunistycznym nihilizmem. Walka o krzyż, podobnie jak obrona Solidarności oznacza dla nas być albo nie być. Ludziom, którzy tego nie rozumieją, mówimy: "dla was to jest igraszka, nam chodzi o życie".

Boży dar życia poprzedzony jest przez świadectwo i głos proroka. Zanim Słowo Ciałem się stało w łonie Maryi i zamieszkało między nami - poczęła się w łonie Elżbiety prorok - Jan Chrzciciel. Zanim Jezus poszedł do ludzi głosząc dobrą nowinę, Jan Chrzciciel głosił chrzest pokuty. Zanim Jezus umarł na krzyżu, Jan Chrzciciel poniósł śmierć męczeńską. Dar życia, dar krzyża, dar męczeństwa - ten potrójny dar nie byłby przez ludzi przyjęty,

gdyby nie był głoszony, nie byłby oceniony, gdyby nie był nazwany. Jest więc obowiązkiem proroka mówić i wołać.

"W więzieniach i łagrach sowieckich - pisze Gustaw Herling-Grudziński w "Dzienniku pisanym nocą" (sam był więźniem łagrów i autor książki o łagrach "Inny świat") - spotykało się często ludzi, którzy siedzieli za słowo", "jak to za słowo?", "powiedziałem widać coś takiego, co im się nie spodobało"; skazani "za słowo" na ogół nie pamiętali, co takiego, należeli zresztą z reguły, prawie jak Jan Chrzciciel, nie był, ani nie jest mało-mówny. Znienawidzono go i zabito z powodu słów, a tymczasem on wciąż woła - jeszcze głośniejszy niż poprzednio. Nie jest więc łatwo zamknąć usta komuś, kto mówi, kto chce mówić i mówić nie przestanie.

Trzy lata temu, w trzecią niedzielę Adwentu, tak jak dzisiaj, rozpoczął się w Polsce tzw. "stan wojenny". Czternaście lat temu poleła się krew na polskim Wybrzeżu. Męczeńska krew górników i stoczniowców, wszystkich solidarnych w naszej Ojczyźnie, woła i oskarża kainowe plemię płatnych lub zastraszonych i okłamanych morderców. Krew ta jest zarazem posiewem nowego życia, plonu sprawiedliwości: "jak ziemia wydaje swe plony, jak ogród rozplenia swe zasiewy, tak Pan Bóg sprawi, że się rozpleni sprawiedliwość i chwała wobec wszystkich narodów" - mówi Izajasz.

Duch Pański nad nami; tego ducha nie odbiorą nam wrogowie - rycerze stanu wojennego. Tak więc, z Bożą pomocą "bronąć będziemy ducha, aź się rozpadnie w proch i pył szatańska zawierucha". Dzięki Duchowi Pańskiemu wciąż głoszona jest dobra nowina wolności naszej ubogiej Ojczyźnie; Bóg sam opatruje rany serc i zapowiada wyzwolenie więźniom. Złym znakiem wojny przeciwko Bogu i ludziom jest grzech w każdej postaci; szczególną formą grzechu w skali świata jest komunizm - system szatański, bezbożny i nieludzki.

Te same prześladowania ze strony przeciwnika dotknęły polską "Solidarność", co Ojca św. Jana Pawła II, co księdza Jerzego Popiełuszke. Ten sam jest sprawca, ten sam cel - odebrać nam ducha, zgasić naszą nadzieję, to samo niepowodzenie: Jan Paweł II żyje! "Solidarność" żyje! Ks. Jerzy Popiełuszko żyje! Zginął wprawdzie kapelan "Solidarności", ale narodził się patron Polski solidarnej, Polski wyzwalającej się spod władzy czerwonego Smoka, patron "Solidarności" zwycięskiej - Brat polski Męczennik. Za jego wstawiennictwem "bronąć będziemy ducha, aź się rozpadnie w proch i w pył sowiecka zawierucha" - tak nam dopomóż Bóg!. Przyjmujemy Bożą pomoc, gdy odwracamy się od naszych grzechów, gdy trwamy w jedności z Chrystusem Prorokiem, Kapłanem i Królem-Pasterzem aż po życie wieczne. Amen.

Tworki, 16. XII. 1984

ks. Stanisław Małkowski - Episkopat

Informacja o ks. Stanisławie Małkowskim

opracowana w KC PZPR

I. Ur. 29.07.1944 r. w Woli Węgrowskiej. Posiada wykształcenie wyższe (mgr socjologii, specjalność resocjalizacja - Uniwersytet Warszawski 1969 r.). W roku 1974 ukończył Wyższe Seminarium Duchowne. W latach 1974-1975 był wikariuszem w parafii św. Józefata w Warszawie. 1975-76 - wikariusz w Zielonce K/Warszawy. W latach 1976-1977 był nowicjuszem w zakonie Dominikanów w Poznaniu. W latach 1977-1978 wikariuszem w Skierniewicach. W r. 1978 otrzymał urlop bezterminowy, tzn. pozostawał bez przydziału funkcyjnego. Od r. 1983 pełni funkcję kapelana na Cmentarzu Północnym (Wólka Węglowa) w Warszawie. W 1984 r. otrzymał od kard. Glempa zakaz wygłaszania kazań na terenie Archidiecezji Warszawskiej.

Utrzymuje od lat kontakty z działaczami antysocjalistycznymi. W przeszłości powiązany był z J. Kuroniem, który studiował na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1979 brał udział w głodówce protestacyjnej zorganizowanej przez działaczy antysocjalistycznych w Kościele św. Krzyża w Warszawie. Angażował się wielokrotnie w różnego typu nielegalne i awanturnicze przedsięwzięcia o charakterze demonstracji publicznych: m.in. składaniu wieńców w dniu 11 listopada pod Grobem Nieznanego Żołnierza, kilkakrotnie występował podczas antysocjalistycznych i antyrządzieckich zgromadzeń w Dołince Katyńskiej na Cmentarzu Powązkowskim.

W swoich kazaniach wygłaszanych w ciągu ostatnich lat na terenie całego kraju ks. Małkowski podejmuje systematycznie problematykę polityczną. Występując z pozycji szowinizmu religijnego demonstruje nienawiść do wszystkiego, co wiąże się z marksistowską ideologią i socjalistyczną rzeczywistością naszego kraju.

Swe kazania ks. Małkowski wykorzystuje do podsycania nastrojów wrogości wobec konstytucyjnych władz socjalistycznego państwa, do negowania jego ustrojowych zasad, całego dorobku Polski Ludowej, płaszczyzny porozumienia narodowego. Retoryki jego wystąpień, nacechowanej wulgarnościami i napastliwościami wobec wartości i instytucji socjalistycznego państwa nie da się w żaden sposób pogodzić z zasadami moralnymi uznawanymi i lansowanymi przez Kościół. Jest ona również sprzeczna z obowiązującym prawem.

W ubiegłym roku wobec ks. Małkowskiego wdrożone zostało postępowanie przygotowawcze w związku z nadużyciami działalności duszpasterskiej do celów sprzecznych z prawem. Jest ono kontynuowane do chwili obecnej.

Mimo wyrażonej w postaci wymienionego wyżej zakazu, dezaprobaty czynników kościelnych dla treści i formy jego kazań, ks. Małkowski nadal kontynuuje swą działalność na terenie kraju, z oznakami jej nasilenia się w ostatnim okresie.

II. Kazania ks. Małkowskiego przesycone są metaforą odwołującą się do najbardziej prymitywnych skojarzeń mających wywołać u odbiorcy uczucie nienawiści do wszystkiego, co w jego pojęciu kojarzy się z komunizmem. 13 marca br. w Piotrkowie Trybunalskim mówił o tym wprost: "Mamy prawo, a nawet obowiązek nienawidzić państwa szatana na świecie, władzy czerwonego smoka i imperium totalitarnego państwa komunistycznego". 27 stycznia w Podkowie Leśnej ks. S. Małkowski mówił o "cyрку życia politycznego, ży-

cia społecznego w Polsce. Bo czym innym jest komunizm, jeśli nie właśnie cyrkiem. Jest to rodzaj publicznego, zbiorowego błażeństwa".

Obsesyjna nienawiść do komunizmu przejawiająca się w kazaniach S. Małkowskiego przybiera często postać antyradzieckości. 24 marca br. w parafii Korytnica mówił: "Śpiewamy w Rocie: bronimy i bronici będziemy ducha, aż się rozpadnie w proch i pył szatańska zawierucha... śpiewamy dziś trochę inaczej; aż się rozpadnie w proch i pył sowiecka zawierucha... a czyż to wielka różnica sowiecki-szatański. Są to przecież synonimy".

Z takiej "poetyki" wyprowadza Małkowski oceny rzeczywistości naszego kraju: "Komunizm jest grzechem. Dlaczego komunizm jest zły? Dlatego, że partia ma program oparty na grzechu. Dlaczego głosowanie na partię komunistyczną jest złe? Dlatego bo głosowanie to jest kłamstwem, wybory są wielokrotnie fałszowane, a poza tym prowadzą one do zgody na takie rządy, jakie w Polsce właśnie istnieją i jakie opierają się na kłamstwie i bezprawiu... kłamliwa i nienawistna, i bezbożna, i nieludzka zarazem jest polska ideologia... od początku istnienia tego systemu jest to zabijanie, mordowanie, prześladowanie niewinnych ludzi. Są to już dziesiątki, więcej setki milionów ofiar".

W tejże samej Korytnicy 26 marca br. S. Małkowski w sposób judzacy komentował proces w sprawie zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki: "Dlaczego zostali osądzeni? Czy dlatego, że zabili księdza Jerzego? Słuchajcie: nie, przecież wykonali polecenie, przecież była to zbrodnia popełniona na rozkaz. Zostali skazani, a najpierw sądzeni dlatego, że nie zabili Waldemara Chrostowskiego, gdyby nie byli tacy pewni siebie, tacy szalenie nonszalancy, to wtedy, jak liczne morderstwa im się udawały do tej pory, tak i teraz żadnej odpowiedzialności by nie ponieśli. Mogliby zabijać dalej. Kolejną ofiarą byłbym najprawdopodobniej ja".

Biorąc pod uwagę humanistyczne wykształcenie ks. Małkowskiego, zakres pojęć naukowych, jakimi posługuje się w swoich kazaniach, trudno podejrzewać, że stosowana przez niego argumentacja jest rezultatem niskiego poziomu umysłowego czy wręcz zacofania.

Uprawiana przez S. Małkowskiego demagogia, obskurantyzm myślowy jest świadomym prymitywizowaniem, obliczonym na pobudzenie emocji, trafianie do odbiorców, którzy tego typu argumentację są skłonni przyjmować. Skądinąd jest to znana w socjotechnice metoda.

Pozostaje tylko pytanie, jak to wszystko pasuje do klimatu świątyni - takich, jakimi chciałby je prezentować na zewnątrz Kościół. Historia powszechna i historia Kościoła zna wprawdzie przykłady tego typu walki światopoglądowej, włącznie z płonącymi stosami inkwizycji, lecz jest to jakby sprzeczne z jednocześnie oficjalnie wznoszonym hasłem "cywilizacji miłości".

Kwiecień 1985 r.

Od redakcji. Jest prawdą znaną, że jedno zdanie kłamstwa wymaga wielu zdań sprostowania. Ze względu na oszczędność miejsca nie stać nas na to. Pragniemy tylko zwrócić uwagę, że swoją ocenę komunizmu ks. Małkowski wyprowadza nie z "poetyki", tylko z Pisma św. i nauki społecznej Kościoła (patrz: wywiad z ks. Małkowskim), poza tym ks. Małkowski piętkuje z ambony ideologię nie - jak w tekście - "polską", ale komunistyczną. Informacja opracowana w oparciu o materiały MSW zawiera nieścisłości rzeczowe: 1. w latach 1975-76 ks. Małkowski był wikariuszem w Żąbkach, a nie w Zieloncu; 2. w Skiermiewicach był w roku 1977 (do 4.XI), a nie w latach 1977-1978; 3. urlop bezterminowy otrzymał w listopadzie 1977 roku, a nie w roku 1978; 4. na UW nie spotkał się z Jackiem Kurońem, który studiował oraz następnie nauczał znacznie wcześniej i na innym wydziale itd. Swój styl smaczkiem jest nazywanie udziału w modlitwach na cmentarzu i składaniu wieńców "nielegalnym i awanturniczym przedsięwzięciem" oraz "antysocjalistycznymi i antyradzieckimi zgromadzeniami", krytykę zaś "wszystkiego, co wiąże się z marksistowską ideologią i socjalistyczną rzeczywistością" - "szowinizmem religijnym".



Warszawa, dnia 24 listopada 1984 r.

N. 2728/84/P.

PRYMAS POLSKI

DO WSZYSTKICH RZADCÓW PARAFII
ORAZ REKTORÓW KOŚCIOŁÓW W ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

Głoszenie słowa Bożego w kościołach należy do najważniejszych zadań kapłanów. W głoszeniu wypełnia się zadanie profetyczne przekazane Kościołowi od samego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Kościół nieustannie głosi Ewangelię czyli Dobrą Nowinę i w tym zadaniu nie może być skrępowany ani przez czynniki świeckie, ani przez głosicieli kościelnych, którzy chcą głosić własną naukę i na własny sposób.

W ostatnim czasie do Władzy kościelnej napływają skargi a nawet oburzenia wiernych, że niektórzy księża dają się ponieść uczuciom światowym i zamiast głoszenia prawd Bożych wdają się w polemiki nieteologiczne, nie mające także nic wspólnego z prawdziwym patriotyzmem. Te uwagi, potwierdzone przez bardzo poważnych katolików, wywołują zgorszenie wiernych. Odnoszą się one szczególnie do wystąpień Ks. mgra Stanisława Małkowskiego, kapłana archidiecezji warszawskiej.

Kapłan ten wielokrotnie został ostrzeżony i dnia 15 listopada br. przez Biskupa Pomocniczego upomniany, mimo to dawał się potem ponieść emocjom, a głoszone przez niego słowo było obce duchowi Ewangelii.

Biorąc to pod uwagę polecam wszystkim Rządcóm kościołów i kaplic, aby nie dopuszczali Księdza Stanisława Małkowskiego do głoszenia słowa Bożego u siebie. Ksiądz Małkowski może sprawować święte czynności na Wólce Węglowej, gdzie jest miejsce jego kapłańskiej pracy.

+ Józef Kard. Glemp

+ Józef Kardynał Glemp

PRYMAS POLSKI

ks. Stanisław Małkowski
03-972 Warszawa, ul. Złoczowska 23
tel. 17-63-10

Do Jego Eminencji Józefa Kardynała Glempa
Ordynariusza Archidiecezji Warszawskiej

Wasza Eminencjo !

Wobec zagrożenia mojego życia ze strony władzy świeckiej i zagrożenia mojej dobrej opinii ze strony władzy kościelnej proszę Księdza Prymasa o znak solidarności wobec mnie.

Niedawny dekret Eminencji dotyczący mojej osoby może być poczytany przez przedstawicieli władz państwowych (i jak sądzę jest poczytany) za rodzaj zachęty do represjonowania mnie z powodu przekonań.

Dlatego proszę o uchylenie dekretu z dnia 24 listopada 1984 (wydanego bez zachowania zasady "audiatur et altera pars" i bez wcześniejszych ostrzeżeń poza upomnieniem przez Ks. Biskupa Władysława Miziołka), który stawia mnie w sytuacji podobnej do tej w jakiej przed śmiercią znajdował się mój Przyjaciel Ksiądz Jerzy Popiełuszko.

Z wyrazami synowskiej czci i prośbą o modlitwę
Warszawa, 16.I.85 r.

ks. Stanisław Małkowski

SEKRETARIAT
PRYMASA POLSKI
00-246 WARSZAWA 1
ul. Miodowa 17, tel. 31-21-57

Warszawa, dnia 18 stycznia 1985 r.

N 0181/85/P.

Wielebny
Ks. Stanisław MAŁKOWSKI
ul. Łoczońska 23

03-972 Warszawa
=====

W odpowiedzi na pismo z dnia 16 I 1985 Sekretariat Prymasa Polski - z polecenia Jego Eminencji Księdza Kardynała Prymasa - uprzejmie wyjaśnia, że pismo Jego Eminencji ograniczające występowanie kaznodziejskie Księdza miało właśnie na celu ochronę Wielebnego Księdza.

Jego Eminencja pismo z dnia 24 XI 1984 kierował do Księży Proboszczów i Rektorów, nie naruszając w niczym posługi duszpasterskiej Księdza tam, gdzie jest Jego miejsce pracy duszpasterskiej.

A. Gabriel Borkowski
42
Sekretariat

Ks. Stanisław Małkowski
03-972 Warszawa, ul. Złoczowska 23

Warszawa, 17.II.1985

do: Jego Eminencji Księdza Prymasa Józefa Glempa

Wasza Eminencjo!

Dziękuję za list nr 0181/85/p. To pismo Zastępcy Kierownika Sekretariatu Prymasa Polski nie tylko nie usmierza moich dotychczasowych obaw, ale budzi nowe.

Czy konieczne jest w celu ochrony mojej osoby przypisywanie mi braku ducha Ewangelii i braku "prawdziwego patriotyzmu", stwierdzenie, że głoszę własne poglądy zamiast słowa Bożego ("własną naukę i na własny sposób") i ulegam uczuciom światowym, czyli - dyskredytowanie mnie bez należytego zbadania sprawy i bez zachowania zasady "audiatur et altera pars" o czym już wspominałem w poprzednim liście.

Biskupi Kieleccy w swoim Słowie Pastorskim z dnia 13.I.1985 piszą: "Należy wysłuchać i drugiej strony. Bez tej zasady informacja staje się manipulacją, a stosunki międzyludzkie dżunglą!".

Podobnie jak z treści pisma z dnia 24 listopada 1984 do Księdza Proboszczów i Rektorów nie wynika, że Ksiądz Prymas zapoznał się osobiście z treścią którejś kolwiek spośród moich homilii, tak również z treści listu z dnia 18 stycznia 1985 do mnie nie wynika, że Eminencja przeczytał mój list z 16-go I.1985 r.

Dlatego proszę, Eminencjo, "okaż mi swą twarz, daj mi usłyszeć swój głos!" (Pnp 2,14). Jeżeli motywem zakazu ograniczającego występowanie kaznodziejskie księdza jest chęć ochrony przed spodziewanymi napaściami ze strony władzy sowieckiej, to można obawiać się, że zakaz ten będzie trwał tak długo jak długo utrzyma się obecna władza (bo władze komunistyczne są nieodmiennie skłonne do napaдания na ludzi niewinnych i bezbronych, uważając za nienawiść to co my uważamy za miłość, uważając za kłamstwo to co my uważamy za prawdę), a ponadto - podobnym zakazem mogą być w celach ochronnych objęci także inni księża. Co więcej: ilekroć władza państwowa zechce któregoś księdza uciszyć, da po prostu do zrozumienia władzy kościelnej, że księdzu owemu grozi niebezpieczeństwo związane z jego postawą i działalnością.

Na konferencji prasowej 12-go II Ksiądz Prymas zapowiedział obronę księży represjonowanych ze względu na przekonania. Czy mogę mieć w związku z tym jakieś oczekiwania? Od kilku lat mam wrażenie, iż na opiniowanie mojej osoby i działalności przez władze i czynniki kościelne ma istotny wpływ Służba Bezpieczeństwa. Przebieg procesu toruńskiego to moje wrażenie wzmacnia. Z różnych zeznań na tym procesie wyłania się spora komitywa obu władz w niektórych sytuacjach i przypadkach. Wdzięczny byłbym za wypowiedź Księdza Prymasa i na ten temat.

Z wyrazami szacunku i prośbą o osobistą odpowiedź na oba moje listy.

(-) Ks. Stanisław Małkowski

1021/AP/85

Nr. _____

Wks. Stsniśław Małkowski
ul. Zioczowska 23
03-972 Warszawa

Jego Eminencja Ksiądz Kardynał Prymas polecił mi przesłać następujące wyjaśnienie, jako odpowiedź na list Księdza z dnia 17 bm.:

1. Decyzję P.P. adresuje się do Proboszczów i Rektorów, nie dotyczy bezpośrednio Ks. Małkowskiego. Dotyczy tylko pośrednio, ograniczając licznę jego wyjazdy. Każdy wikariusz siłą faktu ograniczony jest do parafii swego przeznaczenia.
2. Ks. Małkowski wiedząc o tym ograniczeniu dla jego dobra, zamiast postanowienia Biskupa narzucając się ze swoim słowem duszpasterzom.
3. Zasada "audiatur..." stosowana jest przy sprawach spornych stron. Ks. Małkowski nie jest stroną. Obowiązuje go posłuszeństwo Władzy Diecezjalnej. Biskupi muszą stać na straży kultury słowa na ambonie. Kazania Ks. Małkowskiego są publicznie znane, dlatego ich treści nie trzeba udowadniać.

WIKARIUSZ GENERALNY
BISKUP POMOCNICZY WARSZAWSKI

+ Kazimierz Romaniuk

ks. Stanisław Małkowski
Warszawa, ul. Żłoczowska 23

Do Kurii Metropolitarnej Warszawskiej

W odpowiedzi na list nr 1021/AP/85 z dnia 21.II.85 r. uprzejmie komunikuję, iż wyjaśnienie, które otrzymałem jest raczej uchYLENIEM się od odpowiedzi niż odpowiedzią na moje prośby i pytania.

Ad 1. Cmentarz na Wólce Węglowej jako placówka państwowa nie jest czynny w niedziele i święta. Dlatego moje wyjazdy duszpasterskie nie kolidowały z pracą w miejscu mojego przeznaczenia, czyli na cmentarzu komunalnym Północnym w Warszawie. Zdanie, że "każdy wikariusz siłą faktu ograniczony jest do parafii swego przeznaczenia", nie odnosi się do mnie, bo nie jestem wikariuszem (o czym zreszta Autor listu wie). Ograniczenie wyjazdów wikariusza wynika z jego obowiązków i zależności od proboszcza; jeżeli wikariusz może i chce wyjeżdżać, a ponadto jest gdzieś z posługą słowa zapraszany, to nie wymaga się dodatkowych pozwoleń poza zgodą przełożonego.

Ad 2. Skoro decyzja Ks.Prymasa "nie dotyczy bezpośrednio ks. Małkowskiego", coż znaczy stwierdzenie, że "Ks.Małkowski łamie postanowienia Biskupa"? Postanowienie Biskupa co do mnie stwarza nową sytuację, która faktycznie ogranicza moje wyjazdy, pozostawia mi jednak jeszcze Ks.Prymas pewną swobodę poruszania się po Polsce; czy sprzeciwiam się posłuszeństwu, jeżeli z tej swobody korzystam? Stwierdzenia, że "narzucam się" duszpasterzom ze swoim słowem, jest nieprawdziwe. To zdanie Autor powinien udowodnić.

Ad 3. To, że obowiązuję mnie posłuszeństwo wobec Władzy Kościelnej, wiem. W tym wypadku jednak między mną a Biskupem nie ma relacji posłuszeństwa (albo nieposłuszeństwa). Istnieje natomiast inna relacja: pominięcia i krzywdy. Biskup rozpoznał ze mną (pośrednio) spór, odsadzając mnie od czci i wiary w szeroko rozesłanym piśmie, którego treść opiera się nie na analizie moich wystąpień, lecz na opiniach osób trzecich (jak mogę przypuszczać m.in. pracowników MSW oraz J.Urbana). Zdanie, że "Biskupi muszą stać na straży kultury słowa na ambonie", jest samo w sobie całkowicie słuszne w kontekście jednak oznacza iż ja wypowiadałem się w sposób niekulturalny. Proszę to udowodnić i dać mi możliwość obrony. Znowu nie wchodzi tu w grę relacja posłuszeństwa, lecz relacja sporu między oskarżycielem a oskarżonym. Autor listu nie liczy się ze słowami i udaje że nie wie, jaka jest moja sytuacja w diecezji i w kraju. Twierdzenie, że zostałem obsypany inwektywami dla mojego dobra i w celu ochrony mojej osoby; przypomina mi (mutatis mutandis) znane wypowiedzi władz komunistycznych n/t tzw. "mniejszego zła". Nie wypieram się treści moich kazań, chciałbym jednak wiedzieć, z jakiego źródła czerpie Biskup informacje i czy w ogóle interesuje się treścią moich kazań, czy może tylko reakcją na te kazania ze strony ludzi, z których zdaniem się liczy. Kazania tzw. ostre głoszące od dłuższego czasu i do tej pory żadnej reakcji Władzy Archidiecezjalnej nie obserwowałem (poza odsunięciem mnie na margines, pozbawieniem przydziału przez sześć lat - 1977-1983, w końcu skierowaniem na cmentarz). Zastanawiam się, jaka nowa okoliczność nastąpiła. Otóż dwie są sprawy nowe: śmierć księdza Jerzego Popiełuszki i w związku z tym zwrócenie przez SB jeszcze większej niż poprzednio uwagi na mnie oraz mój spór z Urbanem. W tej nowej sytuacji spotęgowała się wobec mnie presja władzy świeckiej, a zarazem pojawiły się inwektywy i ograniczenia ze strony Władzy Kościelnej. Dlatego trudno mi uwierzyć w szczerą deklarację i zapewnienie, że Biskup mnie broni i będzie bronił. Tym bardziej, że wiem, jak Ks.Prymas traktował ks. Jerzego Popiełuszkę przed jego męczeńską śmiercią. Nie wątpię, że w przypadku mojej nagłej śmierci Ks.Prymas powiedziałby o mnie od czasu do czasu coś dobrego, gdyby poczuł się do tego zmuszony. Wolałbym jednak, gdyby Ks.Prymas już teraz bronił mnie w sposób rzeczowy a nie pozostawiał

rowany, lub żeby przynajmniej okazał mi ludzką życzliwość, czego z Jego strony nie doświadczam (podobnie zresztą, jak nie doświadcział ze strony Ks.Prymasa życzliwości ks. Jerzy Popiełuszko, z którym osobiście rozmawiałem na ten temat).

Dotychczasowa wymiana korespondencji świadczy o tym, że Ks.Prymas w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Życzliwości i rozmowy nie da się na nikim wymusić. Dlatego o nic już Ks.Prymasa nie proszę i przekazuję tylko moją skargę ad acta.

Z poważaniem i prośbą o modlitwę

Ks. Stanisław Małkowski

pieczętka KURIA METROPOLITARNA

WARSZAWA

ul. Miodowa Nr 17/19

00-246 Warszawa

6 marca 1985

przyjęłam za nr 1299/AP/85

podpis nieczytelny

ANDRZEJ NEUT

Dłonie bez stygmatów

Popiół kiedy człowiek spłonie
Wiatr poniesie w krainę dobrego i złego
Zgliszcza pozostaną: tu był dom bezdomnych
Przejdiesz mimo nie zgadując losu
Cel pielgrzymek jest zawsze dalej niż pod nosem
Nie wdziali Chrystusa ci co przybijali
Do belki poziomej dłonie bez stygmatów

Trzeba pochwalić czekiste

Nic nie jest zupełnie dobre
i nic nie jest do końca złe
czekista z naganem
i ofiara z rozwaloną potylicą
są pół na pół.
Trzeba pochwalić czekistę
cokolwiek
za młodość i radość życia
które bywa zabijaniem
i zganić ofiarę
że była prawie stara
i niezbyt zgrabnie padała
w wykopany grób.
A, wtedy jest szansa
nadzieja
duże prawdopodobieństwo
prawie pewność
że nie będzie czekistów
i ofiar
że grób zasypiemy dialogiem
aby nie razł
mimo wszystko
żywych.
Oto taktyka polityki
etyka estetyki
wieku, który nie jest już wilczy
do czasu.

Curzio Malaparte (prawdzie nazwisko: Kurt Suchert), ur. 9 czerwca 1898 roku pod Florencją, syn Austriaka i Włoszki, pisarz i reporter, zwolennik włoskiego faszyzmu, autor podręcznika zdobywania władzy ("*Tecnica del capo di stato*"), po popadnięciu w konflikt z Włochami Mussoliniego przebywał 5 lat w ciężkim więzieniu na wyspie Lipari, skąd zwolniony został w 1939 roku. Od 1941 przebywał na froncie jako korespondent wojenny (po stronie niemieckiej) w Finlandii i na Ukrainie. Owocem tego pobytu stała się książka "*Kaputt*", pisana w latach 1941-1943, która po II wojnie światowej przyniosła mu międzynarodową sławę, zaliczana do klasyki światowego reportażu (I wyd. polskie - "Czytelnik", Warszawa 1962). W Polsce opublikowano także wybór z tomu "*Racconti Italiani*", "*Szczęśliwy dzień i inne opowiadania*", "Czytelnik", Warszawa 1966. Tekst, który publikujemy obok to fragmenty jego książki "*Intelligenza di Lenin*" według wydania polskiego Towarzystwa Wydawniczego "Rój", Warszawa 1938.

Legenda Lenina

Legenda Lenina, owa posepna legenda, która z fanatycznego drobnomieszczanina, z gwałtownego i nieśmiałego zarazem pocziwca uczyniła krwiożerczego potwora, proletariackiego Dżyngis-Chana, co wyszedł z głębi Azji, aby rzucić się na podbój Europy - legenda ta nie narodziłaby się wcale, gdyby nie optymizm Candide'a i Babbitta, reprezentacyjnych bohaterów mieszczaństwa Zachodu. Niepoprawnym tym optymistom zdawało się, że wystarczy wyprzeć się Lenina, wypędzić go poza obręb ducha burżuazyjnego, uczynić zeń Mongoła, aby usprawiedliwić swe obawy, przytknąć wyrzuty sumienia i ożywić złudzenia. Czyż są rzeczywistości tak pewni, że moralność i logika mieszczańskiej cywilizacji nie mogły, nie zdołałyby nigdy zrodzić podobnego potwora?

Że nie mógłby on nigdy przyjść na świat nad brzegami Hudsonu lub Tamizy, Sekwany lub Szprewy? Czyż doprawdy sądzą, że Dżyngis-Chan rewolucji proletariackiej mógł powstać tylko z gorączkowego snu Azji?

Rzecz to zupełnie naturalna, że Plutarchowie z Kremła uczynili z Lenina po jego śmierci rodzaj oleodruku na użytek chłopów. Ale inteligentni Rosjanie, komuniści lub dawni bourgeois, technicy, studenci, intelektualiści, członkowie elity robotniczej, nie opierają swego sądu o Lenina nie na tym jaskrawym oleodruku. Widzimy na nim Lenina-tatara ze strasznyimi oczami, z olbrzymią pięścią, wyciągniętą w kierunku czerwonego horyzontu, na którym rysuje się wieża Eiffla i wieża Westminsterka, a na dalszym planie - drapacze chmur, ukoronowane purpurowymi obłokami. Władimir Iljicz stoi z głową odrzuconą do tyłu, z drgającymi nozdrzami, sztywny jak jeździec mongolski, unoszący się w strzemiączkach. Inteligenci jednak, wyobrażają go sobie takim, jakim był w rzeczywistości - jako "przeciętnego Europejczyka", spokojnego drobnomieszczanina o doktrynerskim fanatyzmie, o abstrakcyjnej woli, "gorliwego urzędnika, nie znoszącego nieporządku", jako skrybę, niezdolnego do czynu poza granicami zasięgu teorii, małomiaszczkowego domatora, zbłąkanego wśród zawieruchy rewolucji niby bibliotekarz wśród zamieszek ulicznych, słowem - jako fanatyka zdrowego rozsądku, fanatyka, który sam jeden zdołał w oczach ludu okupić jakobiński romantyzm swoich "sztabowców", krwawe gwałty Trockich, Raskolnikowów, Dzierżyńskich, Dybienków, Piatakowów. "Ach! Gdyby Władimir Iljicz żył!" - słowa te często słyszy się w Rosji podczas prywatnych rozmów. Jakże się to więc mogło stać, że właśnie ów Lenin z oficjalnej legendy na użytek muzyków stał się Leninem na użytek poczytych mieszczań Zachodu?

Podczas swej pierwszej podróży do Sowietów, Candide i Babbitt, popychani naprzód przez żagodny, letni wietrzyk optymizmu, ów słynny wiatr zachodni, przynoszący ziarenka filantropii z dalekich stron, znad brzegów Potomaku,

Tamizy i Sekwany, nie przypuszczali wcale, że okaże się, iż buty Piotra Wielkiego to nie to samo, co trzewiki Casanovy - dwaj ci bowiem bohaterowie, jak wieść niesie, odnieśli w Rosji sukces i zdołali dość dobrze zrozumieć ten kraj, mimo, że każdy z nich kroczył własną drogą, nosząc własne buty.

Nasi zaś dzielni dwaj mieszczenie weszli przypuszczalnie do Moskwy w ubraniach prosto z igły, trzymając pantofle w rękę i stąpając na palcach, aby nie obudzić podejrzeń tego dziwaczного narodu. To oni właśnie ze swej pierwszej podróży do Rosji Sowieckiej przywieśli do Europy ów oleodruk, sporządzony na użytek ciemnych chłopów. Portret ten, rzekłbyś, stworzono po to, aby straszyc i uspokajać jednocześnie nasze mieszczaństwo. "Wystrzegajcie się Lenina, bo to potwór, ale uspokójcie się zarazem, gdyż jest to Dżyngis-Chan z Azji rodem. Potwór ten nie wyszedł z naszego środowiska". Taki był sens wszystkich uwag Candide'a i Babbitta o Władimirze Iljiczu, poczynając od października 1917 roku. Ale innej zgoda mowy należało się spodziewać po dwóch gentelmanach, którzy powołują się zawsze na Woltera i Rousseau, udają, że leży im na sercu wolność Europy i podają się za zwolenników Kartezjusza, aby stwierdzić, że zdrowy rozsądek jest najlepiej podzieloną rzeczą na świecie. "Wystrzegajcie się Lenina, ponieważ jest to drobnomieszczanin" - oto, co powinni by byli głosić, gdyby optymizm nie zaczął miewać jasności ich sądu. "Strzeżcie się tego potwora, jest bowiem mieszczańinem, jak i my wszyscy".

Najbardziej znamieną oznaką schyłkowości zachodniej burżuazji jest fakt, że w Leninie potrafi ona dostrzec tylko Dżyngis-Chana. Jak to dobrze, że tego rodzaju potwory mogą narodzić się tylko nad brzegami Wołgi lub w stepach Azji, że nie mogły być ani Anglikami, ani Niemcami, ani Francuzami. Przekonanie to łagodzi niepokój naszych dzielnych mieszczań. Aby zdać sobie sprawę z beztroskiego optymizmu, z jakim w Europie wydaje się sądy o ludziach i wypadkach rewolucji rosyjskiej, wystarczy zastanowić się nad zapewnieniami kilku najwybitniejszych Candide'ów naszych czasów, na przykład nad oświadczeniami ekonomisty angielskiego Keynesa. Cieszy się on tak dobrą reputacją, że nie dosięga go żadna ironia. "Kilku polityków francuskich" pisze on - "między innymi Poincaré, za którym idzie garść reprezentantów polityki Stanów Zjednoczonych, to moim zdaniem, najbardziej dziś niereligijni ludzie na świecie, Trocki zaś, Bernard Shaw i Baldwin należą, każdy na swój sposób do ludzi najbardziej religijnych". W konkluzji Keynes stwierdza, że leninizm jest religją, a nie partią i że Lenin jest Mahometem, a nie Bismarckiem. Czegoż ma się obawiać współczesna Europa ze strony marksowskiego Mahometa? Nie wszyscy są muzykami. Mniejsza o to, czy Lenin jest Dżyngis-Chanem czy Mahometem. Rzecz w tym, że nie pochodzi z naszego środowiska. Fakt, że nie spłodziła, że nie mogła spłodzić potwora, rozprasza obawy burżuazyjnej Europy o jej losy.

Ale Lenin jest potworem tylko w tym stopniu, w jakim przy sprzyjających okolicznościach może nim być lub stać się pierwszy lepszy przeciętny Europejczyk. Fanatyzm jego należy do najbardziej charakterystycznych i najlepiej ukrytych cech ducha drobnomieszczańskiego. Historia rewolucji ostatnich trzech stuleci to przecież tylko historia pożarów, wzniesanych w Europie przez drobnomieszczański fanatyzm. Lenin, poczciwy drobnomieszczanin, gwałtowny i nieśmiały zarazem, nie należy do rasy Dżyngis-Chanów i Mahometów, jak sądzą "the gentlemen who write to the Times". Należy raczej do olbrzymiej rodziny drobnych urzędników, drobnych notariuszy, inteligentów, prowincjonalnych adwokatów, których fanatyczny duch nie przestaje nurtować Europy od czasu, kiedy zaczęła się epoka filantropii i optymizmu. Lenin sam był przecież pomocnikiem adwokata przysięgłego. Potworny jest w nim tylko właśnie ten doktrynerski fanatyzm, który w pewnych warunkach z każdego drobnomieszczańina może zrobić zarówno Cromwella, jak i Mac Donald'a, Robespiera, Clemenceau lub Lloyd George'a. Gdy zapoznamy się z młodością Lloyd George'a zobaczymy, że jedynie

szczęśliwy przypadek - jego spotkanie z Sir Williamem Harcourtem - sprawił, iż nie stał się on walijskim Mahometem ostatnich lat panowania Królowej Wiktorii.

Największym niebezpieczeństwem zagrażającym współczesnemu społeczeństwu, jest właśnie ów duch drobnomieszczański, z którego wypływa logika, dominująca w życiu i dziele rewolucyjnym Lenina. Ten fanatyczny ruch od trzech stuleci bez mała tkwi u źródła wszystkich rewolucji, wszystkich zaburzeń moralnych, politycznych i intelektualnych Europy. Można by zaryzykować stwierdzenie, że po to, aby stać się tak zwanym potworem, trzeba się koniecznie urodzić drobnomieszczańinem.

Na początku roku 1895, w zbiorze studiów marksistowskich, który ukazał się pod tytułem: "Materiały do charakterystyki rozwoju gospodarczego Rosji", obok nazwiska Struwego, jednego z najbardziej umiarkowanych socjalnych demokratów, znanego z liberalnej interpretacji teorii Marksa, widniał pod pseudonimem Tulina podpis Władimira Iljicza. Przybrane to nazwisko miał później zarzucić dla pseudonimu Lenin. Artykuł, podpisany przez Tulina, pełen był tych samych insynuacji, jakie rozpowszechniali ukradkiem przyjaciele Struwego o ludowcach i uczniach Plachanowa. Współpraca ze Struwegiem przeciwko najuczciwyszemu i najwierniejszemu marksistom rosyjskim oznaczała przejście do obozu nieprzyjacielskiego, była robotą prowokacyjną i rozkaładową. "My ryzykujemy zamknięciem w więzieniu, a nawet utratą życia", pisał jeden z czołowych ludowców do Wiery Zasulicz, "Władimir Iljicz zaś ryzykuje tylko tyle, że stanie się przedmiotem wzgardy". Lenin nic sobie nie robił z pogardy i nieufności, jaką wyczuwał wokół siebie. "Nie wiem, co nazywacie człowiekiem czynu", powiedział pewnego razu do Szejgunowa, który radził mu wziąć bardziej czynny udział w walkach robotniczych. Przez całe życie Lenin nie daje się wciągnąć do czynnej działalności. W roku 1905 zdecydowanie się opuścić Szwajcarię i powrócić do Rosji dopiero wtedy, gdy już będzie za późno. Bądźcie asystował wypadkom rewolucyjnym 1905 roku w charakterze widza, zadowolony się robieniem notatek i zakreślaniem na marginesie dzieła Clausewitza o sztuce wojennej ustępów, dających się zastosować do taktyki powstańczej. W październiku 1917 roku, w rozstrzygającej chwili powstania, włożył perukę, zgolił brodę i wąsy, i przebierze się za robotnika - będzie wolał ukryć się i pozostawać na uboczu, niż zaryzykować ukazanie się na terenie walki i gwałtów. Oświadczając, "nie jestem tym, co wy nazywacie człowiekiem czynu", Lenin z pewnością nie chciał przyznać, że jest tchórzem, czy doktrynerem, jednym z owych "profesorów marksizmu", "adwokatów", niezdolnych do wzięcia na siebie odpowiedzialności rewolucyjnej. Czuje tylko odrazę do brania udziału w walce, do uczestniczenia w biegu wypadków. A wypadki popychają go naprzód, czasem znów porywają ze sobą i wypredzają. Lenin poprzestaje na studiowaniu istoty zjawisk, na przewidywaniu ich następstw, stosowaniu teorii do faktów już dokonanych. Od czasu spotkania z Krassinem i Szejgunowem aż do wybuchu powstania październikowego w roku 1917 rola jego w rewolucji polega na wykuwaniu narzędzia osobowego walki, na skupianiu wokół siebie garstki ludzi pewnych, na tworzeniu stronnictwa, które w decydującej chwili potrafiłoby pokierować biegiem wydarzeń. Ani na chwilę nie tracąc z oczu celów rewolucji, to znaczącej swojej partii, cały swój fanatyzm, wolę i przebiegłość Lenin poświęca zwalczaniu tych, co wzbudzają w nim uczucia nieufności i urazy, drażnią boleśnie jego nieśmiałość - którym żal, tych wszystkich, których powaga, autorytet i niewątpliwa wierność dla sprawy rewolucji proletariackiej mogłoby doprowadzić do pozbawienia go roli dyktatora we frakcji bolszewickiej. Jeżeli celem partii jest zdobycie władzy w państwie, to osobistym celem Lenina jest zaprowadzenie dyktatury w partii. Nie zależy mu na wywieraniu wpływu na bieg wypadków, ani na ich przygotowaniu - on czeka na te wypadki. Horzont jego czynnej woli nie sięga poza granice partii. Pole jego

działalności zamyka się w dyskusjach teoretycznych, w polemikach osobistych, w cichej, podstępnej walce ze wszystkimi, których się obawia, choćby to byli nawet własni jego najwierniejsi zwolennicy. Nieufność względem wszystkich, nawet względem własnych stronników, to zaprzeczenie człowieka czynu. W tych drobnych utarczkach i waśniach, trwających dwadzieścia pięć lat, drobnomieszczański fanatyzm Lenina znajduje odpowiednią atmosferę. Owe to właśnie niewielkie środki i drobne posunięcia, prowadzące do bohaterkiego celu, składają się na wielkość Lenina. Widzieliśmy już na przykładzie Mazzariniiego i Robespiera, jak drobnomieszczoafscy bohaterowie osiągają swą wielkość za pomocą drobnych środków.

Lenin jest wodzem, ale w roku 1905 i 1917 inny człowiek weźmie na siebie odpowiedzialność za akcję rewolucyjną - człowiekiem tym będzie Trocki. Lenin, ten drobnomieszczański bohater, zrozumiał, że udział w walce, dążenie do opanowania lub zmiany biegu wypadków jest rzeczą nie tylko nie przynoszącą pożytku, ale i niebezpieczną. Zrozumiał doskonale, że po to, aby znaleźć się na czele zwycięskiej rewolucji, wystarczy stanąć na czele partii bolszewickiej. Z Londynu, z Paryża, z Zurychu kieruje nie ruchem rewolucyjnym, lecz walką z Plechanowem, Martowem, ze swymi przeciwnikami, przygotowuje nie rewolucję rosyjską lecz swą osobistą dyktaturę. "Rewolucja - to ja", powie podczas kongresu londyńskiego w 1903 roku komuś, kto mu zarzuca krótkowidztwo. Ten krótki wzrok sięgał jednak daleko. Trocki, fanatyk czynu, uoturjuje mu drogę do władzy. Pewne wydarzenie z młodych lat Lenina charakteryzuje zarówno jego przyszłą rolę w rewolucji rosyjskiej, jak i głęboką odrazę do czynnego udziału w wydarzeniach. W styczniu 1895 roku wybuch strajku w zakładach Siemiannikowa. Podczas gdy towarzysze jego, a nawet sam Szełgunow, mieszają się z tłumem robotniczym i ujmują w swe ręce kierownictwo strajku, aby wydatnić i podkreślić jego rewolucyjny charakter, Władimir Iljicz, który miał wówczas dwadzieścia pięć lat i w rosyjskim ruchu socjalistycznym odgrywał trzeciorzędna zaledwie rolę, co mu pozwalało na czynny udział w akcji bez obawy narażenia na szwank losów rewolucji proletariackiej, otóż Władimir Iljicz zamyka się w swym mieszkaniu, aby wśród książek, papierków i danych statystycznych zasiąść do redagowania ulotki, poświęconej strajkującym.

Strajk ten nie jest dlań sposobnością do czynu, lecz do ponownego sformułowania swych teorii, do udzielania rad, do wyrażenia głębokiej pogardy ludowcom i uczniom Plechanowa. Nie podburza robotników przeciw burżuazji kapitalistycznej, lecz przeciwko członkom "Narodnej Woli" i "advokatom". Odsłania przed strajkującymi prowokacje terrorystów, którzy strajk ten chcieliby wyzyskać dla swych krwawych przedsięwzięć i nawołuje robotników, aby nie poddawali się zwodniczym złudzeniom uczniów Plechanowa, widzących w strajku tym niebezpieczeństwo dla pokojowego rozwoju rewolucji socjalistycznej i usiłujących wtłoczyć rewoltę robotniczą w ramy legalizmu. Ostrożność Lenina wydała się przesadną nawet własnym jego towarzyszom - zarzucono mu dwuznaczność postępowania, niewłaściwość usiłowań przekształcenia strajku w sprawę osobistą, w demonstrację przeciwko ludowcom i najbardziej szanowanym przedstawicielom rosyjskiego marksizmu, posuwano się nawet aż do nazywania go dezertorem.

Ktoś powiedział, że Lenin nauczył się śmiać w Londynie. Przechylał głowę na ramię, przymykał oczy, prawą ręką ujmował przegub lewej i trzając ramionami śmiał się długo, nie dającym się powstrzymać śmiechem, który kończył się zwykle atakiem kaszlu. Otwierał wówczas oczy i toczył dokoła wyzywającym spojrzeniem, jak gdyby chcąc się upewnić, że nikt nie zwrócił uwagi na sposób, w jaki się śmieje, który miał w sobie coś starczego i kobiecego zarazem. Aż do ostatnich chwil życia, gdy postępujący paraliż wywoływał w nim niepohamowaną chęć ziewania i gdy Lenin śmiał się nieustannie (usiłował śmiechem reagować na te krytyczne momenty), zachował podczas śmiechu ów zwyczaj przymykania oczu, chwywania prawą ręką przegubu lewej i wstrzą-

sania ramionami, jak gdyby śmiech był dla niego bolesnym wysiłkiem. W chwilach wesołości mogłoby się zdawać, że cierpi - twarz mu się wykrzywiła i wyglądał tak, jak gdyby trapiły go kurcze żołądka. Śmiech jego był zaraźliwy. Obecnie Lenin spoczywa u stóp Kremla w kryształowej trumnie. Ma uśmiech na ustach i półprzymknięte oczy. Lewa ręka, łagodnie ułożona na pierś, zdaje się ścisnąć dłoń ręki prawej, która szeroko rozwartą, opiera się o bok. Można by przypuszczać, że śmierć zaskoczyła Lenina w chwili, gdy wykonywał taki sam gest, jak ongi w Londynie, kiedy spoglądał uśmiechając się na wieżę Westminsterską na ten i c h Westminster lub na kolumnę na Placu Trafalgar, owe symbole potęgi i pychy wolnej Anglii.

W socjalistach angielskich najbardziej bawił go ich filantropijny sentymentalizm, ich niezdolność do zrozumienia, że przemoc rewolucyjna jest koniecznością walki klas. Webbowie, MacDonaldowie, Snowdenowie, Hendersonowie, Landsbury'owie, Hyndmanowie, wszyscy ci purytański marksiści, ci protestanci, szukający Marksa w wersetach Ewangelii, "jak Cromwell pod stołem szukał Boga", wydawali mu się drobnomieszczkańskimi ideologami, ale drobnomieszczczanami z rodziny Candide'a, pozabawionymi tego fanatyzmu, który jedynie z zasad Marksa potrafi wysnuć prawo rewolucji proletariackiej. Nie bez pewnego ukontentowania dostrzegł, że Marks Anglików, ów purytański gentleman, karmiony mlekiem, jarzynami i dobrymi intencjami, poprawny, wyposażony w hipokryzję, tak sprzyjającą rozwojowi najrozmaitszych zblednych ludowi uczuć, różni się bardzo od Marksa Rosjan, owego Marksa, w którego żyłach płynęła czarna krew, który to prostował się, zimny i cyniczny, aby piętnować ciemność ludu i ujawniać prawa wlotów i upadków proletariatu, to znów kręcił się wśród robotników i chłopów Europy, niby człowiek nawiedzony gorączką lub prześladowany halucynacjami, niby prorok nieznanego Boga. Marks Webba i Towarzystwa Fabiańskiego, hipokryta i filantrop, był to właśnie Marks ludu angielskiego, który dumny i niewzruszony zarysowuje się na romantycznym tle jednej w swoim rodza-ju historii najazdów i podbojów, cudownej cywilizacji, stworzonej przez wytrwałość, odwagę, egoizm, rozagę i zamiłowanie do przygód, a opromienionej wszystkimi pozorami wolności i tyranii. Ten drugi, Marks muzyków, był to właśnie Marks ludu rosyjskiego, który wyłonił się z głębi dziejów, ściśle zespolonych z dziejami Azji, dziejów posepnych i tajemniczych, pełnych wspaniałej i okrutnej boskości, nieludzkich ksiąząt, plebsu, pozabawionego nadziei i nie znającego miłosierdzia, cywilizacji, kierowanej ślepowym poczuciem religijnym przyrody. Był to Marks ludu, u którego najbardziej mglisty mistycyzm łączy się z najburzliwszym realizmem, cierpliwosć zaś, pokora, poddanie się wszelkiemu nieszczęściu, wszelkiemu cierpieniu, wszelkiej niewoli, idzie zawsze w parze z dążeniem do dobra, do cnoty, do szczęścia, z dalekim przeczcieniem wolności, z instynktem buntu i zemsty.

Ale o ile Lenin pogardził Marksem Webba, o tyle Marks muzyków budził w nim niesmak. Filantropijny optymizm socjalistów z Fabian Society był, jego zdaniem, równie daleki od ducha marksizmu, jak zabobonna ignorancja ludu rosyjskiego. Przy Marble Arch, u wejścia do Hyde Parku, Lenin słuchał mówców, wygłaszających o teoriach Marksa kazania w języku Poplaru, Lime House'a i Whitechapelu, w owej angielszczyźnie robotniczych przedmieść East Endu, tak niezrozumiałej dla ucha gentelmena z Kensingtonu. I wtedy to właśnie nawiedziła Lenina jego idea fixe-mysł zgrupowania dookoła swej osoby garstki ludzi, gotowych na wszystko, zawodowych rewolucjonistów, ożywianych zimnym, lecz gwałtownym fanatyzmem, operujących naukowym cynizmem, nie liczącym się z przesadami burżuazyjnej moralności, właśnie wtedy doszedł do wniosku, że idea ta jest koniecznością, od której zależy nie tylko powodzenie owej walki, jaką miał podjąć dla ugruntowania wewnątrz partii swej własnej dyktatury, lecz także przyszłość ruchu rewolucyjnego w Rosji. Należało jak najprędzej ją zrealizować. Na kongresie partii udzielił ostatecznej odpowiedzi na pytanie, sformułowane w tytule swej słynnej broszury: "Co robić?" Idea skupienia sokół siebie małej, nieregularnej armii zawodowych rewolucjonistów zaświeciła w jego głowie po raz pierwszy w Petersburgu, gdy-wraz z Szełgunowem or-

ganizował "Związek walki o wyzwolenie klasy robotniczej". "W rosyjskich kołach socjalistycznych śmiano się aż do skutku", powiedział Lenin do Szeigunowa. Broszura jego "Co robić?", która na początku tegoż roku ukazała się w Szwajcarii, tuż przed wyjazdem Lenina do Londynu, wywarła wielkie wrażenie zarówno wśród emigrantów jak i wśród socjalistów w Rosji. Wywołała ona gwałtowne polemiki. Nawet w 1917 roku Lenin nie napisał nigdy o zagadnieniach rewolucyjnych nic oryginalniejszego, ani bardziej interesującego. Na tle późniejszej przeciętności jego pism, broszura ta wydaje się nam najbardziej charakterystyczną dla tego drobnomieszczańskiego doktrynera, u którego odrazą do czynu łączyła się z bezwzględnyim przeświadczeniem o skuteczności tego, co pisał. Broszurze tej Lenin zawdzięcza w znacznej mierze swe stanowisko w partii w przeddzień kongresu 1903 roku. "Jesteśmy tak prymitywni, pisał Lenin, że obniżyliśmy prestige rewolucjonisty w Rosji. Rewolucjonista nasz, słaby i chwiejny w kwestiach teorii, o wąskim i ciasnym horyzoncie, perorujący o braku dyscypliny wśród mas, aby usprawiedliwić własną niemoc, przypominający raczej sekretarza związku zawodowego, niż trybuna ludu, niedoły do kreślenia wielkich i śmiałych planów, które by potrafiły wzbudzić szacunek również i w przeciwnikach, niedoświadczony i niezdarny w swym zawodzie, jakim jest walka z policją polityczną - nie jest prawdziwym rewolucjonistą, lecz zaledwie nędznym chałupnikiem-amatorem. Niechaj bojownicy nasi wybaczą mi te surowe słowa, w kwestii bowiem braku odpowiedniego przygotowania zwracam się przede wszystkim do siebie samego. Pracowałem w grupie, której zamiary i cele były wielkie i zakrojone na szeroką skalę. My, członkowie tej grupy, doznawaliśmy wszyscy bolesnego uczucia na myśl o tym że jesteśmy amatorami zaledwie, dyletantami, i to w chwili, gdy można było, parafrazując znane powiedzenie, rzec: "Dajcie nam organizację rewolucjonistów, a przeorzymy całą Rosję do gruntu!" Ilekroć przypomnę sobie, jak palącego uczucia wstydu doznawałem wówczas, rośnie we mnie rozgoryczenie do owych fałszywych socjalnych demokratów, którzy hańbią imię rewolucjonisty, którzy nie rozumieją, że nie wolno nam się godzić na zniżanie się rewolucjonisty do poziomu dyletanta, lecz właśnie powinniśmy podnosić dyletanta do poziomu rewolucjonisty."

Przytoczyłem ten ustęp, ponieważ mówi nam lepiej, niż jakokolwiek inna praca Lenina o tym, jak funkcjonuje mechanizm jego idei przewodniej, mechanizm jego mózgowego fanatyzmu, który akcję rewolucyjną ujmował wyłącznie w formie abstrakcyjnej, rewolucję zaś traktował jako nieuchronny wynik swych rozważań teoretycznych, swej działalności intelektualnej i osobistej taktyki wewnątrz partii. Nawet namiętności Lenina, nawet jego instynkty rewolucyjne były tylko objawami jego racjonalizmu. Motorem obiegu krwi było u Lenina nie serce, lecz mózg. Nie można go było nazwać tchórzem, zdarzały się jednak chwile, jak na przykład w grudniu 1905 roku i w październiku 1917 roku, kiedy "mózg jego odczuwał strach". Ilekroć okoliczności wciągały go nieodparcie w obręb akcji rewolucyjnej, ilekroć zmuszały go, aby wprowadzał w życie swe teorie, aby brał na siebie całkowitą i bezpośrednią odpowiedzialność za realizację swych idei i zastosowanie w praktyce swych zasad tytki powstańczej, ilekroć wypadki groziły, że pchną go na barykadę, jakby się to określiło w 1848 roku - Lenin uchylał się lub wycofywał.

Niechęć do brania udziału w walce rewolucyjnej i do osobistego występowania tam, gdzie uciekano się do gwałtu, nie miała swego źródła w tchórzostwie, jak twierdzili niektórzy jego przeciwnicy i mniej śmiaśli spośród jego przyjaciel. Raczej kazały mu się cofać ogarniające go wątpliwości, czy nie pomylił się może w swych obliczeniach, czy wydarzenia nie są może odmiennej natury niż przewidywał. Nie chciał ulegać wypadkom, nie znając ich charakteru i następstw, czyli źródła i kierunku, wypadkom, które już przez to samo miały jednak decydujący wpływ. Wszystko, co nie pochodziło od niego samego, było nielogiczne, niemoralne nawet. Słynna nieskazitelnność i nieprzekupność Robespierre'a polegała na prostym fakcie, że nie pozwoliłyby się on nigdy skorumpować wypadkom, których sam nie spowodował.

Nieprzekupny Lenin tysiącrotnie narażałby się na to, że spotka go koniec Robespierre'a, gdyby nie miał pod bokiem Trockiego, wielkiego korupcjonisty. Aby zrozumieć znaczenie, jakie dla Lenina miała kwestia zawodowych rewolucjonistów, należy pamiętać, że nie uważał on nigdy rewolucji za rezultat splotu niezależnych od niego okoliczności historycznych, politycznych i społecznych, lecz za matematyczny wynik jego obliczeń i nieuniknione końcowe następstwo jego osobistej taktyki w obrębie partii. Szczególne światło na jego rolę zawodowego rewolucjonisty rzuca okoliczność, że aż do chwili, kiedy zamach stanu w październiku 1917 roku stał się już faktem dokonanym, decydujące wypadki rozgrywały się zawsze zupełnie niezależnie od jego woli, obliczeń i taktyki. Aż do października 1917 roku Lenin brał na siebie odpowiedzialność tylko za takie wypadki, które nie mogłyby się nigdy wydarzyć.

Tryb życia Lenina w Londynie nie różnił się zbytnio od jego trybu życia w Petersburgu i Monachium. "Lenin prowadził życie rodzinne, opowiada Trocki, bardzo rzadko można go było spotkać poza oficjalnymi zebraniem. Zwyczaje i cygańskie upodobania emigracji rosyjskiej nie przypadały Leninowi do gustu". Cały prawie dzień spędzał w bibliotece Muzeum Brytyjskiego, zapewnijac zeszyty notatkami i danymi statystycznymi z dziejów ruchu robotniczego w Anglii, albo też kreśląc swym wyraźnym, szybkim piśmem szkice artykułów do "Iskry". Osobiście Lenin zajmował się wówczas tylko redagowaniem tego pisma. Wódze organizacji partyjnej ujęła w swe ręce Nadieżda Konstantinowna i ona to prowadziła potajemną korespondencję z towarzyszami z Rosji, szyfrowała i odszyfrowywała sprawozdania, kierowała działalnością wszystkich komórek rewolucyjnych, rozsianych po całej Rosji aż do najodleglejszych krańców Syberii. I tylko dzięki pośrednictwu Nadieżdy Konstantinowny Plechanow Axelrod i inni wpływowi członkowie grupy genewskiej mogli utrzymywać łączność z tajnymi organizacjami w Petersburgu, Moskwie, Kijowie - zbyt byli zadufani w sobie, aby podejrzawać, że żona Lenina może prowadzić surową cenzurę ich korespondencji z przywódcami ruchu robotniczego w Rosji. Głos Plechanowa i Axelroda, odbywając przymusową okrężną drogę przez Londyn, słabł coraz bardziej, słowa ich docierały do dalekich towarzyszy w formie niewyraźnej i zniekształconej. Listy ginęły, coraz to powstawały najrozmaitsze przykre nieporozumienia, niektóre ustępy, szyfrowane lub odszyfrowywane przez żonę Lenina, zmieniały umiejętnie sens dokumentów najdonioślejszej wagi, niezręczne zdania i zwroty wślizgiwały się między wiersze listów Plechanowa i Axelroda, przeznaczonych dla socjalistów petersburskich i moskiewskich: listy te Nadieżda Konstantinowna podejmowała się przepisywać atramentem sympatycznym dla zmylenia czujności cenzury policyjnej. W umysłach towarzyszy rosyjskich postać Lenina, tego nowego wodza, znajdująca się w centrum strategicznym, w najwrażliwszym punkcie akcji rewolucyjnej, a mianowicie w redakcji "Iskry" i w sekretariacie partyjnym, zaczęła się stopniowo wysuwać na miejsce od tak dawna zajmowane przez "starych". Zwycięstwo więc na kongresie w 1903 r. Lenin zawdzięcza przede wszystkim Nadieżdzie Konstantinownie. Ona to miała listę członków partii, nazwiska i adresy łączników, kurierów i tajnych agitatorów. Ona to otrzymywała ostrzeżenia i poufne informacje o podejrzanych towarzyszach, o prowokatorach, o poglądach, opiniach, a nawet życiu prywatnym wybitniejszych socjalistów. W zaciścu londyńskiego mieszkanka wierna ta i skromna kobieta prowadziła cierpliwie swą krecią i pajęczą robotę, podkopyjąc grunt pod nogami surowych, nazbyt pewnych siebie apostołów rosyjskiego marksizmu i snując sieć intryg, które miały "posiać zamęt" w partii i wywołać słynny rozłam w 1903 roku. W przewidywaniu kongresu, prowadziła wśród towarzyszy rosyjskich prawdziwą kampanię wyborczą na rzecz Lenina. W Londynie, podobnie zresztą jak zawsze i wszędzie, na wielkie dzieło rewolucyjne tego fanatycznego i pedantycznego drobnomieszczanina składały się wyłącznie intrygi, notatki do kartotek i papierki.

Wczesnym rankiem pewnego październikowego dnia 1902 roku jakaś nieznama ręka zapukała trzykrotnie do drzwi Lenina. Owe trzy uderzenia miały rozleć się długim i donośnym echem w życiu tego gorliwego, nie znoszącego nieporządku urzędnika. "Władimir Iljicz leżał jeszcze w łóżku - opowiada Trocki - z pod uprzejmej maski jego twarzy wyzierało zrozumiałe zdziwienie. W takich warunkach odbyło się nasze pierwsze spotkanie i pierwsza rozmowa. Poczęstowano mnie herbata, zdaje się, że w kuchni. Lenin ubierał się tymczasem. "Trocki był podówczas młodym, dwudziestopięcioletnim człowiekiem, średniego wzrostu, o oczach krótkowidza, osadzonych głęboko pod znaczną wypukłością wysokiego i szerokiego czoła, obramowanego gestwiną nastroszonych włosów, wymykających się ze wszystkich stron spod szerokiej skrzydeł filcowego kapelusza. Bardzo duże usta o zmysłowych wargach ocienionych wąsem, o żółtych zębach "przeżuwających słowa, niby kawały surowego mięsa", już wtedy nadawały jego bladej twarzy wyraz cynizmu i namiętności, ironii kontrastującej z dumą, posepnego smutku - wyraz, który w przyszłości będzie nosił jak maskę podczas krwawych walk rewolucji październikowej i na polach bitew pod Kazaniem i Warszawą. Upartego podbródka nie osłaniała jeszcze wtedy koźła broda, którą tak zaciekłe będzie targał drżąca ręką podczas kongresów, na masówkach, podczas posiedzeń Rewolucyjnego Komitetu Wojennego, stojąc na trybunie na szeroko rozstawionych nogach, z czołem zroszonym potem, z głową odrzuconą do tyłu, w swistej gorączkowej ekstazie, wbijając w niebo zamglone spojrzenie. Wyciągając swą chudą szyję, ściśniętą wysokim, prostym kołnierzykiem, okolonym czarnym krawacikiem, jakie noszą nauczyciele z prowincji, Trocki wpatrywał się w Lenina wzrokiem pełnym szacunku i ciekawości zarazem. Odblask szkielec nadawał jego oczom krótkowidza iskrzącą się ruchliwość oczu starców lub dzieci, trawionych gorączką. Pijając herbatę, nie przestawał głośno mówić. Opowiadał o swej romantycznej ucieczce z zesłania na Syberii, w Wiercholsku, o wścizę po Europie, o spotkaniu z Wiktorem Adlerem w Wiedniu i z Axelrodem w Zurychu, o niecierpliwości, z jaką oczekiwał chwili, kiedy ujrzy Władimira Iljicza, którego od dawna podziwiał i wielbił całym swym młodocianym entuzjazmem (entuzjazm ten wyraźnie żenował Lenina), o pragnieniu pracy pod jego kierunkiem, powetowania czasu straconego na Syberii i poświęcenia wszystkich sił dla zwycięstwa rewolucji proletariackiej.

Dumna i porywcza wymowa Trockiego nie przypadła Leninowi do gustu. Z głową pochyloną na ramię, z pół przymkniętymi oczyma słuchoł tego tryskającego zapachem młodzieńca, nie umiając ukryć zakłopotania. Władimir Iljicz i Nadieżda Konstantinowna znali już Trockiego z listu Kryżanowskiego, który wprowadził był go oficjalnie do organizacji "Iskry" w Samarze. Chociaż list Kryżanowskiego stanowił dostateczną gwarancję i działalność rewolucyjna Trockiego nie była mu obca, Lenin z pewną nieufnością spoglądał jednak na bladego Żyda, reprezentującego wątpliwy marksizm i niepokojące pomysły, a wtrącającego cytaty z Homera do tekstów Karola Marksa. "W drodze na Syberię, opowiadał Trocki, czytałem w wagonie "Iliadę", siedząc między żandarmami." W jego śmiałej twarzy, bladej i wilgotnej nieco, jak u gruźlika, w jego zmysłowych wargach, uśmiechających się wzywająco, Lenin dostrzegał z niejaką odrazą wyraz zuchwałej woli, fizycznej odwagi, zamiłowania do ryzyka i przygód, który to wyraz uważał był zawsze za oznakę niebezpiecznej przeciętności. Czuł, że Trocki w najwyższym stopniu uosabia to właśnie, czego się najbardziej u ludzi obawiał: gorączkę czynu, skłonność do przemocy, niezdrowy instynkt wpływania na bieg wydarzeń, chęć panowania nad nimi, przekształcania ich w narzędzia swej woli i swych namiętności. "Chodźmy, rzekł do Trockiego, pokażę wam ich Londyn."

Ta przechadzka po Londynie charakteryzuje doskonale nieufność, jaką żywił Lenin do ludzi, którzy wnosili zamęt do jego codziennych zwyczajów i szperali w jego notatkach i papierkach. Wyszedł z Trockim bynajmniej nie po to, aby mu pokazać Parlament, lwy na placu Trafalgar lub Hyde Park.

"Chciał mnie poznać bliżej, pisze Trocki, i poddać mnie egzaminowi. Dodaje także, że Lenin umiał słuchać. Władimir Iljicz przysłuchiwał się jego słowom, przynknawszy oczy, założywszy ręce do tyłu, z głową leciutko schyloną na ramię - w swej zwykłej pozie. "Pokażai mi od zewnątrz Westminster. Słowo ich oczywiście nie oznaczało Anglików, lecz klasy panujące. Ten sam ton, nie podkreślany zresztą bynajmniej słowami, lecz raczej wyczuwalny w brzmieniu głosu, Lenin przybierał zawsze, ilekroć mówił o dorobku kulturalnym, o zdobyczach postępu, o urządzeniach biblioteki Brytyjskiego Muzeum, o bogactwie informacji "Times'a" lub też, w kilka lat później, o artylerii niemieckiej albo o lotnictwie francuskim: oni wiedzą, oni mają, oni zrobili, oni osiągnęli. Jego zdaniem całą kulturę ludzką spowijał głęboki cień, którego nieustanna obecność była dla niego równie niewątpliwa i niezaprzeczalna, jak istnienie światła dziennego". Mijając poprawny i uśmiechnięty tłum londyński, o którym Lenin mówił, że Anglicy, uśmiechając się na ulicy, proszą w ten sposób o wybaczenie im tego, co robią w domu, Trocki opowiadał o swym wygnaniu na Syberii i o wrażeniu, jakie wywarła na zesłanych książka Lenina o "Rozwoju kapitalizmu w Rosji". Władimir Iljicz bardzo był czuły na podziw i pochwały młodzieży. "Widać było wyraźnie, jak cieszy go fakt, że młodzi towarzysze pilnie studiują jego najważniejszą pracę ekonomiczną."

Następnie rozmawiali o Machajskim, Plechanowie, Axelrodzie, o wpływach "Iskry" w rewolucyjnych kołach rosyjskich, o położeniu klasy robotniczej w Anglii, o stanowisku socjalizmu angielskiego, o Wierze Zasulicz, Martowie i przyszłym kongresie. Trocki mówił sobie w duchu, że dobrze zdał egzamin.

Lenin bez wątpienia omylił się zrazu w swej ocenie osoby Trockiego. Uznał, że jest gwałtowny i ambitny, obciążony przeciętnymi zaletami moralnymi i umysłowymi, właściwymi, jego zdaniem, człowiekowi czynu, nie podejrzewał wcale, jak znaczną rolę w rewolucji odegra ten dwudziestopięcioletni młodzieniec. Trocki budził w nim antypatię: obawiał się go, jak człowiek zdrowy lęka się chorego. Tymczasem jednak, ten chory mógł mu się przydać na przyszłym kongresie. Potrzeba mu było pionków do gry.

Nigdy Lenin nie prowadził tak spokojnej egzystencji, jak w Paryżu od grudnia 1908 do lipca 1912 roku. Niebo Ile- de France sprzyja zarówno wielkim przeznaczeniom, jak i drobnym egzystencjom, dzieciom naszego stulecia, jak i ludziom wszystkich czasów. W kilka miesięcy po przyjeździe z Genewy Lenin stał się tym, co się zwie paryskim petit bourgeois, a co znaczy więcej niż po prostu Paryżanin. Człowiek, który nie zna smutnych dni - oto czym był jeszcze w 1908 roku każdy mieszkaniec Montrouge lub Porte d'Orleans, owej tak charakterystycznej dzielnicy drobnomieszczactwa. Oprócz wielkiej burżuazji Paryża albo młodszych linii kilku znakomitych rodzin, nikt nie wiedział, co to smutne dni. Może nawet tu chodzi o jakiś przesąd, niż o prawo przyrodzone czy społeczne, o ile nie chodzi przede wszystkim o snobizm, o ostatnie wspomnienie angielskiego romantyzmu XIX wieku. Nic jednak nie zakłóca egzystencji paryskiego drobnomieszczanina - wszystkie jego dni są szczęśliwe i wszystkie są podobne do siebie. Nawet historia Francji nie potrafi się oprzeć czarowi tej reguły powszedniego szczęścia. Drobnie, codzienne szczęście - cóż może być rozsądniejszego? Porzuciwszy Genewę dla Francji, dopiero w Paryżu znalazł Lenin swoją prawdziwą Szwajcarię.

Większość biografów Lenina ukazuje go nam zawsze, jako człowieka trawionego przez gorączkę rewolucyjną i poczytuje sobie za obowiązek kazać nam wierzyć, że pobyt w Paryżu był najtrudniejszym i najboleśniejszym okresem jego życia. Aliści pędził tam spokojne noce i łagodne dni. Nadzieja Konstantinowa twierdzi, że były to, jak zwykle, cztery lata ubóstwa, ale bynajmniej nie nędzy. Rosja zamarła. Pospępane milczenie panowało na uniwersytetach, w fabrykach, po wsiach. Reakcja ścisnęła kraj

za gardło. Przywódcy partyjni, bolszewicy i mieńszewicy, Lenin, Plechanow, Martow, rzucili hasło: czekać! Po wielkiej polemice 1908 roku, wywołanej herezją "twórców Boga", wszyscy, zdawało się, mieli już dość dyskusji i zniechęcili się do filozofii. Niektórzy biografowie nigdy nie wybaczą Leninowi, że przez jakiś czas myślał więcej o swoim rowerze, niż o rewolucji proletariackiej.

"Jakim doskonałym profesorem byłby Lenin", zawołał po upływie kilku lat Gamberow. Jakim dobrym drobniemszczaninem paryskim, jakim idealnie przeciętnym Francuzem byłby ten poczcziwiec w samej tylko koszuli, bez marynarki, którego widywano częstokroć na chodniku ulicy Marie-Rose, gdy smarował i reperował swój rower. "Pamiętam, opowiada dawny dyrektor drukarni bolszewickiego pisma "Socjaldemokrata" w swych wspomnieniach o "Leninie w Paryżu" wydanych pod pseudonimem Alina, pamiętam, jak zastawano go na chodniku przed domem. Zrzuciwszy marynarkę, pozostawał w koszuli z zawiniętymi rękawami. Czyścił, szczotkował, smarował rower, sprawdzał śruby, stan opon, pompował je, zaklejał."

Ze spoconą twarzą, z zatłuszczonymi smarem rękoma, w kaszkiecie zsuniętym na tył głowy, Władimir Iljicz przyjmował przyjaciół z dzieciinną radością i śmiał się do łez z przygód Rykowa i z jego kłótni z Kamieniewem". Żaden biograf Lenina nie dał nam równie żywego, przystępnego, a jednocześnie malowniczego portretu, jak ten wizerunek, nakreślony na kilku stronicach przez dawnego dyrektora drukarni "Socjaldemokrata". W pierwszym rozdziale "Państwa a rewolucji", broszury, napisanej w Finlandii w sierpniu i wrześniu 1917 roku, Lenin skarży się na los wielkich rewolucjonistów, prześladowanych przez całe życie przez wrogów ludu. "Po ich śmierci, dodaje, usiłuje się z nich uczynić ikony, kanonizować ich, że się tak wyrażę, otaczać ich imię aureolą chwały dla pocieszenia klas uciśnionych i dla ich oszukania". Ale autor wspomnień o Leninie w Paryżu uprzedza nas, że rysując portret Władimira Iljicza, wcale nie zamierzał zajmować się ikonografią. Ukazuje nam Lenina "tam, gdzie on jest rzeczywiście - wśród tych, których sam nazywał często małymi ludźmi". Tam właśnie trzeba go szukać, wśród małych ludzi. Władimir Iljicz był po prostu "członkiem ich rodziny".

W jego romantycznym wizerunku, jaki tak często malują w Europie, można bez trudu odnaleźć rysy charakterystyczne konwencjonalnego Lenina, Lenina kanonizowanego, takiego, jakiego widzimy na oficjalnych ikonach i portretach, naszkicowanych przez burżuazyjnych biografów. Candide i Babbite z krajów zachodnich lubują się w przedstawianiu go jako Dżyngis-Chana proletariackiego, uganiającego konno po alejach obramowanych nimfami i Dianami ogrodów we francuskim stylu, albo wśród grup drzew i sztucznych skał, odgrywających rolę przyrody w burżuazyjnym raj. Podobnie, jak nie potrafiliby wyobrazić sobie Karola Marksa na koniu, albo Dżyngis-Chana w surducie, nie potrafiały sobie wyobrazić Lenina na koniu. Mieszczanie Zachodu mają słuszne powody, aby się go obawiać, lecz udają, iż chcą powiedzieć, że nie potrafiliby się bać cyklisty. A jednak właśnie takiego drobniemszczańskiego potwora, takiego poczcziwa bez marynarki, wielkiego rewolucjonisty na rowerze powinny się bać burżuazja. Właśnie z owym Leninem z ulicy Marie-Rose musiały i będzie musiały jeszcze się liczyć. Potwory, wstrząsające Europą od przeszło stu lat, nie wyszły bynajmniej ze środowiska plemion mongolskich Centralnej Azji, lecz właśnie spośród owych małych ludzi, których znajdzie się pod dostatkiem zarówno w Montroge lub w pobliżu Alexander-Platz, jak i w Whitechapel, w Turynie i w Kazaniu. W Anglii Pitta, w Rosji Aleksandra I, w Austrii Metternicha mawiano chętnie, że "potwory" 1793 roku są z piekła rodem. To piekło w odniesieniu do Jakobinów było tym samym, czym dziś Centralna Azja jest w odniesieniu do Lenina. Ale Danton pochodził z Arcis-sur-Aube, Robespierre z Arrasu, Lenin zaś, ów adwokacina prowincjonalny, pochodził z Kazania, z Monachium, z Genewy, z Londynu i spod numeru czwartego przy ulicy Marie-Rose w Paryżu, Pierre Chasles robi słuszną uwagę, że Lenin

był w takim samym stopniu Mongołem, w jakim Aleksander Dumas lub Puszkina byli Murzynami.

W małym mieszkanku, zajmowanym w Montrouge przez rodzinę Uljanowów, dni płynęły spokojnie i beztrudnie pod czułym i troskliwym okiem Nadzieży Konstantinowny i jej matki. Siedząc przy swym dużym stole z białego drewna, przykrytym czarną ceratą (pokój oświetlony przez dwa okna był niewielki i czysty, opowiada Alin. Umeblowanie składało się z krzesła i niskiego, dość dużego tapczanu, przykrytego szarą narzutą i zawalonego książkami. Książki leżały wszędzie - na etażerkach, na półce, na podłodze. Na tapczanie stało też pudło z szachami), Władimir pracował przez cały dzień - częstokroć do późna w nocy, pisząc artykuły, załatwiający korespondencję i robiąc notatki. "Niedobrze jest z Wołodią, powiada jego teściowa - pracuje bez wytchnienia i nie chce odpocząć".

Lenin w owym czasie współpracował pilnie z dziennikiem "Zwiewda", wychodzącym w Petersburgu. Posyłał codziennie artykuł, który pospiesznie rzucał na papier i wysyłał niemal nie czytając. "Okolo siódmej wieczór Władimir Iljicz zaczynał pisać ów artykuł i około pół do 9-tej wkładał go do koperty. Brał wówczas kapelusze i okrycie i niósł list na dworzec północny do wagonu pocztowego pociągu, odchodzącego do Rosji. Wiedział, że metro przebywa przestrzeń od przystanku Alésia do dworca północnego w dwadzieścia dwie minuty i tak się urządzał, aby być na dworcu na dziesięć minut przed odejściem pociągu. Te codzienne wyprawy na dworzec pozbawiały Lenina możliwości chodzenia do teatru, na koncerty, czy do kina". Wracał około 10-tej wieczór i zamykał się w swoim pokoju, albo też siadał w kuchni i grał w karty z matką Nadzieży Konstantinowny. "Staruszka była bardzo zadowolona, kiedy zasiadał z nią do gry". Kamieniew opowiada, że Lenin często pomagał teściowej zmywać naczynia.

Na trzecim piętrze domu, w którym mieszkał Kamieniew, pod numerem jedenastym przy ulicy Rolly, w pobliżu parku Montsouris, "stwórca Boga", Anatol Łuczarski, ulokował od pewnego czasu kółko kultury proletariackiej. Władimir Iljicz rzadko bywał u Kamieniewa z obawy, aby nie spotkać się na schodach z "tym biednym Anatolem", który, jak się zdawało, nie wyleczył się jeszcze ostatecznie ze swej heretyckiej gorączki. Jemu to Lenin zawdzięczał swą niechęć do filozofii - dzięki "stworcy Boga" dał się wplątać w jedną z najdziwniejszych awantur filozoficznych, jakie można sobie wyobrazić. Wróciwszy do Genewy po smutnym końcu swej kampanii rosyjskiej, Lenin znalazł się w obliczu przeciwnika, o którym sądził, że od dawna i definitywnie zwyciężyli go już Marks i Engels. Herezja Anatola Łuczarskiego wskrzesiła w łonie marksizmu zagadnienie Boga. Była to "rewolta na kolanach" przeciwko dialektycznemu materializmowi Marksa i Engelsa. Strategia Napoleona i Clausewitza bezsilna była wobec Anatólowego Boga. Aby pokonać neo-idealizm Łuczarskiego, Bogdanowa i Gorkiego, owo "poszukiwanie Boga", które Żinowiew nazywał "kradzieżą literacką", Lenin nie wahał się przed zapuszczeniem się samopas, bez przewodnika, w mroczną puszcza filozofii.

Była to walka Jakuba z Aniołem. Amarkowski Jakub był masywny, muskularny, z krótką szyją i szerokimi barczystymi ramionami. Przeciwnik jego należał wszakże do niebezpiecznej, subtelnej i potężnej jednocześnie, a nieznanego mu zupełnie rasy. Od czasów Robespierre'a drobniomieszczanie ztratili zwyczaj i zamiłowanie do mierzenia swych sił z Bogiem lub Aniołami. W ciągu XIX stulecia ten rodzaj walki stał się zagadnieniem wysokiej kultury, sprawą sumienia, czasami nawet kwestią partii lub państwa. Drobniomieszczanom odebrano możliwość podążania samotrzeć za głosem Jakubowym, co mogłoby mieć bardzo poważne następstwa dla ich zawodu i kariery. Dla Lenina nie było to ani problemem wysokiej kultury, ani też sprawą sumienia, lecz po prostu zagadnieniem partyjnym. Ignorancja jego w sprawach filozofii była najszlachetniejszego gatunku - ignorancją w wielkim

stylu. Poza marksizmem i doktrynami typowo marksowskimi, wiadomości jego były tak ograniczone, że nie wahał się określać samego siebie, jako "ignoranta w burżuazyjnym znaczeniu tego słowa". W walce z inteligentami, profesorami, filozofami marksizmu podniecała go zawsze nie tylko nienawiść do osobistych wrogów lecz także niechęć do kultury. Skoro brał udział w dyskusjach teoretycznych na temat doktryn Marksa, rzucał zawsze inwektywami i kalumniami pod adresem swych oponentów. Nie oddzielał ludzi od ich przekonań: jak wszyscy ignoranci, w ideach widział swych osobistych przeciwników. Pragnąc obalić wyznawane przez ludzi zasady i teorie, zabierał się do samych ludzi. Tym razem jednak, chcąc zniszczyć herezję "stworców Boga", herezję, która niepokoiła wszystkie umysły i zagrażała jedności partii, nie mógł ograniczyć się po prostu do osobistych ataków na Łuczarskiego, Bogdanowa i Gorkiego. Ignorancja tutaj już nie wystarczała.

Lenin słusznie lękał się dżu-dżitsu, do którego uciekł się Anioł, żeby złamać żebro Jakubowi. Ten człowiek, gardzący filozofami musiał teraz sam stać się filozofem, musiał nauczyć się dżu-dżitsu Boga, którego stworzył Anatol Łuczarski. "Aby poznać wroga, mawiał, trzeba udać się do jego ojczyzny". Powiadano z tego powodu, że Lenin poświęcił się lekturze dzieł filozoficznych z tych samych powodów, dla których oficerom niemieckim kazano uczyć się języka rosyjskiego. Ale jaki charakter miał Bóg Anatola? "Bóg, pisał Łuczarski, jest tym wszystkim co najbardziej ludzkie w najwyższej potęgze - to ludzkość jutra, którą trzeba zbudować z ludzkości dnia dzisiejszego". Według Bogdanowa, Łuczarskiego i Gorkiego, aby pozyskać chłopów rosyjskich dla marksizmu, należało wynaleźć nową religię, stworzyć nowego Boga. Bóg Anatola miał więc charakter ludzki - u podstaw tej nowej religii tkwiła sprawa chłopska. Potworna herezja! A Karol Marks? A materializm dziejowy? A marksizm naukowy? Aby obronić materializm Marksa i Engelsa oraz jedność partii przed tą "rewolucją na kolanach" Lenin nie cofnął się nawet przed wyprawą w głąb dżungli filozoficznej. Trzeba było urządzić polowanie na Anatolowego Boga, podobnie, jak się urządza nagonkę na odyńca.

Książka Lenina, "Materializm i empiriokrytycyzm"; ukończona w Genewie na jesieni 1908 roku, wydana zaś w Moskwie na wiosnę 1909 roku, jest wiernym opisem owej niezwyklej awantury filozoficznej. Lenin nie po raz pierwszy brał się do studiowania filozofii. Już w 1899 roku, na wygnaniu w Czuczeńskim, na Syberii, mając przed sobą książkę Stammlera, "Wirtschaft und Recht" i kilka artykułów Struvego, Bogdanowa i innych neokantystów (artykuły te ukazały się w piśmie "Nowoje Słowo") rozpoczął na chybił trafił lekturę Holbacha, Helwecjusza i Kanta. "Przekonałem się, pisał 27.IV.1899 r. w liście do Potriesowa, że trzeba koniecznie wyrównać nasz rachunek z neokantyzmem. Nie mogłem się powstrzymać od umieszczenia pewnych spostrzeżeń i ataków na neokantyzm w swojej odpowiedzi Struwentemu. Nie mogłem się powstrzymać, powiadam, bo zdaje sobie dokładnie sprawę ze swej ignorancji filozoficznej i nie mam zamiaru przystępować do tych tematów, zanim się dostatecznie nie wykształcę. Dlatego też zajmuję się tym obecnie, zacząłem od Holbacha i Helwecjusza, po czym zamierzam przejść do Kanta". Nie wina to Lenina, że w syberyjskiej wiosce Czuczeńskoje nie mógł przejść regularnego kursu filozofii. W tym samym liście do Potriesowa dodaje co prawda naiwnie, że "zaopatrzył się w główne dzieła najwybitniejszych klasyków filozofii". Niemniej jednak zabawny to widok, jak Lenin wdraża się w studia filozoficzne przez lekturę Holbacha, Helwecjusza i Kanta. Dla tych, którzy wyobrażają go sobie wyłącznie jako Dżyngis-Chana na koniu, jest to dobra okazja do ujrzenia Lenina takim, jakim Pascal widział Montaigne'a. Podczas rozmowy z panem de Sacy, Pascal powiedział o Montaigne'u, że "dosiada konia, jak człowiek, który nigdy nie będzie filozofem".

W Genewie na początku roku 1908, wkrótce po powrocie z Rosji, podejmując

walkę z herezją Łunaczarskiego, Bogdanowa i Gorkiego i innych uczniów Ernsta Macha, Lenin nie był wcale lepszym filozofem niż w 1899 r. - nie zrobił nadmiernych postępów od czasów Czuczewskiego. Dzięki swej metodzie pracy, dodał tylko do ignorancji, którą sobie uprzytomniał, pomieszanie pojęć, z którego nie zdawał sobie jednak sprawy. Przesiadując od rana do wieczora w Bibliotece Genewskiej gorączkowo przerzucał dzieła, wybrane na chybił trafił, według kryteriów jak najbardziej empirycznych. Notatki i uwagi, jakimi zapełniał zeszyty, ujawniały w nim nawiąkania polemiczne, które uniemożliwiały jakikolwiek szacunek, jakiegokolwiek podporządkowanie się regułom, zasadom, dyscyplinie pracy filozoficznej. Aby obalić empiriokrytycyzm uczniów Ernsta Macha, Lenin oddawał język kompletnego profana na usługi metody filozoficznej, której empiryzm przyprawiałby o rumieniec wstydu najsłabszego studenta każdego z małych uniwersytetów niemieckich.

Upojony filozofią, jak sam się wyrażał, zajmował się bardzo niewiele organizacją rewolucyjną, swoimi "bakcydami", swoimi "zawodowcami". Zinowiew opowiada, że pewien dziennik paryski z owych czasów obiecywał ironicznie pół królestwa temu, kto wskaże czwartego bolszewika, poza Leninem, Zinowiewem i Kamieniewem. Henri Guillebeaux dodaje, że możnaby na palcach policzyć tych, którzy pozostali wierni Władimirowi Iljiczowi. Lenin niemal zupełnie zaprzestał współpracy z dziennikiem partyjnym "Proletarij". "Nigdy jeszcze, pisał do Gorkiego w kwietniu 1906 roku, nie zaniedbywałem w takim stopniu naszego pisma, spędzam całe dni na lekturze po stokroć przeklętych uczniów Ernsta Macha". Ponieważ uważał, że Biblioteka Genewska nie zdoła zaopatrzyć go we wszystkie potrzebne materiały, wyjechał do Paryża i Londynu, gdzie pilnie studiował w Bibliotece Narodowej i w British-Museum. Ale dopiero po powrocie do Genewy na początku lata, zabrał się do przekształcania swych notatek w rozdziały książki o "Materializmie i empiriokrytycyzmie". "Była to szalona praca, opowiada pewien naoczny świadek, Lenin nie miał wówczas ani sekretarza, ani stenotypistki. Wszystko sam musiał robić". Opowieść o pościgu za Bogiem przez las materializmu i idealizmu jest najdziwniejszym i najciekawszym pamfletem na filozofię, jaki się kiedykolwiek ukazał. Istotnie, walczy tu Jakub z Aniołem Bożym, ze wszystkimi Aniołami Bożymi, od Berkeleya po Kanta, od Hegla po Macha i Poicairego - reakcyjnych filozofów i burżuazyjnych aniołów.

Najzabawniejszy w "Materializmie i empiriokrytycyzmie" (i co, zdaje się, bawi nawet oficjalnych Plutarchów moskiewskich) jest język, jakim się posługuje Lenin dla wyrażenia myśli i idei, które ściśle sformułować może jedynie język prawdziwie filozoficzny. W tej materii Lenin jest więcej niż profanem - jest drobnomieszczaninem, który nie zdając sobie sprawy z własnej ignorancji, wyobraża sobie jednak, że jest filozofem, czyli, że potrafi mówić w języku Leibniza, Hume'a lub Kanta i rozumie ich język już przez to samo, że posiadał z niego zaledwie kilka słów. Dopóki obraca się w kręgu "Anty-Duhringa" Engelsa (Herrn Eugen Duhrings Umwälzung der Wissenschaft) i dopóki mówi o materializmie "dialektycznym" Marksa i Engelsa, dopóty łatwo mu zapożyczać u nich formuły, usłwicono zwyczajem w artykułach prasy socjalno-demokratycznej i w broszurach niezliczonych komentatorów Marksa. Kiedy jednak sięga do Berkeleya i Kanta, kiedy porzuca znajomy teren teorii marksowskich, aby zapuścić się w nieznaną regiony kantyzmu i heglizmu, wówczas staje przed nim groźny Bóg filozofów, znacznie bezwzględniejszy od Boga ludzi wierzących, Bóg, który nie rozumie jego żargonu. Hic sunt leones - jest to zdanie starożytnych geografów, które określa dla drobnomieszczan granice metafizyki.

Narzeczka, którego Lenin używa w "Materializmie i Empiriokrytycyzmie", mieszanina słów zapożyczonych z polityki, ekonomii, socjologii, matematyki, fizyki, czasami nawet z filozofii, brzmi dość ciekawie dla ucha choć trochę obznajmionego z językiem tak zwanych filozofów. Kant, profesor

Immanuel Kant? Należy do "centrum" parlamentarnego, innymi słowy, jest w filozofii tym, czym konstytucyjni demokraci są w polityce. Ernest Mach "zbliża się tu do marksizmu, jak Bismarck zbliżał się do ruchu robotniczego". Buchner, Dühring "i inne koguty, tak samo jak i tamci nie potrafili wyciągnąć ze śmietniska absolutnego idealizmu perły dialektyki hegelowskiej". A Avenarius, Mach, Schubert-Soldem? "Są to burżuazyjni obskuranci, czyści w takim samym stopniu, jak Renouvier". Ich rozumowania to "jakieś wulgarne narzeczce filozoficzno-naukowe". Henri Poincaré "jest wybitnym fizykiem, ale niewątpliwie tylko taki Żukiewicz może go brać na serio jako filozofa". Nieco zaś dalej: "Myli się pan, panie Poncaré - dzieła pańskie stanowią dowód, że istnieją ludzie, którzy potrafią tworzyć tylko rzeczy pozbawione sensu". A Friedrich Adler, docent Uniwersytetu Zuryskiego? "Naiwny profesor, który w swej nieświadomości wyświadcza niedźwiedzią przysługę doktrynie Macha". O dwa wiersze wyżej Lenin powiada o tym samym Friedrichu Adlerze, autorze "odkrycia Elementów Świata", że "to może jedyny poważny pisarz niemiecki, pragnący przy pomocy Macha uzupełnić Marksa". Anatol Łunaczarski, "stwórca Boga", "kokietuje religię". A Wilhelm Schuppe, profesor w Gryfii? O! musimy przystać na to, że "w filozofii pocałunek Wilhelma Schuppego wart jest tyleż, co pocałunek Piotra Struwego lub Mieższikowa w polityce". Od Sokratesa do Łunaczarskiego, od Boga Immanuela Kanta do Anatólowego Boga, cóż za awanturnicza wyprawa!

Należy bez wątpienia żałować, że opis takiej awantury filozoficznej napisany jest dialektem, którego żaden dobrze wychowany filozof nie doża zrozumieć. Ale to, co nawet po wypadkach październikowych 1917 roku pozostaje niezrozumiałe dla filozofów, jest zdaje się, zrozumiałe dla zawodowych rewolucjonistów, dla bakterii rewolucji. Istotnie, Zinowiew twierdzi, że pamflet Lenina "jest wielką pracą teoretyczną, poważnym dziełem filozoficznym, kładącym podwaliny komunizmu". Kiedy w 1909 roku książka się ukazała, polemika, wywołana herezją Bogdanowa i Łunaczarskiego już była ucichła. Autor "Materializmu i empiriokrytycyzmu" spostrzegł się, że wszystko dawno już bez niego wróciło do normy.

Muzyka była jednym z ulubionych tematów, poruszanych w rozmowach przez Władimira Iljicza. Chodził czasami do teatru lub kina, częściej jednak na koncerty. Beethoven poruszał go do głębi - zwłaszcza Dziewiąta Symfonia, po której, niby po wiosennej gorączce, stawał się blady i nerwowy. Z głową pochyloną na ramię, prawą ręką ściskając dłoń lewej, słucał z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi wargami, z czołem zroszonym potem. Gdy jednak mówił o muzyce, starał się przybrać ton profana i przez jakąś pruderię i dziwną ambicję zaprzeczał temu, że wywołuje ona na nim tak silny niepokój. Posuwał się nawet do rozważań o muzyce z punktu widzenia marksowskiego - czyż nie przypisywał powstania Symfonii Bethovena "zjawiskom natury gospodarczej"? Gdy chodziło o Puszkina lub Beethovena, ukrywał swe zamknięcia artystyczne, nby jakąś słabość. Zarzucał mu w związku z Puszkinem "burżuazyjne upodobanie" sobie tego poety o płomiennym romantyzmie, o gorączkowej wyobraźni, tego słowiańskiego odpowiednika Lorda Byrona, wywodzącego się z namiętności zmysłów murzyńskiego pradziada i sentymentalnych niepokojów schyłkowej i wstecznej szlachty rosyjskiej XIX wieku. W obronie "swych burżuazyjnych upodobań" Lenin udaje, że traktuje Puszkina i Beethovena z punktu widzenia marksowskiego.

Władimir Iljicz i Nadieżda Konstantinowna w towarzystwie "trójki", Zinowiewa, Rykowa i kamieniewa, chodzili częstokroć wieczorami słucać słynnego pieśniarza ludowego Montéhusa, który tak wówczas radował pocztwą publiczność w teatrze Belleville. Nic nie bawiło Lenina tak, jak piosenki Montéhusa, jego werwa, temperament, dwuznaczna gra słów i docinki pod adresem burżujów i fałszywych socjalistów. Montéhus, syn komunarda, uważał się za rewolucjonistę i był nim do pewnego stopnia. (Podczas woj-

ny, powiada Nadieżda Konstantinowna, wziął się do komponowania patriotycznych piosenek!). Ujmował zagadnienia społeczne w kuplety i w przeciwieństwie do Lenina, który zapatrywał się na muzykę ze stanowiska marksowskiego, traktował marksizm z punktu widzenia muzycznego, co ogromnie przypadło do smaku publiczności teatru Belleville, składającej się przeważnie z robotników i małych ludzi, tak samo entuzjastycznie się swym pieśniarzem rewolucyjnym jak poczciwa burżuazja francuska entuzjastowała się swym Déroulédem. Tak więc siedzą w tłumie Władimir Iljicz, zarumieniony z radości, dołączał swój skrzeczący głos i swoje wiaty do grzmotu okłasków, którymi tłum witał każde ukazanie się Montéhusa. Pewnego wieczora "Lenin znikł. Szukano go po całej sali, ale tam go nie znaleziono. Dowiedziano się, że poszedł za kulisy, aby zawrzeć z pieśniarzem znajomość. Tak się w sobie rozkochali, że dyskutując nie spostrzegli nawet, jak im upłynął czas do godziny czwartej nad ranem". Nadieżda Konstantinowna opowiada, że "pewnego razu Montéhus śpiewał nawet na jednym z naszych rosyjskich wieczorków. Pozostał potem do późnej nocy i rozmawiał z Władimirem Iljiczem o przyszłej rewolucji światowej. Syn komunarda i rosyjski bolszewik, każdy na swój sposób, oddawali się medytacjom o przyszłości".

Ślęcząc wciąż przy pracy w swym gabinecie, Lenin częstokroć zaczynał śpiewać. Głos miał ochrypły, głuchy, załamujący się, jak u starca. Przepadał za starymi pieśniami, owymi starymi pieśniami ludowymi, które po ukończeniu dyskusji politycznej intonowali niekiedy chórem w tylnym pokoju jakiejś kawiarenki lub w jakiejś małej salce, gdzie odbywały się zebrań. "Pamiętam, opowiada Alin, pewną uroczystość z okazji święta Nowego Roku w pobliżu bramy Orleańskiej, odbywała się ona w podziemiach kawiarenki, na której ścianach wymalowane były czarne koty ze strasznymi oczami. Olbrzymich rozmiarów czarny kot z oczami, straszniejszymi jeszcze od innych, wpatrywał się w publiczność ze sceny. Lenin przyglądał się tym malowidłom ściennym ze zdumieniem. - Nie ma co mówić, wesoły wybrałiście lokal na Nowy Rok! - zawałał ze śmiechem. Ponure te dekoracje nie popsuły jednak humoru obecnym. Wszyscy bawili się doskonale. Śpiewano. Lenin śpiewał też z całej duszy, gdy zaintonowano Ścieńkę Razina. Spróbował śpiewać partię barytonową, ale nie potrafił, ciągnął więc dalej tak, jak umiał, rozpaczliwie wymachując rękami. Około czwartej nad ranem wyszliśmy wszyscy na opustoszały bulwar. Wciąż jeszcze byliśmy podnieceni. Żona Siemaszki i Ilja Zafir rozpoczęli rosyjski taniec. Ale policjanci na rowerach poprosili nas uprzejmie o zaniechanie hałasów. Taniec przerwano. Lenin śmiał się do rozpuku: "No i cóż. Boicie się? O, policjant, to straszna rzecz!"

W nocy z 23 na 24 października Trocki każe uprzedzić Lenina, żeby był w pogotowiu. "To będzie jutro". Około 10-tej rano rozchodzi się pogłoska, że dzieje się coś niezwykłego. Władimir Iljicz posyła po nowiny. W mieście panuje przerażający zamęt. Opancerzone samochody, ozdobione czerwonymi sztandarami, ciężarówka pełne marynarzy i robotników przy ogłuszających rykach syren przeciskają się przez tłumy, zebrane na ulicach śródmieścia. Oddziały czerwonej gardii zajęły pocztę, centralę telefoniczną i telegraficzną, dworce kolejowe, mosty na Nowie, gazownię, elektrownię miejską, wszystkie wrażliwe punkty organizacji technicznej państwa. Trocki nie zaprzętał sobie głowy obaleniem rządu - zawiadnął po prostu państwem. W tej paradoksalnej sytuacji tkwi tajemnica powstańczej techniki Trockiego. Wszystkie te operacje rozwinięto z zadziwiająco szybkością i sprawnością. Żaden krwawy wypadek nie plami pierwszego dnia powstania - zaledwie kilka wystrzałów w dzielnicy Putiłowskiej. Pod wieczór czerwone sztandary powiewają w dzielnicy Putiłowskiej. Pod wieczór czerwone sztandary powiewają już na wszystkich gmachach publicznych. Ogromny tłum napływa w kierunku Admiralicji i przed Pałac Zimowy, brzońony przez kilka kompanii junkrów i batalion kobiety. Zaskoczeni. tymi wypad-

kami, członkowie rządu tymczasowego schronili się do Pałacu Zimowego. Kiereński uciekł - powiadał, że pojechał na front, aby zebrać wojsko i ruszyć z nim na Piotrogród. Niebo jest zachmurzone, powietrze zimne. Jesienne mgły, nadciągające z północnych jezior powlekają ujście Newy. Kroki czerwonych gwardzistów rozlegają się na chodnikach ulicznych, jak na niedzianych pyłach. Wschodni wiatr bije jak bęben w chmury, zwisające nisko nad horyzontem. Kronsztad jest w drodze - w nocy z 24 na 25 października marynarze floty bałtyckiej przyłączają się do robotników Trockiego. Prowadzi ich Dybienko, atletyczny marynarz Dybienko, spokojny i uśmiechnięty, okrutny i melancholijny. Krążowniki "Aurora" i "Zaria Swobody", zakotwiczone na Newie pod rozkazami Raskolnikowa, kierują replektory na Pałac Zimowy. Raskolnikow, cóż za prorocze nazwisko!

"Zobaczyłem znów Lenina, opowiada Trocki, dopiero 25 października w Smolnym Instytucie, kwaterze głównej powstania. O której godzinie? Nie mam pojęcia, przypuszczalnie pod wieczór." Trocki, którego wspomnienia są zawsze ściśle i dokładne, waha się z oznaczeniem godziny, o której Lenin, wódz rewolucji wkroczył do Instytutu Smolnego. Przybycie Władimira Iljicza to tylko szczegół bez większego znaczenia. Trocki nie ma czasu na to, aby zajmować się zbytecznymi szczegółami. Obchodzi go w tej chwili niebezpieczeństwo kontrofensywy wojsk wiernych Kiereńskiemu, które generał Krasnow gromadzi w okolicach Piotrogradu, w Kołpinie, w Obuchowie, w Pulkowie. Trzeba przyspieszyć zajęcia Pałacu Zimowego. Powstanie już się skończyło. Teraz zaczyna się rewolucja. Od taktyki Trocki przychodzi do strategii. "Podoficer" mianuje siebie na oczekiwaniu generałem. Nie ma czasu na przygotowanie oficjalnego przyjęcia dla wodza rewolucji. Paradując w peruce Lenin w przebraniu robotnika wychodzi wolnym krokiem po schodach Smolnego Instytutu, przemierza korytarze, pełne czerwonych gwardzistów, wchodzi na najwyższe piętro, puka do drzwi gabinetu Trockiego. "Proszę wejść", mówi Trocki. Przybycie Lenina minęło niepostrzeżenie.

"Władimir Iljicz, opowiada Trocki, zwrócił się do mnie, pytając o pertraktacje, jakie prowadziliśmy ze sztabem dowództwa Piotrogradzkiego okręgu wojskowego. Chodziło o los stołecznego garnizonu. Jak podały pisma, rokowania te dały pomyślny wynik. Godzicie się na kompromis? zapytał Lenin. Odpowiedziałem, że umyślnie kazaliśmy dziennikom lansować tę uspokajającą wiadomość, ale że to tylko podstęp w chwili, gdy rozpoczyna się walna bitwa. - Ach, to doskonale! zawołał Lenin głosem śpiewnym i rozradowany. Odzyskując cały swój zapał, zaczął krążyć po pokoju zacierając ręce. Władimir Iljicz lubił wybiegi strategiczne. Czy można sobie wyobrazić coś miłszego, jak wprowadzenie w błąd przeciwnika? Naraz Lenin dostrzegł świeżo wydrukowany afisz, grożący natychmiastową egzekucją każdemu, kto dopuści się rabunku. W pierwszej chwili Władimir Iljicz jak gdyby się zmieszał, zdawało mi się nawet, że się waha. Ale zaraz powiedział: Dobrze! To słuszne! - "Rzucał się chciwie na wszystkie drobne szczegóły tej wielkiej sprawy." Dla niego były to przede wszystkim bezsprzeczne dowody, że tym razem wszystko jest w ruchu, że przekroczyło się już Rubikon, że nie ma już odwrotu. Przypominam sobie, jak ogromne wrażenie wywarł na Leninie fakt, iż chcąc zapewnić spokojne wydawanie naszego pisma, wezwałem do Smolnego piśmiennym rozkazem kompanię Pawłowskiego pułku.

- A więc kompania przyszła?

- Oczywiście.

- I już się składa pismo?

- Owszem, wszystko idzie jak należy!

Lenin był w uniesieniu, co u niego objawiało się za pomocą śmiechu i okrzyków. Zacierał ręce. Następnie zamyślił się jednak na chwilę, po czym rzekł:

- A więc i w ten sposób można robić rozmaite rzeczy!... Bylebyśmy zdobyli władzę! - Zrozumiałem, że dopiero w tej chwili pogodził się ostatecznie

z myślą, iż trzeba zrezygnować ze zdobycia władzy poprzez spisek."

Trocki dodaje, że "aż do ostatniej chwili" Lenin nie ukrywał swych wątpliwości, swych obaw o wynik operacji rewolucyjnych. "Dopiero tego wieczora, 25 października, uspokoił się i zaaprobował ostatecznie drogę, którą szły wydarzenia. Mówię, że się uspokoił, ale uspokoił się tylko po to, aby zaraz znów zacząć się niepokoić z powodu szeregu spraw wielkich i małych, konkretnych i nic nie znaczących."

Około dziesiątej wieczór Lenin i Trocki schodzą na pierwsze piętro. W wielkiej sali Amolnego Instytutu ma się właśnie rozpocząć drugi wszechrosyjski kongres Sowieców. Siedząc przy małym stoliku w pokoju, służącym za przejście, wódz rewolucji i jego "podoficer" przyglądają się defiladzie członków kongresu. W chwili, gdy udając się na salę kongresu, mijają ich dwaj przywódcy mniejszowicy, Dan i Skobelew, z daleka rozlegają się wystrzały armatnie i zaczynają terkotać karabiny maszynowe. To krążownik "Aurora" rozpoczyna ostrzeliwanie Pałacu Zimowego. Dan zatrzymuje się, patrzy na człowieka w peruce, siedzącego obok Trockiego, poznaje go. "Skonieczone", szepce śmiertelnie blady do Skoblewa. Jeżeli Lenin opuścił swoją kryjówkę, jeżeli ośmiela się pokazać publicznie, to znaczy, że wszystko skonieczone. "Scenę tę upamiętniono nawet na pewnym obrazie." Ale Władimir Iljicz nie zdejmuje peruki. Za wcześniej jeszcze, aby się demaskować - Pałac Zimowy nie znajduje się jeszcze w rękach czerwonych gwardzistów. "Lenin nie pokazał się na pierwszym posiedzeniu kongresu, opowiada Trocki, trzymał się na uboczu w pokoju zupełnie niemal pozbawionym mebli. Ktoś rozłożył tam potem na podłodze kilka koców i rzucił na nie dwie poduszki. Odpoczywaliśmy tam, leżąc jeden drugim, Władimir Iljicz i ja. Ale po kilku minutach zawołano mnie - Dan zabrał głos, trzeba było mu odpowiedzieć. Odpowiedziałwszy Danowi, wróciłem i znów położyłem się obok Lenina. Co pięć czy dziesięć minut ktoś przybiegał z sali kongresowej, aby zdać nam sprawę z tego co się tam działo, z miasta przybywały sztafety." Z daleka dołatywało terkotanie karabinów maszynowych. Późną nocą marynarz Dybienio przynosi wiadomość, że w Pałacu Zimowym powiewa czerwony sztandar. "Nareszcie!" woła Władimir Iljicz. Zrzuca perukę, przesuwa ręką po czole. Z twarzą zroszoną potem, blady, drżący, wychudły, ten lekliwy i gwałtowny człowiek, ten fanatyczny drobniomieszczanin wodzi wokół siebie spojrzeniem błędnym z niewspania. Wódz, dyktator, triumfator, to on, poczciwiec Lenin. A więc państwo to on. "W głowie mi się kręci, mówi po niemiecku - es schwindelt" i zakreśla w powietrzu linię wokół swej głowy.

"Po tej uwadze, jedynej mniej więcej osobistej uwadze, jaką usłyszałem od niego z okazji zdobycia władzy, pisze chłodno Trocki, przeszliśmy po prostu do załatwiania spraw bieżących."

"Es schwindelt - w głowie mi się kręci". Od dnia 25 X 1917 roku, od chwili zdobycia władzy, rozpoczyna się to, co możnaby nazwać sentymentalną edukacją Lenina. Fatalizm, pod którego ciężarem ugina się on sam, tak samo jak i wielu innych, to zdrowy rozsądek. Jeszcze jedna ofiara zdrowego rozsądku - oto co można by powiedzieć w istocie rzeczy o Władimirze Iljiczu. Ten gorliwy i punktualny urzędnik, który nie szczędzi starań, aby rozwój wydarzeń pozostał, mimo wszystko stopniowy, pokojowy i najmniej bolesny - ten doktryner o abstrakcyjnym, gwałtownym i drobiazgowym fanatyzmie staje wreszcie twarzą w twarz z rzeczywistością. Trudna to sytuacja dla człowieka, który całe życie swe spędził w bibliotekach. Za późno już, aby uchylić się od bezpośredniej, osobistej, codziennej odpowiedzialności za wydarzenia. Wkrótce, niby Jakub z Aniołem, będzie musiał walczyć z ludźmi, rasą przekлетą i złą (uważa jednak, że ludzie są dobrzy - tępi, ale dobrzy). Będzie musiał zapuszczać się coraz głębiej w rzeczywistość. Jak człowiek, który dostał się na ruchome piaski, będzie jeno grzązł jeszcze bardziej, usiłując się wyzwolić. W chwili, gdy rola przewodniczącego rady komisarzy ludowych zmusza go do przeniesienia się ze strefy teorii w dziedzinę czynu,

Lenin okazuje się niezdolny do kształtowania rzeczywistości podług doktryn. Skończył tedy na przystosowaniu doktryn do rzeczywistości. To, co zwykle się nazywa zdrowym rozsądkiem, bywa niekiedy tylko rezygnacja.

Formuły "załatwienie spraw bieżących", którą wieczorem 25 października Trocki podejmuje zadanie czekające wodzów rewolucji po zdobyciu władzy, nie dałoby się zastosować do roli, jaką Lenin ma odegrać nazajutrz po zamachu stanu. Dla Trockiego nowe zagadnienia, powstające od X 1917 r., to tylko "sprawy bieżące", nie różniące się niczym od dawnych zagadnień. Wola jego działa zawsze tylko w jednej płaszczyźnie - w płaszczyźnie rzeczywistości. Dla człowieka czynu działanie jest pewną rutyną, nowe okazje do akcji są potrzebami chwili. Trocki nie ma potrzeby stwarzania nowej teorii, wynajdywania nowej doktryny na usprawiedliwienie swych uczynków. Zada sobie trud usprawiedliwienia ich dopiero wtedy, gdy mu już zabraknie okazji do czynu. Wtedy opracuje swą teorię "nieustannej rewolucji", inaczej mówiąc, rewolucji bieżącej. Dla Lenina, przeciwnie, nowe problemy, które ma rozwiązać są całkiem inne od dawnych. Wola jego ma działać teraz w zupełnie odmiennej materii. Aby dowieść prawdziwości swoich teorii, swoich doktryn, musi stworzyć nową rzeczywistość. Przed Leninem stoi zadanie stworzenia nowego państwa i nadania wydarzeniom nowej logiki. "Es schwindet..."

Dnia 26 X, nazajutrz po zdobyciu władzy, Władimir Iljicz odgradza się od świata w jednym z pokojów Smolnego. W głowie mu się kręci - chwytą się biurka, aby nie upaść. Pióro, atrament i papier, oto wszystko, czego mu potrzeba. Zeszyty jego, notatki, tablice statystyczne są tuż, pod ręką. Odzyskuje stopniowo spokój, nerwy mu się rozprężają. Odtąd nic już nie zdoła wytrącić go z równowagi. Dzikie wycie spuszczonej z łańcucha mas, pianie "czerwonego kura" na bezkresnych równinach Wschodu, krzyk rozpacz giniącego społeczeństwa, wszystko to nie dosięga jego uszu. W swym gabinecie nie słyszy odgłosów rzezi. Z miną uśmiechniętą, z ironicznym spojrzeniem, opracowuje dekrety, pisze artykuły, odezwy, listy, gryzmoli karteczki. Nienawiść do świętej Rosji, do społeczeństwa burżuazyjnego, do wrogów ludu pozabawiona jest zacietrzewienia. Słowo "zniszczyć" nie zawiera dlań tego, co można by nazwać ujemnym znaczeniem. Nienawiść jego nie jest uczuciem, ani nawet rozumowaniem. Jest ideą. Nienawiść jego nie jest teoretyczna, abstrakcyjna, powiedziałbym niemal bezinteresowna nawet. "POTWÓR" ten ma poczucie humoru. Najstraszliwsze słowa wymawia z uśmiechem. Nie należy doszukiwać się cynizmu tam, gdzie mamy wyłącznie do czynienia z dobroduszością.

Na początku listopada, w kilka dni po zamachu stanu, wszyscy urzędnicy ministerstw i administracji publicznej stolicy ogłaszają strajk. Słynny ten "strajk biurokracji" jest właściwie obstrukcją. Funkcjonariusze nie opuszczają biur, nie chcą jednak uznać w komisarzach ludowych ministrów, ani też podporządkować się kontroli delegatów Sowietu czekając z założonymi rękami. Obłomow buntuje się przeciw Leninowi. Obłomow to bohater głośnej powieści Gonczarowa, ucieleśnienie lenistwa, bezwładu, fatalizmu rosyjskiego mieszczaństwa. Po raz pierwszy w dziejach Rosji Obłomow zdecydował się na decyzję, postanowił coś uczynić. Choć nie jest to rewolta Stieńki Razina, Pułaczowa czy Mazepy, mimo wszystko jest to jednak rewolta. Obłomow walczy, krzyżując ramiona na piersiach. Uzbrojony jest tylko we własne leniwość. Ze wszystkich rodzajów broni, jakimi rozporządza kontrrewolucja, Lenin najbardziej obawia się bezwładu, lenistwa ludu rosyjskiego, "obłomowszczyzny". Spokojny ten przeciwnik zdolny jest doprowadzić swą indolencję do ostatecznych granic - aż do zasypiania przy biurku. Obłomow ma w sobie coś z Kutuzowa. Sen jego powstrzymałby na długo życie administracji państwowej. Byłby to zły początek dla rewolucji głoszącej bezsenność. Obłomow, zazwyczaj niezdolny do niczego, okazuje się naraz zdolnym do wszystkiego. Gdy Dzierżyński przynosi mu wiadomość o tym strajku, Lenin w pierwszej chwili unosi się, wali pięścią w stół, zarzuca

Dzierżyńskiego pytaniami i wymówkami. Cóż to znów za historia? Następnie uspokaja się, uśmiecha, zaciera ręce, mruży oczy. Nie trzeba się spieszyć - nie należy pokazywać, że się bierze na serio ten zabawny strajk, tę rewoltę wysiadywaczy stołków. Zbiera u siebie przedstawicieli pracowników rozmaitych działów administracji publicznej, spokojnych poczciwców w okularach. Wszyscy mają przerzedzone włosy, żółte czaszki i zapadnięte policzki.

To spotkanie Obłomowa z Leninem stanowi najcharakterystyczniejszy epizod całej rewolucji. Dyktator okazuje się człowiekiem zgodnym i dyskretnym. Ale wysiadywacze stołków ukrywają się za murem nieustępliwości, która jest może tylko naiwnością. Upór ich jest uroczyisty i ceremonialny. Na pytania Lenina odpowiadają cichym głosem, niby pracownicy notariusza, lękający się zdradzić tajemnicę zawodową. Na dobrą sprawę domagają się niewielkich rzeczy - zadośćuczynienia kilku prostym formalnościom. Roszczenia ich ograniczają się do żądania z uniżonym i nieśmiałym uśmiechem, żeby rewolucja nie zajmowała się ministerstwami, administracją publiczną, "sparawami bieżącymi", żeby rząd Republiki Sowieckiej nie wprowadzał nieporządku do ich papierzysek, kartotek, zwyczajów i godności wysiadywaczy stołków i nie zajmował się administracją państwową. "Nie wtrącajcie się do naszych spraw, zostawcie nas w spokoju". W głębi duszy Władimir Iljicz doskonale ich rozumie. Cóż to za brzydki kawał dla gryzpiórków ta rewolucja! Ale ten śmieszny strajk może stać się niebezpieczny. Lenin układa swoje papiery, wybucha śmiechem i odchyła się w tył na fotelu. Trzeba "przywołać do porządku tych dzielnych ludzi" powiada do Dzierżyńskiego.

Słowa te w ustach Władimira Iljicza nie mają złego znaczenia. Dopiero po upływie kilku dni zdaje sobie sprawę z tego, co dla Dzierżyńskiego znaczy "przywołać do porządku tych dzielnych ludzi". Dla "sztabowców" Lenina rewolucja bynajmniej nie jest ideą, teorią, doktryną, jak dla Władimira Iljicza. Podobnie jak wszyscy drobnonieszczęśliwcy fanatycy, jak ów Robespierre, z którym go tak często porównywają, Lenin nie troszczy się wcale o następstwa urzeczywistnienia swych idei. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że jego doktrynerski fanatyzm rodzi rozlew krwi i zniszczenie. Gdy podpisuje dekret, ma czyste sumienie. Nie czuje odrazy do swej ręki jak Lady Macbeth. Słowa "zniszczyć, wykorzenić" mają dlań znaczenie, że tak się wyrażymy wyłącznie administracyjne, biurokratyczne. Gdy mówi lub pisze, nie zastanawia się nad słowami. Ma na to zbyt słabą wyobraźnię. Trocki mówi, że Lenin ma wyobraźnię realistyczną. Oznacza to, że jest pozbawiony wyobraźni. W przemówieniu o podziale ziemi Władimir Iljicz zachęcał chłopów do "rabowania tego, co im zrabowano". Pisma antypolszewickie podchwyciły te słowa i wyzyskiwały je na wszelkie sposoby. Trocki opowiada, że zapytał Lenina, czy te słowa nie są przypadkiem wymysłem prasy burżuazyjnej. "Ależ nie! odparł Władimir Iljicz, rzeczywiście powiedziałem to kiedyś. Powiedziałem, żeby natychmiast o tym zapomnieć, a nasi przeciwnicy zrobili z tego cały program!" W przeciwieństwie do cynizmu Robespierre'a, który nigdy nie wyrzekł żadnego słowa, "aby o nim natychmiast zapomnieć", cynizm Władimira Iljicza jest tylko werbalny. Okrucieństwo jego jest platoniczne. Gdy nazajutrz po zamachu stanu Kamieniew podaje mu do aprobaty dekret, uchylający karę śmierci w wojsku, Lenin oburzony woła: "Czy myślicie, że można dokonać rewolucji, nie rozstrzelując ludzi?" i rozdziera dekret. Ale wkrótce potem, gdy Dzierżyński, po stworzeniu "Czeki", daje mu listę rozstrzelanych kontrrewolucjonistów, Władimir Iljicz błędnie. "To mnie nie obchodzi! krzyczy załamującym się głosem: to nie moja sprawa!" Ilekroć w Smolnym lub później na Kremlu mówią mu o masakrach, głodzie, o straszliwych niezczęściach doświadczających lud rosyjski, Lenin unosi się, głos jego chryplenie: "Po co mi opowiadacie takie historie? Zostawcie mnie w spokoju! Nie chcę o niczym wiedzieć. Te rzeczy mnie nie dotyczą". Nic nie powinno zakłócać jego abstrakcyjnego, altruistycznego i bezinteresownego fanatyzmu. Altruizm jego jest bezlitosny, okrucieństwo zaś chce pozostać platonicznym.

W naturze Rosjan zło pomieszane jest z dobrem. Nie widzi się nigdy całego zła, drzemiącego w ich dobrych duszach. Najłagodniejsze oczy kryją posępne myśli. W sercu Rosjan najpotworniejsze zbrodnie kiełkują, niby lilie. Historia tego narodu pełna jest potworów o motylích skrzydłkach - niepodobna rozpoznać, który z nich jest Arielem, a który Kalibanem. "Nie należy sprzeciwiać się złu" nauczał Tołstoj. Szlachetne i wspaniałomyślne to słowo. Ale Tołstoj może spać spokojnie - w Rosji nikt nie sprzeciwia się złu. Rezygnacja tego narodu nie zna skrupułów - tajemnicą jego charakteru tkwi w goźdzeniu się zarówno na zło, jak i na dobro. Szanuje on występek na równi z cnotą. Pełen jest współczucia dla ludzi dzielnych i wyrozumiłości dla nikczemnych.

Niemniej jednak trudno byłoby stwierdzić, czy również i Lenin nie potrafi przeciwstawić się złu - czy ma serce dobre czy też złe. O takich ludziach nie można wydawać sądu podług ich serca - należy ich oceniać podług ich głowy. Niby palące słońce, rozum wysusza im wnętrzości. Niepodobna odcyfrowywać ich moralności - czy są uczciwi, czy też nieuczciwi? Są czynni więcej i mniej zarazem - są to ludzie cnotliwi w rewolucyjnym znaczeniu tego słowa, innymi słowy, ludzie czysti. Strzeżcie się ich cnoty! "Nieprzekupni", ci, których niepodobna przekupić ani pieniędzmi, ani miłością, ani próżnością, ani wydarzeniami, zdolni są do najstraszliwszych zbrodni, lubo ani jedna kropla krwi nie zbruka ich potwornej niewinności. Podczas krwawych dni wojny domowej, gdy ze wszystkich krańców ziemi rosyjskiej, z wybrzeży Bałtyku i morza Kaspijskiego, z zielonych równin Ukrainy i piaszczystych stepów Azji przeraźliwy hałas rozruchów i rzezi dociera wreszcie do jego uszu, Władimir Iljicz błędnie. A więc tak to się kończy stopniowy, pokojowy i łagodny rozwój wypadków? Więc on, tylko on odpowiedzialny jest za wszystkie ten rozlew krwi, za tę potworną ruinę powszechną? Do jego roli należy przypisywanie sobie wszystkich zbrodni rewolucji. Spójrzcie na tego Atlasa, na tego św. Krzysztofa - nieszczęcia i grzechy narodu rosyjskiego, osiem wieków jego niewoli, całą jego przeszłość, całą jego przyszłość dźwiga Lenin na swych barkach. (...) Śierść tego wilka biel-sza jest od runa jagniątka. Czy winien jest, koniec końców, rozlewowi krwi wrogów ludu? Nic na świecie nie zdołałoby zapobiec tej krwawej rzezi. Terror rewolucyjny jest nieunikniony. "Lenin, mówi Trocki, korzystał z każdej sposobności, aby rozpowszechnić pogląd, że terror był nieunikniony".

Nie mogąc uchylić się od odpowiedzialności za wypadki, Lenin, błady, z twarzą zalaną potem, usiłuje wpoić w siebie i w innych to przekonanie. Fatalizm, rządzący rewolucją, silniejszy jest nawet od niego, od teorii, logiki i woli. Cóż może począć wobec nieugiętych praw rewolucji? Poczucie niemożności regulowania biegu wypadków rewolucyjnych nadaje łagodne brzmienie jego głosowi, rozprasza niepokój, uśmierza pasję. Nie należy w jego mocy zahamowanie tej rzeki krwi, płynącej przez całą Rosję i to właśnie nadaje jego doktrynerskiemu fanatyzmowi wielkość fatalizmu. Czegoś chcą od niego? Aby przekształcił chłopów, robotników, marynarzy Raskolnikowa, bandy Czapaiewa, kawalerzystów Budionnego w arystokratów z Jockey Clubu, w gentelmenów z Kensingtonu lub w filantropów z Fabian Society? Jan Jakub Rousseau w tych warunkach też nie mógłby inaczej postąpić. Gdyby nawet udało mu się zrobić z Rosji Arkadię, z czerwonej zaś armii Armie Zbawienia, rzeka krwi niezatrzymałaby się w swym biegu. Władimir Iljicz, ów marksowski Dżyngis-Chan, ów Mahomet proletariacki, nie uważa się bynajmniej za "dyktatora o żelaznej woli". Trocki opowiada, że "gdy mówiono przy nim o rewolucji lub o dyktaturze, zwłaszcza na posiedzeniach rady komisarzy ludowych, Lenin wołał zawsze: "Ale gdzież ona jest, ta nasza dyktatura? pokażcie mi ją. Czy to dyktatura? Ależ to zawracanie głowy!" Ci, którzy wyobrażają sobie czerwonego dyktatora jako postać o oleodruku, jako dzikiego człowieka o straszliwych, mongolskich oczach, o gwałtownych ruchach, sercu z czarnego kamienia i despotycznej woli, nie zdołają nigdy

zobaczyć go takim, jakim był w rzeczywistości - jak siedząc przy biurku zawałonym papierami, błady, wychudły, drżący, zgarbiony, z zamglonym spojrzeniem i zachrypłym głosem, usiłuje za pomocą telefonów, dekretów i przemówień zaprowadzić ład w przerażającym chaosie, w którym Rosja pogrążyła się coraz bardziej. Naszkocony kilkoma kreskami obrazem sytuacji, Trocki, zimnym gestem reżysera odsłaniającego zakulisowe tajemnice, ukazuje nam nieopisany zamęt, jaki panował w Smolnym Instytucie, siedzibie rządu sowieckiego. Dyktatura we władzy anarchii, dyktatura bez dyktatora. To, co Trocki nazywa "słabością naszego aparatu rządowego" jest tylko nieumiejętnością Lenina udzielenia współpracownikom dokładnych, praktycznych i konsekwentnych dyrektyw. Niezdolny do bezpośredniego stawiania czoła rzeczywistości, do szukania konkretnego rozwiązania zagadnień rozstrzygających o losach ludu rosyjskiego, ten pedantyczny i abstrakcyjny doktryner skrupulatnie i pracowicie wykreślał na papierze idealne kontury państwa komunistycznego, opracował do najdrobniejszych szczegółów plany organizacji komunistycznej państwa, pisał dekrety i znów dekrety, w ciągu pierwszych miesięcy dyktatury bolszewickiej, nic prócz dekretów, tuzinów, setek, tysięcy dekretów.

Praca ustawodawcza, wykonana przez radę komisarzy ludowych, inaczej mówiąc, przez Lenina jest olbrzymia. Władimir Iljicz grał rolę dyktatora, mając umysłowość urzędnika, wykonawcy i wszystkie zagadnienia sprowadzając do liczb, do statystyki, paragrafów i przepisów.

"Rada komisarzy ludowych, mówi Trocki, rozwijała gorączkową działalność w wydawaniu dekretów. Trzeba było zaczynać wszystko od początku, budować na nowych i nieznanym terenie. Wszystko to nie miało precedensów. Z braku czasu, trudno było nawet zasięgać informacji. Zagadnienia wysuwały się w trybie terminowości rewolucyjnej, czyli w porządku najbardziej niewiarygodnego chaosu. Największe problemy przeplatały się z najdrobniejszymi w sposób zaiste fantastyczny. Drugorzędne kwestie praktyczne prowadziły do skomplikowanych zagadnień podstawowych. Jedne dekrety przeczyły czasami drugim i Lenin nieraz, publicznie nawet wyszydzał brak koordynacji naszych prac ustawodawczych. Koniec końców jednak sprzeczności te, chociaż bardzo poważne z punktu widzenia praktycznych potrzeb chwili, ginęły w powszechnym wysiłku myśli rewolucyjnej". Podczas gdy ludzie umierali z głodu, a granice Rosji trzeszczały pod naporem sił kontrrewolucyjnych, Władimir Iljicz opracowywał dekrety i znów dekrety, nic prócz dekretów. Nie zwracał uwagi na to, co się dzieje naokoło. Pochylony nad papierami, podnosił głowę po to tylko, aby ironizować na temat trudności swego zadania.

"Lenin, opowiada Trocki, przewodniczył niezmiennie na codziennych posiedzeniach rady. Przechodził od jednej sprawy do drugiej, kierował dyskusją, ograniczając ściśle czas, udzielany mówcom. Kontrolował go na zegarku, zastąpionym później przez chronometr. Według przyjętej ogólnej zasady, sprawy rozważano bez uprzedniego przygotowania. Były to zawsze wnioski nagłe. Częstokroć członkowie rady, nie wyłączając Lenina, nie znali istoty zagadnienia aż do chwili rozpoczęcia narad. Dyskusja była zawsze byrdzo zwięzła, na zreferowanie sprawy przeznaczano zaledwie pięć lub dziesięć minut. Niemniej jednak Władimir Iljicz odnajdował zawsze, jakgdyby po omacku, właściwą linię. Na wąskim skrawku papieru, drobnymi pismem (oszczędność!) wypisywał nazwiska mówców. Spoglądając wciąż na zegarek, robił notatki, albo pisał śpiesznie krótkie karteczki, "które posyłał do tego lub innego członka rady, każąc podawać je z rąk do rąk dookoła stołu. Trocki dodaje, że kartki te mogłyby stanowić obszerną i bardzo ciekawą dokumentację epistolarną techniki ustawodawczej Lenina. "Większa ich część nie zachowała się niestety, odpowiedź bowiem najczęściej pisano na odwrocie kartki, wszystko zaś niszczył od razu i skrupulatnie Władimir Iljicz." W tych kilku wierszach Trocki maluje prawdziwy portret Lenina jako dyktatora.

Gdyby Babbitt i Candide umieli patrzeć, dostrzegliby tutaj, jak z tego małego człowieczka - little man -, o którym pisze Wells, z tego drobno-mieszczanina, usiłującego zbudować państwo na wąskich skrawkach papieru, wy-

ziera potwór, bez porównania niebezpieczniejszy od Mahometa lub Dżyngis-Chana, a nade wszystko bardziej nowoczesny. Lenin to nowoczesny potwór, najbardziej uderzający przykład drobnomieszczańskiego fanatyzmu, "rozpętanej dobroduszości, doktrynera gwałtownego w dialektyce, bojaźliwego zaś, gdy chodzi o czyny, dla którego najkonkretniejsze problemy sprowadzają się do kilku oderwanych formuł, najtragiczniejsze potrzeby - do kwestii zasadniczych, najkrwawsza zaś rzeczywistość - do doświadczenia laboratoryjnego". Ten potwór o przeciętnym sercu, domatorskich upodobaniach i spokojnych obyczajach, którego niechęć do czynu płynie z poczucia własnej niezdolności do aktywnego przeciwstawiania się wypadkom, ten poczciwiec, wahający się przez całe życie między ambicją kształtowania rzeczywistości na wzór swych teorii a obawą, że wydarzenia zawładną nim, zniszczą go i uniosą na swej fali, że doktryny jego ugną się i zniekształcą pod ciężarem rzeczywistości, ten pomocnik adwokata przysięgłego, zabiłkany wśród zawieruchy rewolucyjnej, który, aby móc zastosować swe teorie w praktyce, musi nie odczuwać kontaktu z rzeczywistością - ten człowiek potrafi działać tylko w próżni, umie objawiać swą abstrakcyjną wolę tylko na pewnym rodzaju arbitralnej rzeczywistości, którą sam wynalazł, którą sam tworzy, którą narzuca same-mu sobie, swym współpracownikom, ludowi rosyjskiemu, rewolucji proletariackiej, przyszłości Europy.

Siła jego leży nie w jego charakterze, nie w ideach, lecz w doktrynerskim fanatyzmie, rzekłbyś w jego poczuciu irrealizmu. Tym, co czyni zeń znacznie groźniejszego i niebezpieczniejszego potwora, niż taki na przykład Trocki, niż każdy inny rewolucjonista czasów nowożytnych, niż nawet Robespierre, nie jest okrucieństwo, lecz dobroduszość. Z uśmiechem na ustach, z czołem bez jednej zmarszczki, z czystym sumieniem, pewną ręką ten natchniony mąż, ten dzielny drobnomieszczanin podpala Rosję. Dekrety, wciąż tylko dekrety, nic prócz dekretów. Niepodobna zliczyć ofiar jego doktrynerskiego fanatyzmu. Setki tysięcy ludzi, może nawet miliony zginęły z jego winy. Dla biografa jednak najważniejszy jest fakt, że Lenin, osobiście, nie potrafi nikogo skrzywdzić. Wprawdzie czasami usiłuje się usprawiedliwić, lecz chce usprawiedliwić nie swe teorie lub doktryny, a uczynki, gdy wkracza w sferę czynu, traci zaraz pewność siebie. Zdumienie nas ogarnia wobec prerażającej naiwności jego słów. "Kto nic nie robi, ten nie błądzi" mówi Lenin. Trudnoby znaleźć lepsze usprawiedliwienie, skromniejsze i mądrzejsze zarazem. Ten "czysty człowiek" jest świadom swoich wad, usiłuje przeciwdziałać swym słabościom. W zimie 1921 roku Lenin odwiedza pewien klub robotniczy w Moskwie - przyjmują go wiewatami, całują go po rękach. Władimir Iljicz śmieje się, rozwesela się, jego dobry humor i serdeczność podbijają proste serca robotników. Kilku z nich improwizuje zespół orkiestrowy i zaczyna grać na jego cześć stary romans. Lenin wstaje nagle i daje znak, aby przestano grać. "Wybaczcie, mówi, ale nie mogę słuchać muzyki. Pod wpływem muzyki staje się do-bry".

Na Kremlu robi nieraz ironiczne uwagi a propos swej roli dyktatora oraz dyktatury proletariatu, porównuje to "zawracanie głowy" z okrutną dyktaturą dawnych carów. "To byli ludzie, powiada, prawdziwi ludzie czynu!". Patrzy z uśmiechem na swych współpracowników, ludzi czynu, którymi pogardza z całego serca za empiryzm ich koncepcji rewolucyjnych, za ich brutalność "feldfebli". Ktoś wspomina mu pewnego razu o Iwanie Groźnym. "Cóż za szkoda, rzuca Władimir Iljicz, że Iwan Groźny miał tak zaszczerpane sumienie z powodu takich drobnostek!". Wiadomo, że do okrutnego Dzierżyńskiego, szefa Czeki, żywił fizyczny niemal wstręt. Po rzezi pod Pierekopem, gdzie oficerowie i żołnierze Wrangla ginęli tysiącami, Lenin odmawia podania ręki Raskolnikowowi i Beli Kunowi, smutnym bohaterom piekopskiej Nocy św. Bartłomieja. Ale przecież jego ironiczne uwagi na temat bez-litosnego okrucieństwa dawnych carów i zaszczerpanego sumienia Iwana Groźnego to nic innego, jak aluzje do Trockiego, Dzierżyńskiego, Raskolnikowa, do tych wszystkich, którzy budzą w nim zazdrość, pogardę i wstręt. Czy nie mamy tu również do czynienia z rezygnacją, pomieszaną z pewnym żalem? W tyranach dawnej Rosji podziwiał ich żelazną wolę, ich posępne zamiłowanie do czynu. Nie ukrywał sympatii do Piotra Wielkiego, "tego geniusza, który znał swój fach". Nie lubi,

gdy go porównywano z Cromwellem, Robespierrem, Napoleonem, z takim czy owym bohaterem wojskowych czy politycznych dziejów Europy. "Brudni burżuje", oznajmia, mrużąc oczy. Śmieje się z tych bezpodstawnych porównań. Wszyscy jego biografowie stwierdzają jednak zgodnie, że nie sprzeciwiał się tylko porównaniom z Piotrem Wielkim. Pewnego wrześniowego dnia 1923 roku, na kilka miesięcy przed jego śmiercią cały Kreml był poruszony - Władimir Iljicz znikł. Daremne poszukiwania trwają do późnej nocy. Ale oto oślepiały dozorca Muzeum dostrzega naraz w posępnej sali Zbrojowni Lenina, siedzącego na polowym łożku Piotra Wielkiego. Obok łożka, przy stole, na którym leży skórzana kasetka w kształcie wielkiej książki, zwanej Biblią Piotra Wielkiego (znajdowało się w niej sześć butelek, które car zabierał zawsze ze sobą podczas wizyt do Niemieckiej Słobody w Moskwie), stoją dwa ogromne buty, budzące ciekawość zwiedzających Zbrojownię na Kremlu. Od wielu godzin siedzi tutaj, głuchy na hałasy i nawoływania, oparłszy głowę na rękę, utkwivszy oczy w butach Piotra Wielkiego, przypominających buty Guliwera wśród Liliputów. Buty te przemierzały całą Rosję od Sankt-Petersburga aż po Połtawę, trzymały pod obcasem całą urodzajną ziemię rosyjską, tupały groźnie na bojarów, niewolników, dworzan, zwyciężonych wrogów, żołnierzy, zmarłych na polu bitwy ku chwale cara.

Podziw Lenina dla "cara-rewolucjonisty" jest przeciwieństwem poczucia własnej niezdolności do czynnego panowania nad ludźmi i wydarzeniami. Gdyby mógł wzuć tylko buty Piotra Wielkiego, dyktatura proletariatu przestałaby być owym "zawracaniem głowy", które grozi pochłonięciem całego jego dzieła rewolucyjnego. Niezdolny do działania, do opanowania swej niechęci do czynu, Władimir Iljicz, jak wszyscy drobnomieszczanie, "chwytają się końskiej grzywy". Rozporządzając jedynie piórem, atramentem i papierem do budowy państwa komunistycznego, do stworzenia owej arbitralnej rzeczywistości, którą kształtuje podług swych abstrakcyjnych doktryn, Lenin czepia się swego biurka. Nie chce nic wiedzieć, nie chce słyszeć o tym, co się dzieje wokół. Cóż z tego, że codziennie piętrzą się nowe trudności, nie przewidziane jego dekretemi. Nowe dekrety zmiotą wszystko. Cóż z tego, że ludzie umierają z głodu, że paraliż ogarnia z wolna całą maszynę państwową, że szczątki starego systemu zagradzają drogę rewolucji, że ciężar ich przeważa szalę na stronę głodu i zamieszek? Aby przezwyciężyć paraliż unieruchamiający państwo, pokonać głód wyludniającego miasta, kontrrewolucję szemrającą po wsiach, wystarczą nowe dekrety. Spuszczony z łańcucha drobnomieszczanin zaciska pięści. Nic nie zdoła powstrzymać rozpadu jego szaleńczego fanatyzmu, nic nie zdoła oderwać jego uwagi od dzieła rewolucji. Niechaj Trocki marzy o wznowieniu wojny z Niemcami, o odgraniu roli proletariackiego Bonapartego, niechaj szef Czecha, nieprzekupny Dzierżyński z bladą twarzą, opromienioną metafizycznym okrucieństwem gruźlików, prowadzi na własną rękę bezlitosną walkę z burżuazją (ze średnimi klasami, które historyk Zabielin nazywa "stałym ładem rosyjskim"), niechaj podoficerowie, każdy na swój sposób "borykają się z trudnościami sytuacji - jego to nic nie obchodzi. Wszystko to praca drugorzędna i wobec tego niewystarczająca. Trocki, Dzierżyński, coż to za burżuazyjni romantycy! Trocki myśli tylko o naśladowaniu Bonapartego, Dzierżyński marzy tylko o tym, aby zostać Fouchem. Ale po to, aby stworzyć państwo komunistyczne, ocalić rewolucję, nie wystarczy rozstrzelanie ludzi, albo udawanie w Brześciu Litewskim Bonapartego, dyktującego traktat w Campo-Formio. Trocki może się uśmiechać, uważając go za wizjonera - zbawienie rewolucji zależy całkowicie od pracy Lenina. Jedynie niebezpieczeństwo, którego wystrzega się Władimir Iljicz, to niebezpieczeństwo, że ugrzęźnie w rzeczywistości. Aby dokonać swego dzieła musi trzymać się z dala od wszystkiego, wznieść się ponad wszystko. Nic nie powinno zakłócać jego obojętnego stosunku do wydarzeń, jego olimpijskiego spokoju, jego pogardliwego ignorowania trudności historycznych i materialnych. Gdy podczas rokowań w Brześciu Litewskim Trocki proponuje radzie komisarzy ludowych, aby przerwała układy i wznowiła rewolucyjną wojnę z Niemcami, Lenin unosi się, słowa więzną mu w gardle, w oczach migoce żółty płomyk. Wojna? Znow ta prze-

brzydła sprawa? Ale wojna rewolucyjna z Niemcami, to kiereńszczyzna, to patriotyzm w stylu Dantona, a może nawet po prostu czysty bonapartyzm! Niech mu nie zawracają głowy tą plugawą komedią.

Lenin chwyta prawą ręką przegub lewej i przechyla głowę na ramię. Farokszym konwulsyjnego śmiechu tamuje jego ochrypły głos. "Potrzeba nam koniecznie pokoju, pokoju za wszelką cenę, choćby najhaniebniejszego, najbardziej niesprawiedliwego... byle pokoju!". Niemcy znowu rozpoczynają ofensywę, zdobywają Dyneburg, zagrażają Piotrogradowi. W Centralnym Komitecie partii i w radzie komisarzy ludowych większość opowiada się za patriotyzmem a la Danton. "Czyż jednak nie widzicie, że żołnierze uciekają, rzucając karabiny, że armia nie chce już więcej walczyć?" woła Władimir Iljicz 23 lutego 1918 roku na posiedzeniu Centralnego Komitetu, który zebrał się, aby rozstrzygnąć o losach rewolucji. Lenin nie chce nawet słuchać rewolucyjnej frazeologii towarzyszy. "Chciecie umrzeć z honorem, po rycersku. A ja nie chcę umrzeć z honorem, lecz chcę dać zwycięstwo proletariatom". Z radością w sercu Lenin podpisuje niecy pokój, który, pod groźbą bagnatów, Niemcy narzucają Republice Sowieckiej i który decyduje się przyjąć znikoma tylko większość w Komitecie Centralnym. Odtąd Władimir Iljicz będzie mógł swobodnie pracować. Cios jednak był ciężki. Groźba wojny wywołała w Rosji nieopisany chaos. "Wczoraj jeszcze, mówi Lenin, siedzieliśmy mocno w siodle. Dziś czepiamy się końskiej grzywy. Będzie to dla nas nauka na przyszłość. Lekcja ta powinna uleczyć nas z przekłętogo niedbalstwa prawdziwych Obłomowów, jakimi w gruncie rzeczy jesteśmy". Candide i Babbitt nie daliby wiary, że w chwili niebezpieczeństwa Władimir Iljicz odkrywa w sobie samym duszę prawdziwego Obłomowa.

Pacyfistyczne stanowisko Lenina, jego "integralny defetyzm" w sprawie Brześcia Litewskiego, ujawnia pierwszy atak choroby, która doprowadzi go w 1921 roku do "NEP-u". Chorobą tą jest zdrowy rozsądek. W 1920 roku, podczas wojny z Polską sympotomaty zdrowego rozsądku uzewnętrzniają się u niego tak wyraźnie, że bliskość kryzysu nie ulega już żadnej wątpliwości. Gdy czerwona armia Trockiego zagłębia się, niby nóż, w sercu Polski, Władimir Iljicz w swym pokoiku na Kremlu nie chce o niczym słyszeć, nie chce o niczym wiedzieć. Murzy państwa komunistycznego, które właśnie wznosi, drżą od głuchego huku armat, od radosnych śpiewów, od bicia w bębny. Na niezmierzonej polskiej równinie gorące letnie słońce wypala trawę pod kopytami koni Budionnego. Jutro, a może dziś jeszcze Warszawa znajdzie się w rękach Trockiego. Na ulicach Moskwy ludność defiluje, śpiewa "Międzynarodówkę". Powiew zwycięstwa marszczy czerwone sztandary na wieżach Kremla. "Potrzeba nam pokoju, krzyczy Lenin zachrypłym głosem, pokoju za wszelką cenę, zanim jeszcze nie jest za późno". Ten drobniemiejszczański dyktator nie jest stworzony do roli zdobywcy, proletariackiego Napoleona, markswskiego Cezara z czołem uwieńczonym wawrzynem. Zwycięstwo czy porażka, mało go to obchodzi - on domaga się pokoju. Jego integralny defetyzm nie pozwala się oszłomić zwycięstwem. Dyktatura proletariatu nie okrzepła jeszcze tak dalece, aby mogła wytrzymać ryzyko wojny, choćby nawet zwycięskiej. Lenin nie ufa wojownikom śpiewającym "Międzynarodówkę".

Tak więc, skoro tylko czerwona armia pobita pod murami Warszawy, zaczyna się cofać ku Berezynie, Władimir Iljicz zwołuje Centralny Komitet, przeciwstawia się gwałtownie dalszemu prowadzeniu wojny, domaga się zawarcia pokoju. Wie doskonale, że w tej chwili położenie wojskowe nie jest złe: "nasze całkowite zwycięstwo nie było nawet niepodobieństwem", powie później Klarze Zetkin. Chce jednak skorzystać z pierwszego odwrotu, aby narzucić pokój "socjalistycznym patriotom". Zwycięstwo czy porażka, słowa te nie mają dlań żadnego znaczenia. "Czy wiecie, mówi do Klary Zetkin wkrótce po podpisaniu traktatu ryskiego, czy wiecie, że traktat pokojowy z Polską napotkał początkowo na żywy sprzeciw w partii? Zwalczano mnie gwałtownie, ponieważ byłem zwolennikiem przyjęcia warunków pokoju, które bezsprzecznie są bardzo korzystne dla Polski, bardzo zaś ciężkie dla nas. Prawie wszyscy nasi biegli utrzymywali, że biorąc pod uwagę wewnętrzne położenie Polski, zwłaszcza zaś opłakany stan jej finansów, moglibyśmy uzyskać znacznie korzystniejsze warunki, gdybyśmy tylko nieco dłużej

przewodzą wojnę. Myślę nawet, że sytuacja nasza nie zmuszała nas wcale do zawierania pokoju za wszelką cenę. Moglibyśmy przetrzymać jeszcze całą zimę". Ale Władimir Iljicz nie może czekać. Rewolucja ma ważniejsze zadania niż walka o "socjalistyczną ojczyznę" Trockiego. Trzeba powrócić do pracy. Odtąd nic już, oprócz zdrowego rozsądku, tej niebezpiecznej choroby nie zdoła zamącić olimpijskiego spokoju Lenina. Dla fanatycznego doktrynera zdrowy rozsądek jest znacznie niebezpieczniejszym wrogiem od Fanny Kapłan.

Dnia 30.VIII.1918 roku w Moskwie, na Zamoskworieczju, gdy Lenin po wiecu przechodził przez podwórze fabryki Michelsona, młoda socjalistka rewolucjonistka Fanny Kapłan, czterokrotnie strzeliła do niego z bliska z rewolweru. Ciężko zanny w płuco, w szyję, w ramię i w lewą rękę Lenin przez długie miesiące znajdował się na pograniczu życia i śmierci. Gdy mówiono z nim o tym epizodzie, jedynym romantycznym epizodzie w jego edukacji sentymentalnej, Władimir Iljicz uśmiechał się z roztargnieniem. Nic nie zdoła zmienić arbitralnego kierunku jego logiki. Myśl o śmierci nie musnęła nawet jego obłąkańczego fanatyzmu. Jeśli nawet mówi niekiedy o śmierci, to zawsze ze śmiechem. Trocki opowiada, że Lenin pewnego razu zapytał go wprost: "Jeżeli was i mnie zabijają białogwardziści, czy sądzicie, że Bucharin ze Swierdłowem dadzą sobie radę?". Po czym, opowiada Trocki, wybuchnął śmiechem.

Nie wychodząc od rana do nocy ze swego gabinetu w Kremlu, Lenin odzyskuje pogodę ducha, humor, swe znane gesty w miarę tego, jak padają, wzbijając tułmany kurzu rusztowania, za którymi zaczynają się już zarysowywać olbrzymie kontury budującego się państwa. Gmach państwa sowieckiego zaczyna się stopniowo wyłaniać na mglistym tle Europy. Wojna z Polską zakończyła się właśnie trakta-tem ryskim. Czerwona armia Trockiego wyparła białogwardzistów Kołczaka, Denikina i Wrangla w głąb Azji, zepchnęła ich do Morza Czarnego, zatopiła w Wołdze, Donie, i Dnieprze. Rok 1921 świ-ta nad panoramą smutną i żalobną, bliska jest już jednak chwila, gdy łagodnie powiewy ze Wschodu każą zakwitnąć "czerwonemu pokojowi" na żyznej glebie rosyjskiej. Lenin zaczyna już czuć się u siebie w domu w tym państwie, które wznosił kamień po kamieniu z tak uporczywą cierpliwością i równie zuchwałą pogardą rzeczywistości. Dzieło jego jest wreszcie skończone. Padają ostatnie rusztowania. Musi teraz skierować swą wolę na dziedzinę znacznie niebezpieczniejszą od dziedziny doktryn, zestawień statystycznych, zasad budownictwa marksowskiego. Nadeszła chwila walki z ludźmi, ową rasą nie-spokojną i zagadkową.

Norman Davies (ur.1939) - historyk angielski. Ukończył studia w Oxfordzie, a w 1973 obronił na Uniwersytecie Jagiellońskim pracę doktorską pt.: "Wielka Brytania a Polska w latach 1919-1920". Wykłada na Uniwersytecie Londyńskim, gdzie kieruje sekcją polską w Kolegium Studiów Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich. Jest autorem następujących książek dotyczących historii Polski: *White Eagle and Red Star: The Polish-Soviet War, 1919-20*, (London 1972); *Poland Past and Present : a Select Bibliography of Works in English* (London 1977); *God's Playground : A History of Poland in Two Volumes* (Oxford 1981); *Heart of Europe : A Short History of Poland* (Oxford 1984) oraz wielu artykułów naukowych i popularnych z tego zakresu. Jego prace wzbudziły szerokie zainteresowanie, czego oznaką są liczne recenzje w czasopiśmie zagranicznych i emigracyjnych, a także nieliczne krajowe ("Polityka" 1983/24; "Tygodnik Powszechny" 1984/7 i 1985/20).

Prezentujemy dzisiaj czytelnikom jeden z rozdziałów *God's Playground*.

Polscy komuniści

Mówi się często, że polski ruch komunistyczny nie ma głębszych rodzimych korzeni. Traktuje się go więc jak roślinę wyhodowaną w zasadzie na obcym gruncie i przeszczepioną do powojennego polskiego ogrodu przez radzieckich politycznych ogrodników. Z tego też względu komunizm nie zajmuje wyeksponowanego miejsca w historii przedwojennej Polski. Z drugiej jednak strony nie można nie doceniać szans jego powodzenia i stopnia, w jakim obca w zasadzie sadzonka przystosowała się do unikalnych warunków politycznych polskiej gleby¹.

Genezę współczesnego komunizmu w Polsce wiąże się z powstaniem polskiego socjalizmu jako odrębnej formacji, z której przez pierwsze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat komunizmu zasadniczo się nie wyróżniał. Na początku dziewiętnastego wieku polscy socjaliści należeli do mikroskopijnej elity marzycieli mających większy wpływ wśród emigracji niż w kraju. Charakterystyczne pod tym względem jest, że pierwsza, jak się sądzi, organizacja o zabarwieniu socjalistycznym została założona w 1832 roku w opuszczonym baraku portowym w Portsmouth przez grupę uchodźców z powstania listopadowego². Spośród tej grupy Lelewel, Stanisław Worcell (1799-1857) i ks. Aleksander Pułaski (1800-1838) pojawili się następnie w szeregach Towarzystwa Demokratycznego i "Zemsty Ludu" tworząc odrębną odłam radykalnej opinii wśród "Czerwonych" podczas obydwu powstań. Z braku rozwiniętego przemysłu w Polsce ich uwaga skupiała się na problemach agrarnych. Pierwsze organizacje o bardziej masowym charakterze zaczęły powstawać dopiero po powstaniu styczniowym. Pierwszy polski związek zawodowy założyli we Lwowie polscy drukarze w roku 1870. Pierwsze socjalistyczne strajki zorganizowano w Poznaniu w 1871 i 1872 roku. Pierwsze wyraźnie socjalistyczne grupy w Warszawie powstały w tym samym okresie jako nieformalne kluby dyskusyjne.

Jednak już w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku widać już dwa odrębne kierunki rozwijającego się socjalizmu. Kierunek większościowy, inspirowany przez Bolesława Limanowskiego (1835-1935), kontynuował wcześniejszą tradycję traktującą polskie żądania narodowe jako naturalną część programu socjalistycznego. Był to kierunek o patriotycznym, empirycznym i praktycznym podejściu do problemów społecznych. Pierwszą jego organizację stanowił odródniony "Lud Polski", uformowany w Genewie, który za swój tekst programowy przyjął broszurę Limanowskiego "Patriotyzm i socjalizm" (1881)³. Kierunek mniejszościowy, inspirowany przez Ludwika Waryńskiego (1856-1889), zdecydowanie odrzucał polskie żądania narodowe. Był kosmopolityczny, ideologiczny, elitarny i akceptując metody terrorystyczne nawiązał ściśle związki z rosyjską "Wolą Ludu". Organizując jedno z pierwszych swych zebrań w Warszawie, 29 listopada 1880 roku, w 50 rocznicę wybuchu powstania listopadowego, grupa dążyła do uwydatnienia swego stanowiska antypatriotycznego. W liście do socja-

listycznych przywódców za granicą uczestnicy zebrania stwierdzali, iż "stare motto - Vive la Pologne - znikło zupełnie z walki klasowej między pracą a kapitałem". Zostali za to zganieni przez Marksa i Engelsa.

Miłośnicy Waryńskiego często traktują go jako pierwszego marksistę w Polsce, sugerując tym samym, że był lepszym znawcą marksizmu niż sam Marks. W każdym jednak razie wiadomo, że Waryński był dobrym organizatorem i jednym z najbardziej czczonych męczenników ruchu. Urodzony na Ukrainie, działał na terenie wszystkich trzech zaborów, a także za granicą. W 1880 figurował jako główny oskarżony w krakowskim procesie 35 socjalistów, lecz został oczyszczony z wszystkich stawianych mu zarzutów. Dwa lata później w Warszawie założył "Proletariat I", grupę uważającą się za awangardę nieuniknionej rewolucji. Waryński założył wśród robotników fundusz bojowy organizacji, na który składki płacili robotnicy, to pozwoliło przetrwać jej kilka lat, a w kwietniu 1884 roku przeprowadzić z powodzeniem strajk o polepszenie płac i warunków pracy we włókienniczym Żyrardowie. Aresztowany przez carską policję w trakcie akcji zatrzymań spowodowanej tym wydarzeniem, Waryński został postawiony przed sądem w Warszawie w listopadzie 1885 roku pod zarzutem "konspiracji ku zniszczeniu przemocą istniejącego porządku politycznego, ekonomicznego i społecznego". Czterech jego współpracowników - Kunickiego, Bardowskiego, Ossowskiego, Pietrusińskiego - skazano na karę śmierci i powieszono przed bramą cytadeli Aleksandra. Sam Waryński wraz z Ludwikiem Janowiczem (1858-1902) został uwięziony w Schlüsselburgu gdzie zmarł⁴.

W latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku polski socjalizm dojrzał na tyle, że możliwe stało się tworzenie masowych partii mających realistyczne widoki na trwałe istnienia. Największą grupę, Polską Partię Socjalistyczną, założono w Paryżu pod przewodnictwem Limanowskiego. Manifest partii określał, że dwa jej główne cele, dyktatura proletariatu i niepodległość narodu, mają być osiągnięte bez użycia przemocy. Organem prasowym partii był "Robotnik", początkowo wydawany przez Józefa Piłsudskiego na Beaumont Square przy Mile End Road w Londynie z przeznaczeniem do potajemnej wysyłki do Rosji. Równoległe powstały samodzielne Polska Partia Socjaldemokratyczna Galicji i Śląska (PPSD), założona przez Ignacego Daszyńskiego i niedużą PPS Zaboru Pruskiego w Katowicach. W tym samym okresie powstała także opozycyjna wobec głównej linii Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego. Założyli ją wojownicy antypatrioci wykluczeni z ogólnopolskiej delegacji na Międzynarodowy Kongres Socjalistyczny w Zurychu w sierpniu 1893 roku - Julian Marchlewski (1866-1925) i błyskotliwa młoda Róża Luksemburg (1870-1919). Odbiciem SDKP w Wilnie była Socjal-Demokracja Litwy Feliksa Dzierżyńskiego. W roku 1900 obie organizacje zostały połączone jako SDKPiL. Spowodowało to instytucjonalne utrwalenie podstawowej i gorzkiej schizmy między socjalistami a tradycją patriotycznej, czyli "patriotami społecznymi", a antypatriotycznymi "demokratami społecznymi".

Ciekawe, że żydowski ruch socjalistyczny w Polsce przejawiał podobne tendencje. Internacjonalistycznemu Bundowi (Ogólny Żydowski Związek Robotniczy) utworzonemu w Wilnie w 1897 roku, ściśle związanemu z socjaldemokracją rosyjską, przeciwstawiała się bardziej nacjonalistyczna Poale Sion.

Róża Luksemburg (1870-1919) wymaga odrębnej wzmianki. Urodzona w Zamościu córka litwackich emigrantów ze wschodu, nie odczuwała głębszych związków emocjonalnych z ojczyzną. Pod tym względem była bardzo typowym przedstawicielem środowiska kosmopolitycznych żydowskich intelektualistów tworzących podstawowy rdzeń najpierw ruchu socjalistycznego, a później komunistycznego. Jako współpracowniczka bolszewików w Rosji i współtwórczyni Związku Spartakusa (Spartakusbund) w Niemczech miała odegrać zasadniczą rolę w rozwoju marksistowskiego internacjonalizmu. Wyjątkowa kobieta w świecie zdominowanym przez mężczyzn była najbardziej wpływowym teoretykiem w całej historii polskiego komunizmu⁵.

W pierwszych dwóch dekadach dwudziestego wieku polski socjalizm os-

łabiły liczne niepowodzenia i podziały frakcyjne. W Austrii PPSD działała legalnie i od roku 1897 dysponowała grupa aktywnych deputowanych do parlamentu we Wiedniu. Lecz już w Rosji lata nadziei i walki gwałtownie skończyły się wraz z upadkiem rewolucji 1905-06 roku. Dążąca do zachowania tradycyjnych struktur ruchu związkowego i dotychczasowej taktyki działania w przemyśle PPS-Lewica zerwała w 1908 roku z kierownictwem partii, które jako PPS Frakcja Rewolucyjna, rozpoczęła już wtedy przygotowania do walki zbrojnej. W proteście przeciw militarystycznym obsesjom kierownictwa w latach 1911-1916 wyodrębniła się następna frakcja, PPS-Opozycja Feliksa Perla i Tomasza Arciszewskiego. Kierownictwo zaś i tak traciło kontrolę nad działającymi z powodzeniem i w tym okresie już niezależnymi formacjami Piłsudskiego. W tym samym okresie również SDKPił borykała się z wewnętrznymi rozłamami. Wraz z rodzącymi się w czasie I Wojny Światowej nadziejami na niepodległość narodową, PPS, zjednoczona potrzeba wspólnych wysiłków dla złamania potęgi mocarstw zaborczych odzyskała impet. Dla odmiany SDKPił i PPS-Lewica niefrasobliwie potępiły "imperialistyczną wojnę", przekonane, że nie przyniesie ona żadnej korzyści klasie pracującej⁶.

W 1918 roku możliwe stało się połączenie SDKPił z PPS-Lewicą. Lewicowi dowcipnie w Warszawie mówili, że jest to rodzaj mariage de raison między ubogim młodzieńcem z dobrej rodziny i bogatą panią o wątpliwej reputacji. Socjaldemokraci mogli bowiem zapewnić jednolitą linię polityczną, a Lewica szczyliła się dużą liczbą zwolenników. Kongres zjednoczeniowy odbył się w grudniu w Krakowie. Nowa partia przyjęła nazwę Komunistycznej Partii Robotniczej Polskiej (KPRP). Wrogo nastawiona wobec "burżuazyjnej Rzeczypospolitej" od samego jej powstania - partia zdecydowała się na bojkot wyborów parlamentarnych w styczniu 1919 roku, odrzucając tym samym możliwość legalnej działalności. Mimo niestrudzonej propagandy, KPRP nie była w stanie ukryć oczywistego faktu, że w Radach Robotniczych utworzonych w latach 1918-1919 w oparciu o model niemieckich Arbeitererrätów i rosyjskich Sowietów, jej wpływ był daleko mniejszy niż PPS, Bundu czy nawet pravicowego NZR (Narodowy Związek Robotniczy). Ilość zwolenników KPRP wśród klasy pracującej była minimalna i ograniczona do jednej lub dwóch dzielnic w Warszawie, Zamościa i "Czerwonej" Dąbrowy. W Zamościu i w Dąbrowie zbrojne demonstracje Gwardii Czerwonej własnego chowu zostały stłumione przez Polską Armię. Największą liczebność związku zawodowe KPRP - 77 tys. członków - osiągnęły w 1919 roku, w porównaniu z liczbą 93 tys. w przypadku PPS w tym samym okresie. W następnych latach doszło albo do integracji, albo do związania z partią małych, choć autentycznych organizacji komunistycznych. Była to działająca wśród Polaków "Komunistyczna Partia Górnego Śląska", "Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy", stanowiąca proradziecką reinkarnację "Komunistycznej Partii Wschodniej Galicji", oraz "Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi"⁷.

Historia partii komunistycznej w okresie międzywojennym nie prezentuje się najlepiej. Seria katastrofalnych strategicznych błędów wyznaczyła drogę do unicestwienia. Polskim komunistom tak samo nie udało się zdobyć szerszego wsparcia wśród ludności w kraju, jak nie udało się zdobyć zaufania radzieckich protektorów.

Lata 1918-1921 wypełnione były gorzkimi rozczarowaniami. Z tymczasowego schronienia w Mińsku przywódcy partii z dnia na dzień oczekiwali wiadomości o rewolucji w Warszawie. Sześć oddziałów Strzelców Polskich utworzono w ramach "Zachodniej Dywizji" Armii Czerwonej. Lecz nie doszło ani do spontanicznej rewolucji, ani do zwycięstwa Armii Czerwonej. Lenin wzgardził radami KPRP zarówno w dziedzinie polityki społecznej, jak i w dyplomacji. W ciągu kilku krótkich miesięcy, gdy Armia Czerwona zwyciężała w Polsce, realizację swych politycznych planów Lenin powierzył Nadzwyczajnej Komisji Dzierżyńskiego (słynna Czeka, policja polityczna), a Tymczasowy Komitet Rewolucyjny w Białymstoku kontrolował rękami swych własnych bolszewickich Polaków⁸. Jego desperackie rozka-

zy dla Dzierżyńskiego, aby roztrzebić stu Polaków za każdego komunistę straconego przez Wojsko Polskie i aby "niszczyć posiadaczy ziemskich i kułaków bezwzględnie, nieco szybciej i z większą energią"⁹, przekazać ziemię ubogim chłopom - zrażały zarówno KPRP, która w tym okresie domagała się natychmiastowej kolektywizacji, jak i szeroki ogół⁹. Traktat Ryski, w którym rząd bolszewicki formalnie uznał Rzeczpospolitą Polską, stał w sprzeczności nie tylko z polityką KPRP, ale także Kominternu. Kolejne wstrząsy przekonały w końcu uczestników Drugiego Zjazdu Partii (1923), że pierwotna analiza sytuacji zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej, była katastrofalnie błędna. Uznając swoje błędy postanowiono wziąć udział w wyborach do Sejmu w 1922, a w 1925 roku zmieniono nazwę na Komunistyczna Partia Polski (KPP).

W maju 1926 roku KPP otwarcie poparła zamach stanu Piłsudskiego. O tyle, o ile zamach miał uderzyć w powstającą prawicową koalicję, decyzja ta była w pełni logiczna. Lecz jedyną nagrodą w Warszawie było natychmiastowe przeciwdziałanie żandarmerii Piłsudskiego, która brutalnie rozproszyła komunistów demonstrujących swe wsparcie. Z kolei w Moskwie decyzja KPP została gwałtownie potępiona jako akt zdrady wobec obozu socjalistycznego. "Błąd majowy" do dziś pozostaje źródłem zakłopotania dla komunistycznych historyków¹⁰.

W latach trzydziestych trudne położenie KPP nagle stało się krytyczne. W Polsce członkowie partii byli na ogół traktowani jako zdrajcy sprawy narodowej. Dwóch deputowanych komunistycznych z 1922 roku od dawna utraciło miejsce w Sejmie. Bezkompromisowa wrogość PPS skutecznie uniemożliwiła jakąkolwiek praktyczną działalność polityczną komunistów wśród klasy pracującej. Nie udało się im także osiągnąć większych postępów w próbach utworzenia zjednoczonego Frontu Ludowego przeciw rządowi Sanacji. W ZSRR, gdzie przebywało wielu przywódców KPP, niepowodzenia te spotkały się z szyderstwami. Na ostatnim, Szóstym Zjeździe w 1932 roku partia została oczyszczona od szczególnie widocznej tendencji trockistowskiej i wpływów Izaaka Deutschera (1907-1967), niepoprawnego schizmatyka. Mimo to jednak jej przeszłość związana z Różą Luksemburg, jej głównie żydowskie kierownictwo i silne wsparcie udzielane interesom Kominternu, a nie interesom radzieckim, w sposób nieunikniony wzbudziło podejrzliwość Stalina. Ignorując oczywisty fakt, że komunizm typu radzieckiego budzi sprzeciw szerokich mas Polaków, Stalin wytlumaczył sobie rozpaczywe położenie KPP jej rzekomą infiltracją przez agentów polskiego kontrwywiadu. W czasach odbywającej się w Związku Radzieckim Wielkiej Czystki, seria politycznych procesów rzekomych "polskich szpiegów, prowokatorów i dywersantów" doprowadziła w 1938 roku do nieuniknionej likwidacji całej partii. W trakcie XVIII Zjazdu KPZR w 1939 roku radziecki mówca zrobił swoistą i pośrednią aluzję do fatalnej decyzji, która już została zrealizowana.

"Faszystowscy i trockistowscy szpiegdy podjęli próby utworzenia sztucznych "frakcji" i "grup" w niektórych partiach komunistycznych po to, aby rozbić ruch komunistyczny i rozniecić walkę frakcyjną (...) Największemu skażeniu przez wrogie elementy uległa Komunistyczna Partia Polski, w której agenci polskiego faszystowskiego zdołali zdobyć wpływy stanowiska. Kanale te próbowały skłonić partię do poparcia faszystowskiego zamachu stanu Piłsudskiego w maju 1926 roku. Gdy to nie wyszło, udawali skruczę za swój "błąd majowy", dokonali pokazowej samokrytyki i zwiędli Komintern podobnie, jak niegdyś Lovestone i policyjni "frakcjonści" węgierskiej i jugosłowiańskiej partii. Błąd robotników Kominternu polegał na tym, że dali się zwieść wrogowi klasowemu i nie wykryli w porę tych manewrów (...) Partie Komunistyczne przeprowadziły dochodzenie wśród swych robotniczych przywódców i usunęły tych, których uczciwość była wątpliwa. Nielegalne organizacje, które uległy szczególnie silnemu skażeniu rozwiązano i przystąpiono do tworzenia w ich miejsce nowych" ...¹¹.

KPP zniknęła więc z listy partii związanych z Kominternem. Radzieckie GPU wzywało najpierw przywódców, później szeregowych członków.

Wszyscy oni zniknęli wraz z partią. Adolf Warszawski (pseudonim Warski), Józef Unslicht, Maria Koszutska (pseudonim Kostrzewa), Maksymilian Horwitz (pseudonim Walecki), Juliusz Leszczyński (pseudonim Leński), Stanisław Babiński, Jerzy Heryng (pseudonim "Ryng"), Władysław Krajewski-Stein - weterani SDKPiL lub PPS-Lewicy i oddani zwolennicy komunizmu przez całe swe życie, zostali bez większych deliberacji zastrzeleni lub w inny sposób uśmierceni w gułagach. W sumie zabito około pięć tysięcy polskich komunistów, praktycznie wszystkich aktywnych członków KPP. Przetrawiali tylko ci, którzy mieli szczęście przebywać właśnie w polskich więzieniach lub zostali zwerbowani przez radziecką służbę bezpieczeństwa. Liczby te należy porównać z dwoma lub trzema tuzinami ofiar rządów Sanacji wśród komunistów i z kilkoma setkami polskich komunistów, którzy zginęli w czasie wojny z rąk nazistów. Z wygnania w Meksyku Trocki potraktował ten tragiczny epizod, podobnie jak następujący po nim układ między ZSRR a III Rzeszą, jako śmiertelne ciosy wymierzone w internacjonalistyczny komunizm. "Polska powstanie z martwych - napisal - lecz Komintern nigdy". Pod tym względem miał w pełni rację¹².

Los, jaki spotkał polskich komunistów między 1938 a 1942 rokiem, musi z pewnością wzbudzić współczucie nawet u ich najgorętszych wrogów. Da się go porównać z losem jakiejś hipotetycznej żydowskiej partii nazistowskiej, która, nie odnosząc sukcesów w werbowaniu Żydów do Hitlerjugend, zostałaby wskutek tego skazana na likwidację w krematoriach Oświęcimia. Odrzuceni od początku przez ojczysty kraj, pozostali przy życiu członkowie KPP musieli pogodzić się z faktem, że byli również niepożądani w wielkiej radzieckiej ojczyźnie socjalizmu. Komunistyczny poeta Władysław Broniewski (1897-1962) ściśle przedstawił ten dręczący paradoks w wierszu napisanym w radzieckiej celi Zamarstynowskiego Więzienia we Lwowie:¹³

Rozmowa z historią (1940)

Mistrzyni życia, Historio,
zacniewa ci się psich figłów
zza kraty spogląda Orion,
jak siedzimy razem na kiblu.
Opowiadasz mi stare kawały,
i uśmiechasz się, na w pół drwiąca,
i tak kiblujemy pomału -
ty od wieków, ja od miesiąca.

O Nieśmiertelna, skądże
ta skłonność do paradoksów,
i powiedz mi - czy to mądrze
całemu światu krew popsuć?
Bo skoro na całym świecie,
jak nie wojna, to stan wojenny -
Historio, powiedz mi przecie:
po diabła tu kiblujemy?

Rewolucyjny poeta
na zgnić w tym mamrze sowieckim?!

Historio, przecież to nietakt,
ktoś z nas po prostu jest dzieckiem!

Więc wstydz się, sędziwa damo,
i wypuść z Zamarstynowa...
(Na kryminal zaraz za bramą
zasłużymy sobie od nowa).

Tymczasem nadziei uśmierzenia bólu nie było. Tak długo, jak długo obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow, Stalina nie obchodzili polscy więźniowie, ani żadne polskie organizacje. Dopiero w samym końcu 1941 roku, po ataku Hitlera na Rosję, wskutek tego po zaianie stosunków Stalina do Polski, mógł w ogóle pojawić się problem przywrócenia polskiemu ruchowi komunistycznemu odrębnego miejsca w ogólnych planach światowego komunizmu.

Zadanie rekonstrukcji szczątków rozbitego ruchu przypadło dzielnemu stowarzyszeniu Polaków w Moskwie - tak zwanej Grupie Inicjatywnej, kiero-

wanej przez Marcelę Nowotkę (1893-1942), Pawła Findera (1904-1944) i Bolesława Mołojca. Biorąc pod uwagę pełną grozy przeszłość i potworności chwili obecnej, wypada uznać, że zadanie przekonania radzieckich towarzyszy o konieczności utworzenia niezależnej polskiej partii, a następnie tworzenie jej pod nosem Gestapo w okupowanej przez Niemców Warszawie, wymagało niemałego poświęcenia i stalowych nerwów. A jednak zostało spełnione. Piątego stycznia 1942 roku odbyło się pierwsze konspiracyjne zebranie rdzenia nowej partii. Przyjęto nazwę Polskiej Partii Robotniczej. W końcu 1943 roku, po tajemniczym zamordowaniu Nowotki i aresztowaniu Findera przez Gestapo, jako pierwszy sekretarz wypłynął Władysław Gomułka (1905-1984): "Gwardia Ludowa" przyłączyła się do przeprowadzonej przez Armię Krajową walki z okupacją hitlerowską¹⁴.

Osobowość Władysława Gomułki, znanego jako "towarzysz Wiesław", odbijała wiele zasadniczych cech odrodzonego polskiego komunizmu. Oficjalna biografia pomijała większość wydarzeń kształtujących jego charakter i karierę, lecz godne zaufania źródła nieoficjalnie twierdzą, że główny motyw działalności politycznej Gomułki stanowiło niezachwiane przywiązanie do ideałów komunistycznych oraz trwałe niechęć do radzieckich metod. Jako młody człowiek, w latach trzydziestych wysłany na naukę do szkoły partyjnej w ZSRR, bezpośrednio przyglądał się kolektywizacji Ukrainy i postanowił już wtedy, że w Polsce nigdy nie będą stosowane te same metody. Jako urzędnik Związku Pracowników Chemicznych w latach 1938-39 został szczęśliwie aresztowany za nielegalną działalność polityczną i w ten sposób przetrwał radziecką czystkę w KPP, która pochłonęła większość jego towarzyszy. Gdy wybuchła wojna i otwarto więzienia, znalazł się w radzieckiej strefie okupacyjnej we Lwowie, lecz, co ciekawe, uniknął spotkania z GPU, uciekając do rodzinnego Krosna w rządzonej przez Niemców Generalnej Guberni. Tam, w zupełnej izolacji od wpływów radzieckich, podjął działalność konspiracyjną. Przeniósłszy się do Warszawy w okresie wzrastającego terroru znalazł się we właściwym momencie na właściwym miejscu, aby objąć stanowisko I Sekretarza PPR w listopadzie 1943 roku. Jego nominacja zbiegła się z ogłoszeniem pełnego tekstu manifestu partii "O co walczymy?" uwydatniającego równoległe cele niepodległości narodowej i rewolucji społecznej. Mimo marksistowsko-leninowskiej terminologii, ta zmiana akcentów programowych przybliżyła ogólną strategię ruchu komunistycznego bardziej do dawnej PPS niż do KPP i dawała Partii rozsądne nadzieje na szersze poparcie. W większości innych kwestii Gomułka pozostał ortodoksyjnym, zdyscyplinowanym i filistyńskim komunistą. Nie miał wiele sympatii dla intelektualnego teoretyzowania czy dla poszukiwań artystycznych, ani najmniejszego zrozumienia dla liberalnych idei. Naturalna nieustępliwość jego charakteru wykuta w więzieniu i w podziemiu, miała okazać się przeskodą nie tylko w radzieckich planach manipulowania Polską dla własnych celów, lecz w późniejszym okresie także w niefortunnych nadziejach na "liberalizację". Gomułka przewodził grupie ludzi przekonanych, że twarda linia polskiego komunizmu stanowi dla Polski jedyną gwarancję wobec radzieckiego imperializmu. Przez następne 25 lat jego poglądy zdominowały podstawowe aspiracje ruchu, który zaczął panować nad własnym losem dopiero po 1956 roku¹⁵.

Wyniesienie PPR z mroków wojennych narodzin do dominującej pozycji w polskiej polityce w końcu 1948 roku obfitowało w lęki i zagrożenia. Partia zmuszona była, w stopniu nie mniejszym niż niedługo KPP, poruszać się niebezpiecznym kursem między wrogością szerokiej opinii w Polsce a podejrzliwością radzieckich opiekunów. Mikroskopijna ilość członków, która w czasach wyzwolenia z trudnością osiągnęła liczbę czterocyfrową, wykluczała wszelkie możliwości swobodnej konkurencji z cieszącymi się szerokim poparciem partiami demokratycznymi. Zależność od ZSRR była nieunikniona. Jednocześnie przywódcy PPR musieli pogodzić się z faktem, że Stalin po prostu nie ufa zagranicznym komunistom i że radzieckie agencje wolą działać przy pomocy ludzi i organizacji, którymi kierują bardziej bezpośrednio. Przez większą część lat 1943-44 brak było sprawnej łączności między

Warszawą a Moskwą. Polityczną kontrolę polskiej armii w Rosji Moskwa sprawowała za pośrednictwem Związku Patriotów Polskich Wandy Wasilewskiej. Czystki wśród lokalnej administracji w Polsce podczas wyzwania Kraju przeprowadzono pod bezpośrednim nadzorem NKWD. Większość kluczowych stanowisk w Rządzie Lubelskim i jego kolejnych wcieleniach przypadła bezpartyjnym pracownikom radzieckim, takim jak Edward Osóbka-Morawski i Michał Rola-Żymierski. Na pierwszym Zjeździe w grudniu 1945 roku sama partia musiała zaakceptować napływ licznych nominatów NKWD, którzy następnie dążyli do bezpośredniego objęcia głównych urzędów w państwie. Gomukę otoczyli towarzysze prosto z Rosji: Berman, Bierut, Minc, Radkiewicz, Zambrowski, Zawadzki, których zadanie polegało tak samo na dawaniu przykładu Gomułce, jak i postępowaniu za jego przykładem. Jak na istniejące warunki, postęp partii był znaczny. Podczas gdy eliminację demokratycznej opozycji wygodnie pozostawiono kierowanym przez Związek Radziecki organom bezpieczeństwa, organizacja wszystkich potencjalnych rywali i sprzymierzeńców skutecznie zniszczone stosując leninowską taktykę "rozbijania od góry i od dołu". W trakcie tego procesu liczba członków PPR gwałtownie wzrosła, osiągając w 1948 roku ponad milion. Sytuacja dojrzała do scementowania zwycięstwa. Piętnastego grudnia 1948 roku PPR podpisała porozumienie z kadłubową PPS, u oparciu o które obie partie miały stopić się w nową "Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą". Pozostałym sprzymierzeńcom komunistów w bloku rządzącym, SD i SL, pozwolono przetrwać na ściśle ograniczonych warunkach. P. papierze proces fabrykowania dominującej partii komunistycznej mógł uchodzić za niemal całkowity sukces. W teorii bowiem, internacjonalistyczną tradycję komunistów poślubiono z nacjonalistyczną tradycją socjalistów po to, aby narodziła się jednolita "Demokracja Ludowa". W rzeczywistości PZPR miała przed sobą długą drogę, zanim można by uznać ją za rzeczywiście polską i rzeczywiście zjednoczoną. Partia osiągnęła w Polsce niekwestionowaną pozycję, lecz jej formalna jedność była raczej sztuczna. Formalne zwycięstwo osiągnięto w roku, w którym radzieckie pionki przemocą pokonały rodzimych komunistów i usunęły I Sekretarza partii, Władysława Gomukę, z urzędu. PZPR rozpoczęła karierę w atmosferze bolesnego upokorzenia¹⁶.

Strukturę systemu partyjnego ukształtowanego w 1948 roku określa się oficjalnie jako hegemonię (partia przodująca). Termin ten prawidłowo oddaje pozycję partii w ramach polityki tak zwanego "Frontu Narodowego", umożliwiając istnienie kilku odrębnych partii i sprzymierzonych organizacji tak długo, jak długo uznają one dominującą rolę komunistów. Nazwa ta stanowi również aluzję do istniejących w obrębie PZPR kilku nieformalnych, lecz wyraźnie zróżnicowanych frakcji. W pierwszej dekadzie po wojnie obserwatorzy często zadawali się rozróżnianiem między tymi towarzyszami, o których sądzono, że działają na bezpośrednio rozkazy radzieckie, tak zwanymi POPami (Pełniący Obowiązek Polaka) a pozostałymi. Lecz rozróżnienie to, mimo że ważne, szybko okazało się niewystarczające. "Starzy komuniści", rozbitkowie z KPP, stanowili nieznaczna grupkę idealistycznych starców, żywy pomnik smutnej przeszłości partii. "Grupa warszawska", skupiona wokół Gomułki, opierała się na ludziach, którzy odtworzyli PPR w Polsce podczas okupacji hitlerowskiej. "Partyzanci" pod przywództwem Mieczysława Moczara, weterana organizacji militarnych partii, znani byli z nietolerancji i filistyństwa. "Patriotom", tj. weteranom PPR, przewodził w epoce powojennej generał Aleksander Zawadzki (1899-1964). "Ludzie znał Oki", którzy przyszli razem w ramach Departamentu Politycznego armii Berlinga, wyróżniali się rewolucyjno-bonapartystycznym usposobieniem. Na froncie ideologicznym partia dzieliła się na "Stalinowców" i ich przeciwników, którym odpowiadała raczej odmiana bardziej ustepliwego "narodowego komunizmu". "Stalinowcy" dzielili się na tych, którzy dążyli do przeobrażenia Polski w mdłą zrusyfikowaną imitację ZSRR i tych, którzy chcieli używać stalinowskich metod dla stworzenia zdecydowanie niepodległego, lecz bezkompromisowo autorytarnego polskiego reżimu. Każda z tych frakcji i grup miała po-

jawiać się na scenie podczas kolejnych kryzysów następujących trzydziestu lat.

Bezstronny obserwator dostrzeże, że wiele charakterystycznych cech rządów komunistycznych znajduje precedensy we wcześniejszych fazach polskiej historii. Lewicowa dyktatura wąskiej politycznej elity, która manipuluje pseudodemokratycznymi instytucjami dla własnych celów ma odległe reminiscencje w przedwojennej sanacji. Podobnie manifestacyjne gesty partii w kierunku radykalizmu społecznego i antyklerykalizmu. Autorytarne stanowisko partii, nie mniej niż jej świętoszkowata retoryka, przypomina postawy tradycyjnie przyjmowane przez hierarchę Kościoła. W głęboko katolickim kraju nie można przeoczyć podobieństw między postępowaniem partii i działalnością walczących zakonów katolickich, takich jak jezuiti. Z punktu widzenia historyka, "dyktatura proletariatu" może mchodzić za przjaw długiego ciągu różnych dyktatur, które w trakcie wszystkich powstań dziewiętnastego wieku dążyły do celów, wydawałoby się, demokratycznych przy użyciu zdecydowanie niedemokratycznych metod. Ekskluzywne i nieustępliwie stanowisko w kwestii narodowej, które należy do czynników różniących PPR i PZPR od przedwojennej KPP, oznacza przecież ostateczne zwycięstwo głównej idei Narodowej Demokracji Dmowskiego. Skłonność do tworzenia instytucji jedności narodowej, niezależnie od tego, czy taka jedność rzeczywiście istnieje, podzielała zarówno komunistyczni twórcy "Frontu Narodowego" i później "Frontu Jedności Narodowej", jak i przedwojenni projektanci BBWR czy OZON. Zasadnicza strategia partii, polegająca na wiązaniu obronnego sojuszu z jednym z silniejszych sąsiadów Polski z wewnętrzną autonomią kulturalną i ekonomiczną, w pełni zgodne jest z "realistyczną", czy "ugodową", tendencją pojawiającą się w polskiej polityce od początków osiemnastego stulecia. Pod tymi wszytkimi względami nowi towarzysze nie różnią się zbyt od dawnych patriotów. Nowa jest natomiast marksistowsko-leninowska ideologia - zwulgaryzowana rosyjska wersja dziewiętnastowiecznej filozofii naukowej, przeniesiona prosto z Moskwy.

X X X

Od czasu uznania marksizmu-leninizmu za oficjalną ideologię państwową w 1948 roku nie przyciągnął on zbyt wielu krajowych wyznawców. Polski marksizm jako taki miał właściwie tylko jednego uznanego pioniera, Stanisława Brzozowskiego (1872-1911), a w ciągu trzydziestu lat powojennego rozwoju wydał jedynie dwóch myślicieli dużego formatu. Jednym z nich jest Adam Schaff (ur. 1913), przed wojną członek KPP, który po zrobieniu doktoratu w Moskwie otrzymał pierwszą katedrę marksizmu-leninizmu na Uniwersytecie Warszawskim w 1946 roku. Jego prace wyróżniają się nie tyle głębią treści, co dużą różnaitością tematów, takich jak semantyka lub egzystencjonalizm, wobec których autor stosuje metody marksistowskie¹⁷. Młodszym kolegą Schaffa jest Leszek Kołakowski (ur. 1927). Przeszedł on kolejno przez etapy rekruta marksizmu, rewizjonisty i buntownika. Ciekawe, że i Schaff, i Kołakowski zostali wykluczeni z tej partii, której ideologię tak gorąco wyznawali w początkach swej kariery.

Kołakowski jest wydanym filozofem, który podjął próbę ożenienia marksizmu z ustalonymi tradycjami polskiego intelektualnego dziedzictwa. W tym zakresie silnie wpłynęło na niego zarówno rygorystyczne środowisko akademickie warszawskiego Wydziału Filozoficznego, na którym przeszedł drogę od studenta do profesora, jak i tradycyjny katolicyzm. Wśród powojennych ideologów wyróżniał się tym, że gotów był uznawać zasady swych przeciwników, opierał się raczej na racjonalnej argumentacji niż na pogroźkach i obmowie, oraz interesował się podstawowymi kwestiami etyki i religii. Niedługo znalazł się na czele samotnej batalii o nadanie polskiemu marksizmowi ludzkiego oblicza. Jego koncepcja "nie religijnego chrześcijaństwa" stwarzała możliwości budowy tak potrzebnego pomostu między urzędową ideologią a religijnymi wierzeniami mas¹⁸. Natomiast jego znany esej pt. "Kapitan i błazen" wymierzony był przeciw bombasty-

cznej retoryce i autorytarnym dogmatom partyjnej propagandy. "Kąpien jest psem łańcuchowym Absolutu - pisał - strażnikiem kultu uznanych i oczywistych prawd. Błazen może obracać się w dobrym towarzystwie, lecz nie należy do niego, jest bezczelny i rzuca wątpliwość na wszystko, co jest oczywiste". Jawne porównanie między dogmatyzmem katolickim i komunistycznym stało się źródłem radości w kręgach intelektualnych, a rola dworskiego błazna świetnie odpowiadała temperamentowi Koźłakowskiego. Lecz triumf nie trwał długo. W 1966 roku został wygnany z partii, a w 1968 z kraju. Kosztem Warszawy zyskał Oksford.

Wielkość i upadek Koźłakowskiego w ciągu dwóch dziesięcioleci od 1948 roku począwszy, składa się na krótki okres, gdy polski marksizm zdradzał objawy życia. Początkowo, w okresie niemowlęctwa władzy komunistów, pewien poziom konfrontacji z rodzimą tradycją filozoficzną nie był niczym dziwnym. Fakt, że dyskusja toczyła się na znacznie bardziej cywilizowanym poziomie niż gdzie indziej w Europie Wschodniej, świadczy wymownie o dojrzałości polskiej filozofii. Mimo że warunki polityczne w sposób oczywisty faworyzowały ambitne wybuchy marksistowskich gorączkowych jak Schaff, to jednak nie-marksistom pozwolono na wyrażanie swoich opinii i publiczne protesty. Znanie postaci, takie jak Tadeusz Kotarbiński, Kazimierz Ajdukiewicz i Stanisław Ossowski publikowali nieśmiało ataki na co brutalniejsze formy oficjalnej ideologii¹⁹. Po ustabilizowaniu się sytuacji politycznej można było zasadnie oczekiwać, że połączenie względnie trwałej władzy komunistycznej i zagorzałe katolickiej ludności zapewni idealne warunki do marksistowsko-chrześcijańskiego dialogu. W rzeczywistości jednak właśnie w Polsce próby idące w tym kierunku okazały się wyjątkowo nieudane. Doświadczenia najnowsze wskazywałyby raczej, że stworzenie autentycznie polskiego marksizmu stanowi zadanie równie nie do rozwiązania, co problem kwadratury koła. Strażnicy partyjnej prawdy nigdy nie czuli się wystarczająco pewni swych zasad - lub reakcji swych radzieckich zwierzchników - aby mogło dojść do głębszego dialogu. Wolą w coraz większym stopniu pokładać zaufanie w policjantach, a nie w filozofach²⁰.

x x x

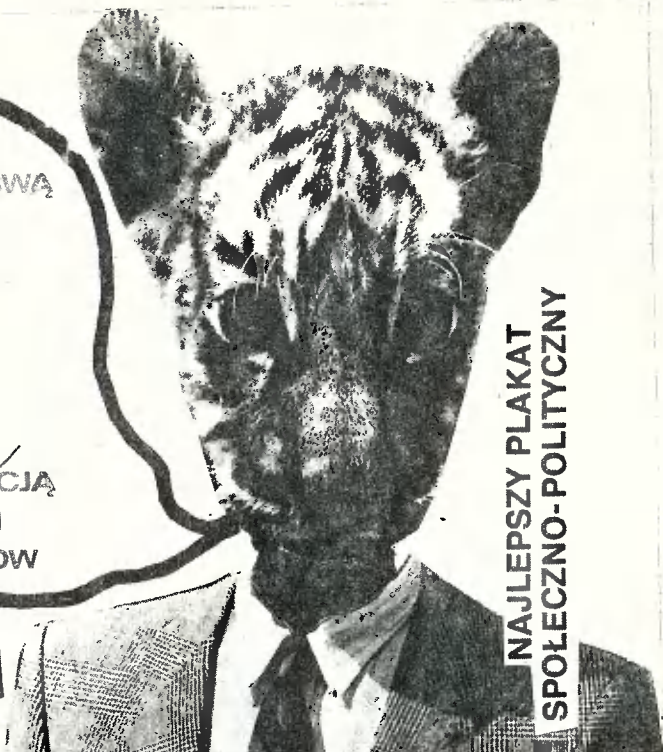
W szerszym kontekście międzynarodowym świata komunistycznego mówi się z posępną ironią, że partia, która traktuje siebie jako kulminację polskiej tradycji rewolucyjnej, przeciwstawiającej się autorytaryzmowi i konformizmowi, a więc także wpływowi rosyjskiemu, zmuszona jest do wspierania radzieckiej odmiany komunizmu. Powoduje to nieuniknioną rozbieżność między teoretycznymi wypowiedziami polskiej partii, która musi składać słowne deklaracje utrzymane w leninowskiej i stalinowskiej frazeologii na wzór radziecki - a politycznym działaniem w praktyce. Gomułka i inni co bardziej zdecydowani wiedzieli od samego początku, że "polska droga do socjalizmu" nie może najprawdopodobniej przebiegać według rosyjskich drogowskazów. Zwolennicy odrębności w pełni podpisaliby się pod stalinowskim powiedzonkiem, że komunizm w Polsce przypomina "siodło na krowie". W odróżnieniu jednak od Stalina woleliby raczej oporządzić siodło, aby pasowało do krowy, niż przyciosywać krowę do siodła. Na ich nieszczęście, drugorzędna pozycja w obrębie sojuszu radzieckiego zawsze uniemożliwiała aktywniejsze wyrażanie swoich preferencji ideologicznych. Gdyby polska partia była pozostawiona samej sobie, przyjęłaby prawdopodobnie stanowisko bliższe stanowisku komunistycznych partii Europy Zachodniej niż KPZR. Na obranie takiego kierunku mogłyby mieć wpływ różne obiektywne okoliczności. Przekształcenie społeczeństwa w zasadzie przemysłowego i uznającego tradycyjnie wartości katolickie bliższe jest programowi komunistów spoza sfery radzieckiej, włoskich czy hiszpańskich, niż programowi podyktowanemu przez leninowską rewolucję w przedindustrialnej i autokratycznej Rosji. Instynktowna wrogość polskiego społeczeństwa wobec organów władzy państwowej, niezależnie od jej aktualnego charakteru, wydawałaby się wskazywać, że podstawowe leninowskie koncepcje demokratycz-



Na co chcesz, spojrzij,
czego chcesz — dotknij,
wszędzie jest praca,
wszędzie robotnik.

Idź dziś w pochodzie
przy Pierwszym Maja,
dziś robotnicy
pieśni śpiewają.
Kto nie pracuje,
ten się nie liczy,
więc zaśpiewajmy
hymn robotniczy.

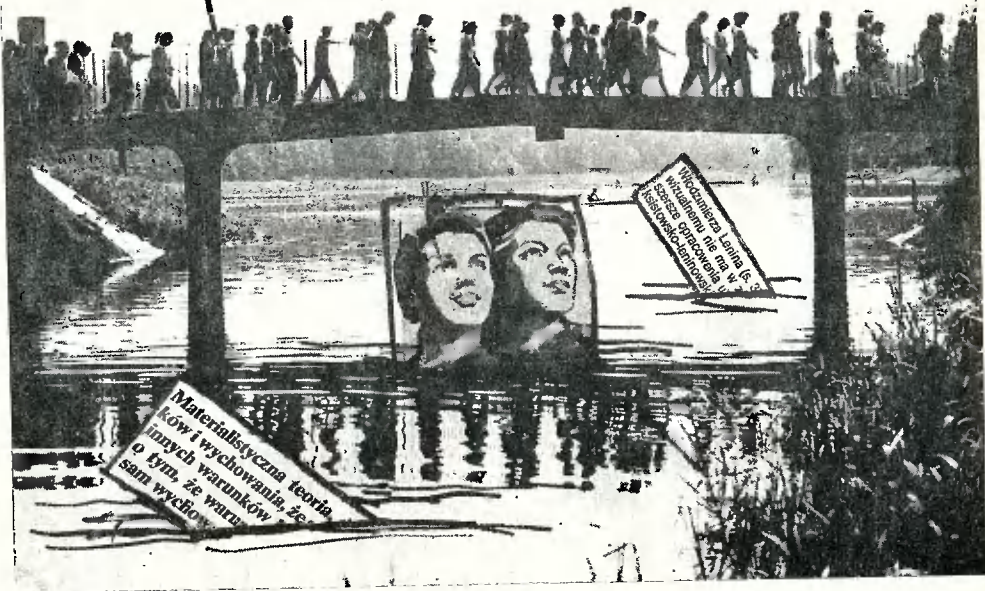




PARTIA
SPRAWUJĄC SWĄ
PRZEWODNIĄ
ROLE,
POWINNA
ZAPEWNIĆ
SKUTECZNĄ
KONTROLĘ
POLITYCZNĄ
NAD REALIZACJĄ
USTALONYCH
ZADAŃ I CEŁÓW

PISMO WYDZIAŁU
PRACY
IDEOWO-WYCHOWAWCZEJ

NAJLEPSZY PLAKAT
SPOLECZNO-POLITYCZNY



Odejść od praktyki łączenia
w rękach jednej osoby
kierowniczych funkcji w partii
i w państwie

Ustalić maksymalne stawki
wynagrodzeń na najwyższych
stanowiskach w partii
i organach państwowych

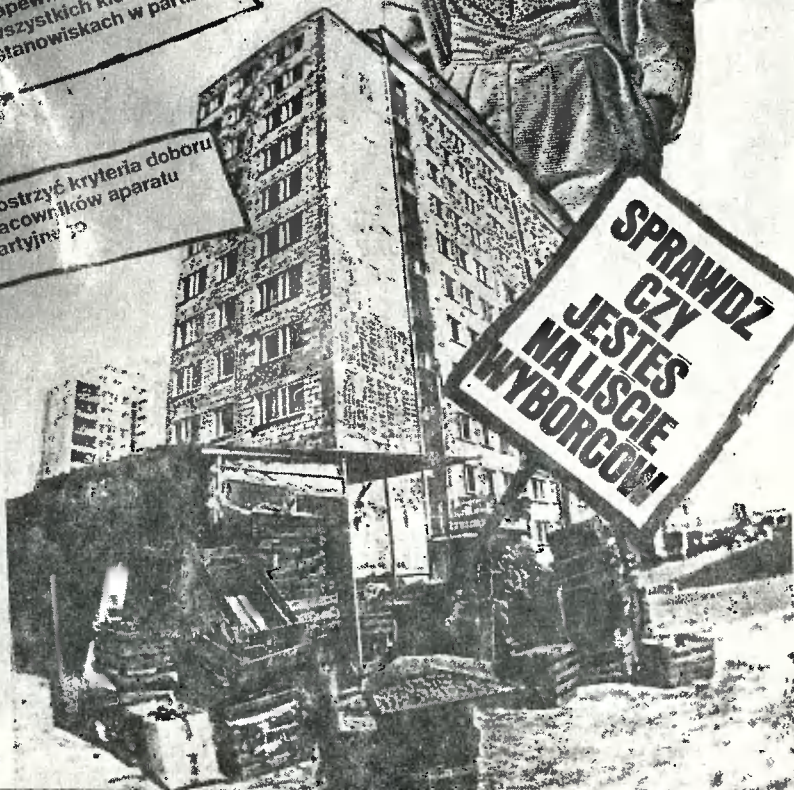
Ścisłe określić obowiązki
i uprawnienia pracowników
aparatu partyjnego

Zapewnić rotację kadr na
wszystkich kierowniczych
stanowiskach w partii

Zaostrzyć kryteria doboru
pracowników aparatu
partyjnego

A JA TYLKO
ŻARTOWAŁEM
!

SPRAWDŹ
CZY
JESTES
NA LISCIE
WYBORCÓW



РАБРАТА
ДЪКІЇ
КОДІКЪ

Sojusz i współpraca
ze Związkiem Radzieckim
i gwarancją bezpieczeństwa
i socjalistycznego
rozwoju Polski

Co pewien czas staramy się informować naszych Czytelników o problemach propagandy wizualnej w bratnich krajach

nego centralizmu (i.e. zcentralizowanej autokracji partii) lub dyktatury proletariatu (i.e. dyktatury partii wobec ogółu ludności) nie są zbyt dobrze przystosowane do warunków polskich. Polacy dysponują ponadto bogatym doświadczeniem w dziedzinie polityki zagranicznej, wyniesionym z okresu rozbiorów i znajomością zakulisowych mechanizmów wielkiej polityki imperiów, co musi wywoływać podejrzliwość wobec międzynarodowego systemu, prowadzącego do narastającego podziału świata na odrębne strefy wpływów rywalizujących supermocarstw. Polacy już wcześniej zapoznali się z tym zjawiskiem od dołu i trudno oczekiwać, aby naciski radzieckie zmusiły myślącego polskiego komunistę do podziwiania tego, co widzi. Z tych względów w pierwszym rzędzie właśnie po polskiej partii komunistycznej można by spodziewać się głębszego namysłu nad doświadczeniami Tity, Togliattiego, Dubceka, Berlingüera, Carillo i Mao. Można by się nawet spodziewać ograniczonych koncesji na rzecz demokracji parlamentarnej. Także poparcia dla tej czy innej formy europejskiej integracji i rozbrojenia, jako środków prowadzących do likwidacji skutków aktualnych rozbiorów Europy. Partia taka mogłaby rozwijać kontakty z Chinami i z trzecim światem, wnosząc w ten sposób wkład w przeciwdziałanie ostatecznym rozbiorom całego świata. Idee tego rodzaju zapewne rozważa się prywatnie w najgłębszych zakątkach sanktuariów partii, lecz nigdy jawnie. Polscy towarzysze do dziś mogą czerpać z doświadczeń antycarskiego podziemia rewolucyjnego, Róży Luksemburg, brygad międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii i własnych krótkich doświadczeń taktycznych Frontu Ludowego w okupacyjnym ruchu oporu. Lecz od sierpnia 1944 roku poczynając, tkwią zawsze na radzieckim haczyku. Wiedzą, że jakakolwiek otwarta dyskusja zróżnicowanych stanowisk marksistowskich zostanie potraktowana w Moskwie jako zdradziecka herezja i spowoduje brutalną karę supermocarstwa, od którego przecież w pełni zależą. Mają więc do wyboru między trzymaniem języka za zębami a byciem uciszonym siłą. Nakazy ideologicznej uczciwości muszą ustąpić instynktowi politycznego przetrwania, a argumenty teoretyczne - wymaganiom praktyki. Polski komunizm zawsze różnił się pod istotnymi względami od odmiany rosyjskiej. Lecz tak długo, jak długo nie może wypowiadać się własnymi słowami, będzie traktowany zarówno przez przeciętnego Polaka, jak i przez szerszą opinię światową, jako produkt biurokratycznego oportunistycznego i obcej dominacji. Nawet jeśli w szeregach PZPR są także patrioci i idealisci, to ani nie widać ich twarzy, ani nie słychać ich głosu. W ten sposób cierpienia i poniżenia wszystkich systemów władzy w Polsce w ciągu ponad dwustu i pięćdziesięciu lat - z jednym wyjątkiem dwudziestolecia stały się także udziałem partii rządzącej powojenną Polską.

Pytanie, na ile młode pokolenie polskich przywódców pójdzie drogą swych przeczonych poprzedników, pozostaje jak zwykle bez odpowiedzi. Polski ruch komunistyczny ma więcej powodów niż przeważająca część pozostałych elementów polskiego społeczeństwa, aby nienawidzić swej przeszłości i mieć za złe radziecką dominację nad teraźniejszością. Fakt, że młodsze pokolenia komunistów w Europie Zachodniej zaczynają potępiać swych poprzedników jako "ideologiczne trupy w radzieckiej łodowni", musi silnie oddziaływać także na polskich komunistów młodego pokolenia, stanowiąc trudny do przezwyciężenia impuls, by odrzucić ostrożność i ruszyć tym samym śladem. Wbrew utrwalonym opiniom, PZPR jest jednym z niewielu potencjalnych źródeł efektywnej politycznej herezji, a nawet, w warunkach temu sprzyjających, jakiegoś powstania. Dopiero wówczas, gdy jego przywódcy zaczną domagać się uznania odrębności interesów Polski od interesów ZSRR, można będzie stwierdzić, że polski ruch komunistyczny rzeczywiście się zakorzenił.

Przypisy

1. M.K.Dziewanowski, *The Communist Party of Poland: An Outline History*. Cambridge, Mass. 1959 (2 wyd. 1976); R.R.Starr, *The Polish Communist Party 1918-1948*. "Polish Review" 1956, t.1, ss.41-59.
2. P.Brock, *Polish Socialists in Early Victorian England*. "Polish Review" 1961, t.6, ss.33-53.
3. K.J.Cotam, *Bolesław Limanowski, a Polish Theoretician of Agrarian Socialism*. "Salvonic and East European Review" 1973, t.2, ss.58-75.
4. L.Élit, *The Origins of Polish Socialism: The History and Ideas of the First Polish Socialist Party, 1878-86*. London 1971; F.Perl, *Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim do powstania PPS*. Warszawa 1932.
5. J.P.Nett, *Rosa Luxemburg*. London 1966; zob. też: H.B.Davis, *The National Question: Selected Writings by Rosa Luxemburg*. New York 1976.
6. L.Wasilewski, *Zarys Dziejów PPS*. Warszawa 1925; H.Jabłoński, *Polityka PPS w czasie wojny 1914-1918*. Warszawa 1958; T.Daniszewski, *Zarys historii ruchu robotniczego. Cz.1 1864-1917*. Warszawa 1956; A.Kochański, *SDKPiL w latach 1907-10*. Warszawa 1971; W.Najdus, *Z historii kształtowania się poglądów SDKPiL w kwestii narodowej*. "Z pola walki" 1962, t.5, nr 3.
7. F.Świetlikowa, *Powstanie KPFR*. "Z pola walki" 1958, t.1, s.1051-75; też: R.Solchanyk, *The Foundation of the Communist Party in Eastern Galicia, 1919-21*. "Slavic Review" 1971, t.30, s.774-94.
8. Na temat Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski (TKRP), czyli Polrewkomu, zob.: N.Davies, *White Eagles, Red Star: The Polish-Soviet War, 1919-20*. London 1972, s.150-159 i przypisy.
9. Archiwum Trockiego (Harvard), cyt. wg. P.Wandycz, *Soviet-Polish Relations, 1917-1921*. Cambridge, Mass. 1969, s.230, także: W.I.Lenin, *Soczinienia*. 5 wyd. Moskwa 1958, t.II, s.266.
10. Zob. J.A.Reguła, *Historia KPP w świetle faktów i dokumentów*. 2 wyd. Warszawa 1934, s.169-288.
11. XVIII Zjazd KPZR, raport tow. D.Manuilskiego. "World News and Views" z 6.04.1939, s.382, cyt.wg. M.K.Dziewanowski, op.cit., s.151-2; zob. też: I.Deutscher, *The Tragedy of Polish Communist between Two World Wars w: Marxism in Our Time*. London 1972; zob. też: J.Kowalski, *KPP 1935-8: studium historyczne*. Warszawa 1975.
12. Zob. A.Korboński, *The Polish Communist Party, 1938-42*. "Slavic Review" 1966, t.26, s.430-44.
13. W.Broniewski, *Rozmowa z historią*, cyt.wg. idem, *Wiersze*. Paryż 1962, s.26. Zob. też: *Wybór poezji 1925-1944*. Jerozolima 1944, s.110.
14. Zob. *Sakice z dziejów polskiego ruchu robotniczego w latach okupacji hitlerowskiej, 1939-1945: zarys historii*. Warszawa 1964.
15. Nie napisano jeszcze pełnej historii kariery Gomułki, szczególnie w części dotyczącej jego ambiwalentnych stosunków z rosyjskimi komunistami, lecz istnieją dwa przejrzyste wprowadzenia: N.Bethell, *Gomułka: His Poland and His Communism*. London 1969; P.Raina, *Gomułka, eine politische Biographie*. Köln 1970.
16. Zob.N.Davies, *Poland w: M.McCauley (red.), Communist Rule in Europe, 1944-49*. London 1977, s.39-57. Wśród wielu uznawanych wersji tego okresu istnieją: W.Góra et al., *Zarys historii polskiego ruchu robotniczego, 1944-47*. Warszawa 1971; W.Kołomejczyk, B.Szydek, *Polska w latach 1944-8*. Warszawa 1971.

17. A.Schaff, *A Philosophy of Man*. London 1963.
18. L.Kołakowski, *Katolicyzm i humanizm w: Światopogląd i życie codzienne*. Warszawa 1957; *Jezus Chrystus - Prorok Reformator*. "Argumenty" 1965, nr 12.
19. S.Ossowski, *Teoretyczne zadania marksizmu*. "Myśl Współczesna" 1948, nr1.
20. H.Skolimowski, *Polski marksizm*. Londyn 1969.

Lidia Ciołkoszowa, ur. w roku 1902 w Tomaszowie Mazowieckim, studiowała polonistykę, historię i pedagogikę na UJ. W czasie wojny bolszewicko-polskiej pracowała jako ochotniczka w biurze wojskowym. Członkini Rady Naczelnej PPS, wykładała w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych. Autorka artykułów, broszur i audycji radiowych z historii polskiego ruchu robotniczego. Opublikowała książkę *"Publicystyka polska na emigracji 1940-1960"* (Londyn 1965). Opracowała wspomnienia mówione Aleksandra Watta pt. *"Ósmy wiek"* /rozmawiał Czesław Miłosz/. Wspólnie z mężem Adamem, przywódcą PPS w kraju, a następnie na emigracji, opublikowała *"Zarys dziejów socjalizmu polskiego"* /tom I - 1966 i tom II - 1972/, wyróżniony nagrodami: "Kultury" (Paryż 1967) Stowarzyszenia Kombatantów Polskich (Londyn 1972) i Fundacji im. Jurzykowskiego (New York 1973). Wywiadu, który publikujemy obok, udzieliła specjalnie dla "Reportera".

My, socjaliści

Rozmowa z Lidią Ciofkosową

- *Skąd się wzięli komuniści w Polsce?*
- Z połączenia w połowie grudnia 1918 roku SDKPiL oraz PPS-Lewicy w KPRP.
- *Czym różniły się te partie, jaka była ich przeszłość?*
- Program założycielski PPS z roku 1892 postawił Polską Rzeczpospolitą demokratyczną na czele swych dążeń. Jednocześnie nieomalże od samego zarania działalności PPS na terenie zaboru rosyjskiego istniała SDKPiL jako jej największy przeciwnik, którego dążeniem była autonomia Królestwa Polskiego i Litwy w ramach jednej i niepodzielnej demokratycznej republiki rosyjskiej. PPS-Lewica powstała dopiero w wyniku klęski rewolucji 1905 roku. W PPS wyłonił się wówczas kierunek, który uznał, że walka o niepodległość Polski jest niemożliwa i trzeba ograniczyć dążenia do autonomii wewnątrz demokratycznej republiki rosyjskiej. Drugi kierunek w PPS uznał, że należy utrzymać walkę o niepodległość Polski jako dążenie PPS, z tym, że nie wystarczą już małe oddziały Organizacji Bojowej i że przygotowaniami wojskowo-technicznymi trzeba objąć jak największą liczbę robotników, a także chłopów i inteligencję. Na zjeździe PPS w Wiedniu doażło na tym tle do rozłamu na dwie grupy. Powstały PPS-Lewica, która następnie porzuciła hasło niepodległości w ogóle, nawet jako daleki cel, oraz PPS-Frakcja Rewolucyjna, która utrzymała dążenie do niepodległości jako cel partii i w swym pierwszym programie dodała hasło zjednoczenia wszystkich ziem polskich.
- *Jak kształtowały się podziały polityczne wobec I wojny światowej bezpośrednio po jej zakończeniu?*
- PPS-Frakcja Rewolucyjna organizowała wysiłek zbrojny poprzez Związek Walki Czynnej i Związek Strzelecki przy całkowitym poparciu PPSD zaboru austriackiego z Ignacym Daszyńskim na czele. Tymi wszystkimi przygotowaniami kierował Józef Piłsudski. PPS-Frakcja Rewolucyjna, która powróciła do starej nazwy PPS, poparła legiony, a potem Polską Organizację Wojskową (POW) i była jedną z podstawowych sił obozu niepodległościowego. PPS-Lewica, SDKPiL oraz Bund, partia żydowskich socjalistów, stały na stanowisku wojna wojnie, zwalczały werbunek do legionów i w walce o niepodległość nie brały udziału. Uważały, że trzeba zachować siły na rewolucję w całej Europie.
- *Jakie były konsekwencje tych rozbieżności?*
- Te różnice stanowisk, które wynikały z programowych przeciwieństw między PPS a innymi partiami, musiały odbić się w latach późniejszych na stosunku robotników do komunistów polskich. Najbardziej wymownym przejawem różnic programowych był manifest pierwszego Tymczasowego Rządu Polskiego powstałego 7 listopada 1918 roku w Lublinie pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego. Manifest ten wprowadzał Polskę na dro-

gę pełnej demokracji parlamentarnej zapowiadając rozpisanie wyborów do polskiego Sejmu na podstawie pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Manifest ustalał też republikański charakter państwa polskiego oraz wprowadzał równouprawienie kobiet. Z reform społecznych wprowadzał od razu osmiodziesięć dni pracy i zapowiadał szereg wielkich reform w przyszłym Sejmie. Wprowadzając demokrację parlamentarną odrzucał tym samym sowieckie wzory dyktatury proletariatu. Po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy i objęciu przez niego urzędu Tymczasowego Naczelnika Państwa rząd Daszyńskiego przeniósł się do Warszawy i rozwiązał się. Na wniosek Daszyńskiego Piłsudski mianował rząd pod kierownictwem Jędrzeja Moraczewskiego. Rząd ten miał ten sam charakter co rząd Daszyńskiego i jego największą zasługą było przygotowanie i rozpisanie wyborów do Sejmu Ustawodawczego. SDKPiL i PPS-Lewica ustosunkowały się zarówno do rządów Daszyńskiego, jak i Moraczewskiego wrogo, proklamując naśladowanie wzorów sowieckich. Połączone w KPRP zbojkotowały wybory do Sejmu Ustawodawczego. Dowodem tego, że robotnicy polscy w ogromnej większości popierali niepodległościowy program PPS, a nie politykę komunistyczną, było ich stanowisko w czasie wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920. PPS delegowała swego przedstawiciela do Rady Obrony Państwa, Ignacgo Daszyńskiego jako wice-premiera do Rządu Obrony Narodowej Witosza. Wraz z klasowymi związkami zawodowymi zorganizowała Robotniczy Komitet Obrony Niepodległości i przystąpiła do formowania Robotniczego Pułku Obrony Warszawy. PPS wysłała na Zachód swoich delegatów dla przekonania socjalistów, że wojna jest zagrożeniem niepodległości Polski. Robotnicy i chłopci gotowi byli bronić niepodległości, mimo że bolszewicy szli na Polskę z hasłami "ziemia dla chłopów", "fabryki dla robotników". Rachuby bolszewików, iż na tyłach wojsk polskich wybuchnie rewolucja robotnicza, która stanie po stronie armii sowieckiej, nie spełniły się. Przywieziony z Moskwy Tymczasowy Komitet Rewolucyjny z Marchlewskim nie znalazł poparcia wśród robotników polskich. Niepodległościowa postawa mas robotniczych i chłopskich była dodatkowym źródłem siły dla wojsk polskich. Było to klęską ideową partii komunistycznej.

- W dwudziestoleciu międzywojennym stosunki socjalistów i komunistów były wrogie czy raczej przyjazne? Ciekawi nas też, jakie było stanowisko komunistów w wyborach do kolejnych sejmów?

- Partia komunistyczna działała w Polsce jako partia nielegalna. Zmieniła swój stosunek do wyborów biorąc w nich udział pod innymi firmami. PPS uważała, że partia komunistyczna powinna być zalegalizowana w republice demokratycznej, pluralistycznej, jakby się dziś powiedziało. Wtedy by się dopiero okazało, że ich wpływy wśród klasy robotniczej są naprawdę małe. PPS w dalszym ciągu prowadziła z komunistami walkę polityczną w obronie demokracji parlamentarnej przed tzw. dyktaturą proletariatu. Komuniści oskrzłali PPS o kontrrewolucję, wspomaganie reakcji i burżuazyjnego kapitalizmu. Głosili wtedy zgodnie z polityką Kominternu hasło jednolitego frontu "od dołu", które w gruncie rzeczy miało na celu wewnętrzne rozbitcie PPS. Wyrażnym echem tego stanowiska partii komunistycznej była ich polityka w okresie strajku krakowskiego w roku 1923, gdy Witos jako premier wprowadził militaryzację strajkujących kolejarzy. Dla PPS było to uderzenie w prawo do wolności strajku i władze centralne PPS oraz klasowych związków zawodowych ogłosiły na znak protestu strajk generalny. Przeciw strajkującym rząd Witosza wyprowadził wojsko i policję. Zginęło w tych walkach w Krakowie, Tarnowie i Borystawiu 26 robotników, w Krakowie także 14 żołnierzy. W Sejmie wybitny poseł PPS Zygmunt Marek wygłosił bardzo ostre przemówienie piętnujące używanie wojska do tłumienia strajków. Rząd Witosza został zmuszony do cofnięcia militaryzacji. PPS broniła, tak przedtem jak i potem, wolności strajku. Zdaniem komunistów był to dogodny moment do dokonania rewolucji i gdyby nie zdrada PPS, to

by ta rewolucja wybuchła. W miarę wzrastania i umacniania się wpływów faszystowskich oraz po dojściu Hitlera do władzy zgodnie ze zmianą polityki Kominternu komuniści od ostrej walki z PPS i dawną koncepcji jednolitego frontu "od dołu" przeszli do propozycji jednolitego frontu jako płaszczyzny budowania sojuszu między komunistami a socjalistami. Kierownictwo PPS przez cały czas odnosiło się do propozycji jednolitego frontu z dużą rezerwą.

- *Różnice stanowisk między PPS-em a komunistami zaznaczyły się najbardziej dramatycznie na tle strajków, które komuniści chcieli wyzyskać do swoich celów. Pani osobiste doświadczenia w tym względzie potwierdzają to, nieprawdaż?*

- Historycy w Polsce przedstawiają cały wielki ruch strajkowy w roku 1936 jako akcje: jednolito-frontową. Jest to zupełnie niezgodne z prawdą historyczną. Oboje z mężem braliśmy w tych akcjach na terenie Małopolski czynny udział i PPS-owski charakter tych strajków był niewątpliwym. Na przykład brutalne zlikwidowanie przez policję strajku w Sempericie w końcu 1936 wywołało uchwałę Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS o jednolitym strajku powszechnym, który pociągnął za sobą ofiary w zabitych i rannych. Zarówno uroczystości pogrzebowe ofiar prowadzone były przez władze PPS, jak też komitet pomocy rodzinom ofiar był komitetem PPS-owskim. Stałam na czele tego komitetu opieki i z jednolitym frontem nie miał on nic wspólnego. Wręcz przeciwnie, mogę się tu powołać na własne doświadczenia. Komitet Pomocy rozesał listy składkowe po wszystkich fabrykach. Pieniądze napływały ze wszystkich stron. Do biblioteki Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (TUR-a), w której pracowałam, zgłosiła się delegacja MOPR-u komunistycznej, międzynarodowej organizacji pomocy więźniom rewolucyjnym z propozycją wpłaty na nasz komitet 6 tysięcy złotych, co było bardzo dużą sumą. Powiedziałam, że zwróć się z tym do okręgowego komitetu PPS, ale z wnioskiem by tych pieniędzy nie przyjmować i myślę, że taka będzie uchwała, albowiem są to pieniądze sowieckie. Wówczas oni odparli, że przecież mogliby ofiarowaną sumę podzielić i wpisać na listy po różnych fabrykach jako datki indywidualne. Na co ja powiedziałam im: "Naturalnie moglibyście tak zrobić, tyle tylko że tego nie zrobicie, bo wy chcecie, żebyśmy wzięli te pieniądze od MOPR-u." OKR PPS mój wniosek zatwierdziła.

Z przeżyć osobistych chciałabym przypomnieć jeszcze wrogi stosunek komunistów do mego męża, który był zdecydowanym przeciwnikiem współpracy z nimi. I tak po uprawomocnieniu się wyroku w procesie brzezińskim, w więzieniu komuniści przez "judasze" obrzucali go wyzwiskami: socjal-zdrajca i socjal-faszysta. Również pamiętam, jak na zjeździe młodzieży TUR-owej z Małopolski, w Rzeszowie przyszła grupa młodzieży komunistycznej i podczas przemówienia mego męża zaczęła krzyczeć: "Niech żyje Stalin!". Po ostrej antystalinowskiej odpowiedzi mego męża, jeden z tej grupy zaszedł od tyłu do mównicy i uderzył męża zakopiańską ciupagą w głowę. Mąż mój odczuwał w tym miejscu ból do końca życia.

- *Komuniści występowali przeciwko PPS-owi nie tylko w środowisku robotniczym, ale i intelektualnym. W roku 1936 komuniści i grupa jednolito-frontowa-literacka zwołała do Lwowa Kongres Kultury z udziałem komunistów i pisarzy takich jak Marian Czuchmowski, Wanda Wasilewska, Leon Kruczkowski, grupa skupiona wokół komunistycznego pisma "Sygnali" we Lwowie itd. Kongres Kultury przekształcił się w polityczną pro-komunistyczną i pro-sowiecką demonstrację. Jaka była odpowiedź PPS na lwowski Kongres Kultury?*

- Zarząd Główny Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego TUR-a zwołał do Krakowa, z inicjatywy mego męża Adama Ciołkosza, Dni Kultury Robotniczej. Wzięty w nich udział robotnicze zespoły teatralne i recytacyjne, robotnicze chóry i orkiestry. Była to wielka manifestacja

antykomunistyczna przeciwko Kongresowi Kultury we Lwowie. Wykazała, że klasa robotnicza stoi przy PPS. Na Dniach Kultury Robotniczej w Krakowie wyraźnie podkreślana była łączność kultury robotniczej z dawną tradycją wolnościową, humanistyczną, demokratyczną kultury polskiej, jako starszą i silniejszą od idei komunistycznych.

- Czy grupie jednolito-frontowej udało się wpłynąć na zmianę polityki PPS wobec Komunistów?

- Komuniści prowadzili ostrą walkę z PPS-em, dopóki nie przeszli na teorię jednolitego frontu, a później frontu ludowego, jako budowania sojuszu między komunistami a socjalistami, zgodnie z polityką Kominternu. Było to w okresie, gdy wzrastało zagrożenie faszyzmem. PPS przez cały czas odnosiła się do jednolitego frontu z dużą rezerwą. W roku 1935 na skutek zagrożenia Polski przez Hitlera kierownictwo PPS, klasowych związków zawodowych i KPP uzgodniło tzw. pakt o nieagresji, a więc zaprzestanie wzajemnych napaści, prowadzenie walki o amnestię dla więźniów politycznych i zniesienie obozu w Bereźle Kartuskiej. Komuniści nie zaprzestali jednak infiltracji w organizacjach PPS-owskich. Podjęli na przykład próbe połączenia OMTUR z młodzieżą komunistyczną i odłączenia jej od PPS. W grudniu 1935 CKW PPS rozwiązał OMTUR z dniem 15 marca 1936 i utworzył koła młodzieży PPS podporządkowane władzom PPS. Jest to tylko jeden z przykładów nieustannej walki ideowej, jaką zarówno kierownictwo, jak i większość PPS prowadziła przeciwko komunistycznym akcjom propagandowym, sprzeciwiając się wszelkim sojuszom z komunistami. Takich przykładów mogłabym przytoczyć dużo więcej. Była jednak w PPS grupa działaczy opowiadająca się za jednolitym frontem. Na jej czele stali N. Balicki, Z. Dubois i W. Wasilewska. Na ostatnim zjeździe PPS w Radomiu w 1937 ta grupa jednolito-frontowa wystąpiła znacznie osłabiona, a proponowana politykę frontu ludowego z komunistami odrzucono ogromną większością głosów.

- Rozwiązanie KPP przez Komintern w roku 1938 przerwało działalność komunistów, a wymordowanie ich przywódców w Moskwie wywołało w opinii robotniczej zrozumiatał potępienie. Również zawarcie sojuszu sowiecko-hitlerowskiego u progu napaści na Polskę wywołało w polskiej klasie robotniczej zdecydowany sprzeciw ideowy i polityczny. Jak w związku z tym kształtowało się stanowisko PPS wobec nadciągającej wojny?

- Od czasu dojścia Hitlera do władzy w Niemczech PPS uważała, że polityka zagraniczna faszyzmu jest zagrożeniem dla niepodległości Polski, a niebezpieczeństwo nowej wojny ogromnie wzrosło. Ten wątek powtarzał się odtąd we wszystkich wystąpieniach PPS w kraju i na gruncie międzynarodówki socjalistycznej. W lipcu 1939 Rada Naczelna PPS podjęła uchwałę o gotowości poniesienia największych nawet ofiar, gdy III Rzesza zagrozi bezpośrednio całości i niepodległości Polski. W kampanii wrześniowej warszawskie ochotnicze brygady robotnicze i gdyńskie bataliony Czerwonych Kosynierów przeszły do historii jako wyraz związku łączącego klasę robotniczą i wojsko walczące w obronie kraju. Tymczasem wojska komunistycznej Rosji weszły do Polski we wrześniu 1939 roku jako sojusznik Hitlera!

- Czy polityka PPS w czasie okupacji niemieckiej uległa zmianie?

- PPS, która w czasie okupacji występowała jako Wolność-Równość-Niepodległość (WRN), uznawała za konieczne tworzenie jedności narodowej w walce z Niemcami, popierała od początku AK i własne swoje oddziały zbrojne włączyła do AK, pomogła w osiągnięciu czwórporozumienia w ruchu podziemnym. Działacze PPS zajęli czołowe pozycje we władzach państwa podziemnego, a Kazimierz Pużak z jej ramienia został przewodzącym podziemnego parlamentu Rady Jedności Narodowej. Występująca pod nazwą PPR dawna partia komunistyczna ustosunkowała się wrogo do WRN i do AK. Niektórzy ludzie z dawnej grupy jednolito-frontowej w

PPS poparłi współpracę z komunistami tworząc organizację pod szyldem PPS, o małych zresztą wpływach.

- *Na emigracji PPS prowadziła nadal politykę niepodległościową?*

- Na emigracji PPS poparła rząd generała Sikorskiego, a po jego śmierci jej działacze wchodzili w skład dwu rządów R.P. Po najeździe Hitlera na Rosję Sowiecką i jej wejściu do obozu aliantów w PPS na emigracji zarysowała się opozycja na tle paktu Sikorski-Majski. Uważała ona pakt polsko-sowiecki za konieczny. Uznawała natomiast jego brzmienie za politycznie szkodliwe, bo stawiające pod znakiem zapytania sprawę wschodnich ziem Polski. Większość komitetu zagranicznego PPS poparło całkowicie zarówno pakt Sikorski-Majski, jak i jego interpretację głoszoną przez generała Sikorskiego (powrót do status quo po traktacie ryskim). Władze podziemne podzielały i zatwierdziły stanowisko wobec paktu wyrażone przez mniejszość opozycyjną, na czele której stał mój mąż Adam Ciołkosz.

- *Po cofnięciu przez aliantów uznania rządowi Arciszewskiego polityka większości w PPS w kraju i na emigracji wobec komunistów nie uległa, jeśli się nie mylę, zmianie?*

- W miarę narastania żądań sowieckich i zmian polityki Anglii i Stanów Zjednoczonych, co doprowadziło do konferencji na Krymie, w PPS nastąpił rozłam. Mniejszość poparła politykę Mikołajczyka wykonania postanowień jaitańskich i powrócił wraz z nim do kraju. Większość natomiast poparła rząd Arciszewskiego i odrzuciła Jaitę. W kraju działała w pierwszych latach po wojnie tak zwana "fałszywa" lub "koncesjonowana" PPS. Jej kierownictwo poszło na współpracę z PPR i mimo oporu dużej części działaczy doprowadziło do likwidacji PPS przez połączenie jej z komunistami i utworzenie PZPR. Stosunek rządzących komunistów do WRN, jak i do całego podziemia politycznego z czasów okupacji niemieckiej, był jak najbardziej wrogi. Pociągnięto to za sobą liczne ofiary w zabitych, więzionych i przesładowanych WRN-owcach. Symbolem stosunku komunistów do WRN, czyli prawdziwej PPS, był tzw. proces WRN i zasądzenie czołowych działaczy na długie lata więzienia oraz śmierć Pużaka w więzieniu w Rawiczu.

PPS przetrwała tylko na emigracji i na swym pierwszym zjeździe organizacyjnym w roku 1948 uważała za naczelną swoje zadanie nieustępliwą walkę z imperializmem sowieckim i jego agenturami w imię odzyskania wolności narodu polskiego i włączenia go wraz z innymi ujarzmionymi narodami z sowieckiej strefy wpływów z powrotem do rodziny wolnych narodów świata. Zgodnie z tym założeniem PPS uważa walkę z systemem narzuconym Polsce za swoje naczelną zadanie i odmawia komunistom prawa występowania w charakterze wyrazicieli dążeń socjalistycznych.

- *Dlaczego komunistom w Polsce niepodległej nie udało się zdobyć większych wpływów wśród robotników?*

- U podłoża podziałów między PPS a komunistami tkwił stosunek do niepodległości państwa. Robotnicy polscy uważali partię komunistyczną za agenturę państwa sowieckiego. Popularność haseł, które PPS wysuwała przed wojną, a więc niepodległość, demokracja parlamentarna i socjalizm, oczywiście socjalizm wolnościowy i demokratyczny, uniemożliwiła komunistom przed wojną zdobycie robotników polskich. Ta tradycja PPS-owska, choć nie była jedynym powodem, odegrała poważną rolę w tym, że również w czasie 40-lecia rządów komunistycznych w Polsce nie udało się komunistom zdobyć robotników polskich. Symbolem postawy robotników polskich jest "Solidarność", z której ideowymi założeniami PPS solidaryzuje się gwałtownie, tak jak popierała i popiera rozpoczęty przez KOR ruch oporu przeciwko sowietyzacji kraju.

not. A.S.

krajobraz podziemia

CZAS WARTOSCI NIE ZNISZCZY

rozmowa z przedstawicielami Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu "Solidarności"

- W pierwszym tomie "Wieloletniej Encyklopedii Powszechnej", która ma się wkrótce ukazać w druku, znajduje się m.in. hasło "Międzyzakładowy Komitet Robotniczy "Solidarności". Przeszliście zatem już do historii. Naszą rozmowę zaczniemy więc od pytania: jak powstał MRK"S"?

- W wyniku zderzenia dwóch inicjatyw: pierwszej oddolnej, z zakładów pracy, gdzie wówczas, na samym początku stanu wojennego, panowała gorąca atmosfera, ogromny pęd do organizowania się, do przeciwdziałania w sposób zorganizowany temu, co się stało i drugiej, która wyszła od ludzi "Solidarności". Wokół pisma powstawały środowiska: kolporterzy, informatorzy z zakładów. Pisma były materialnym dowodem, że opór się zaczyna. Tak myśleliśmy wtedy: że naprawdę dopiero się zaczyna.

Już w styczniu 1982 ukazał się "Głos Wolnego Hutnika". Kilka osób zaczęło robić tę gazetę, znaleźli dojsście do ludzi piszących. Wokół pisma tworzyła się siatka organizacyjna. Pismo wyszło poza hutę, inne zakłady zaczęły domagać się kolportażu, siatka kolportażowo-informacyjna poszerzała się, pismo zmieniło tytuł na "Głos Wolnego Robotnika" i pod takim tytułem ukazywało się do końca kwietnia. Wokół "Głosu Wolnego Robotnika" powstała spora struktura. W kwietniu doszło do spotkania z grupą pisma "CDN", które powstało później, chyba właśnie na początku kwietnia - z grupą mniejszą ale energicznie działającą, docierającą ze swym pismem do środowisk opiniotwórczych. W końcu kwietnia zawiązał się Międzyzakładowy Komitet Robotniczy "Solidarność". Było to właściwie nadanie nazwy już istniejącej strukturze. Struktura określiła swą tożsamość, jako usiłująca dążyć do reaktywowania "Solidarności", działająca zgodnie z jej ideami, ale na własną rękę. Była zatem kontynuacją idei i celów "Solidarności", ale określiła się jednocześnie jako struktura działająca samodzielnie, nie podlegająca centrum. Zresztą MRK"S" powstał wcześniej niż RKW.

- Czy różniliście się od RKW w sposób istotny, jeśli tak, to czym?

- Dzieliła nas różnica poglądów. Dla MRK"S" celem było reaktywowanie "Solidarności", zatem strajki, demonstracje i inne środki ofensywne prowadzące do tego były dopuszczalne, a RKW, grupa działaczy i doradców skupionych wokół Bujaka była zdania, że cel, jakim jest porozumienie, określa środki, które powinny być łagodne. Jeżeli dąży się do pojednania, to należy używać środków perswazyjnych, odwoływać się do dobrej woli drugiej strony. My natomiast uważaliśmy, że "Solidarność" nie po to została tak brutalnie rozbita, by się z nią porozumiewać. Druga strona w poczuciu swej siły napewno nie podejmie z nami rozmów. Uważaliśmy, że uratować "Solidarność" można tylko walką. Tworząc MRK"S" jako strukturę odrębną i niezależną od podziemnej "Solidarności", kierowaliśmy się lojalnością wobec Bujaka. Nie chcieliśmy, aby nasze działania ofensywne, które mogły być oceniane jako agresywne, szły na jego konto, utrudniały mu ewentualnie rozmowy z władzami.

Spotykaliśmy się oczywiście z Bujakiem, doszło do porozumienia. Ani kierownictwo "Solidarności" nie chciało firmować MRK"S"-u, ani MRK"S" nie chciał mu się podporządkować, bo ceną byłoby lojalne wobec RKW zrezygnowanie z podej-

owania działań ofensywnych. Ale konfliktu nie było.

MRK"S" skupiał się na działaniu. Usiłował objąć swymi wpływami dużą liczbę zakładów pracy i tak działać, żeby utrzymać dużą aktywność załóg, żeby ludzie mieli świadomość żywotności swojej i organizacji, świadomość uczestnictwa w walce o "Solidarność". Wychodziliśmy z założenia, że musimy podtrzymać opór, że jeśli opór nie zostanie zlikwidowany i będzie dla władzy odczuwalny, wymusiemy na władzy ustępstwa.

A RKW podejmowało próby dogadywania się. Chwytano się wątych nici, cienia nadziei - na przykład sugestii Kiszczaka wyrażonych komuś tam, że chciałby się spotkać z Bujakiem. Nawet dyskutowano wśród doradców, jak powinna wyglądać ta rozmowa, przygotowywano punkty, postulaty... Przedstawicielowi MRK"S", który był tego świadkiem, wydało się to absurdalne. My leżymy skopani, druga strona ma pełne poczucie triumfu i siły... Ta cała inicjatywa była dla nas czysto policyjna, dla nas było jasne, że chodzi tu po prostu o schwywanie Bujaka. Ciągłe pamiętaliśmy o wciąż jeszcze świeżym historycznie procesie szesnastu w Moskwie, których również zaproszono na rozmowy. Dla nas chwywanie się tych cienkich nici nie było nawet politykowaniem, lecz uprawianiem jakiejś metafizycznej filozofii wiary w dobrą wolę władzy.

MRK"S" skupiał się na działaniu. Chcieliśmy pobudzić wyobraźnię społeczną, pokazać, że opór jest możliwy, że można działać ofensywnie, że świat to widzi, że władza odreagowuje na opór, a więc odczuwa go poważnie jako coś groźnego.

1 maja 82 był okazją do zmanifestowania istnienia "Solidarności" Przedłożyliśmy kierownictwu "Solidarności" idee kontrpochodu. Dostaliśmy informację, że kontrpochód nie ma sensu, że przedstawią inną propozycję. Czekaliśmy, wrzeszcie na dwa, trzy dni przed 1 maja nadeszła decyzja, że członkowie "Solidarności" powinni iść na pochód oficjalny ze swoimi zakładami i przed trybuną zmanifestować, wyjąć transparenty, przypiąć znaczki itd. To - sądziliśmy - doprowadziłoby do zlikwidowania całego ruchu oporu w Warszawie. Ta decyzja żądała od najaktywniejszych, najodważniejszych działaczy, żeby po prostu się ujawnili. Przecież w zakładach pracy ciągle internowano, trwały aresztowania. Gdyby zastosowano się do tej decyzji, a zrobiliby to nieliczni, nastąpiłaby identyfikacja działaczy podziemnej "Solidarności". W każdym zakładzie są przecież konfidentci, aktywiści partyjni, ormowcy. Po prostu spisaliby tych, którzy się ujawnili i listy przekazałoby sb. Nastąpiłyby internowania i masowe wyrzucanie z pracy. Poza tym decyzja domagała się, żeby każdy swą przynależność do "S" zademonstrował jako jednostka, domagała się heroizmu indywidualnego. A było to po kilku miesiącach masowych represji. Wydawało nam się, że to jest prowokacja, że na linii łączności konspiracyjnej jest jakaś wtyczka. Ale wtedy dotarła taśma przeznaczona dla Radia "S" i na taśmie był głos Bujaka oznajmujący tę decyzję. Radio "S" było imprezą odrębną, ale personalnie powiązaną z MRK"S". Wtedy nastąpił dramatyczny konflikt lojalności z jednej strony wobec Bujaka, trzeba go było puścić na antenę, był uznany szefem, cieszył się u ludzi ogromnym autorytetem i zasłużoną popularnością jako ten nieuchwytny, a z drugiej strony wobec działaczy, bo w gruncie rzeczy oznaczało to zażądać od nich samodenuncjacji. Zwyciężyła idea absurdu kompromisu - na antenę poszedł najpierw apel MRK"S"-u o wzięcie udziału w pochodzie (gdziekolwiek jest w masie takich jak on i na dokładkę anonimowy dla konfidentów), który rozpocznie się na Pl. Zamkowym, a potem apel Bujaka. Bez komentarza. Liczyliśmy, że wygra rozsądek i ludzie wybiorą naszą propozycję. Okazało się, że cuda istnieją. Te audycje wówczas były bardzo słuchane i wiążące. Poszedł apel MRK "S"-u i kiedy zaczął mówić Bujak - audycja się urwała. Ludzie mówili, że to wskutek akcji policji, niektórzy posądzali nas o żłą wolę, o sabotaż decyzji Bujaka, a prawda jest prozaiczna: taśma się zerwała. Po prostu taśmę z apelem Bujaka dostarczono za późno, nie było czasu na przegranie, były sklejki i właśnie sklejka puściła. W każdym razie te deliberacje spowodowały, że nie było już czasu na porządek zorganizowanie pochodu. Struktura, którą szykowaliśmy, nie została uruchomiona. Wezwaliśmy tylko ludzi w imieniu MRK"S". Pochód nie był w pełni zorganizowany, ludzie wzięli w nim udział spontanicznie, zorganiz-

zowaliśmy tylko czoło pochodu, kilka osób, które pochod poprowadziły. Młodowa została zablokowana przez ZOMO, więc zamiast na Plac Krasieńskich, pochod przeszedł przez Nowe Miasto na dół, nad Wisłę. Były przemówienia, hasła. W tamtej atmosferze terroru ten żywiłowy wybuch godności i radości - to było niesłychane. MRK"S" czuł się tego autorem. Bardzo szybko rosły jego szeregi. Musiała powstać organizacja.

- W wydanych przez "Nową" zapisie z procesu MRK"S" przytoczony akt oskarżenia stwierdza, że struktura była piątkowa.

- Tak, organizacja oparta była na schemacie piątkowym. Była kierownicza piątka, decydująca o sprawach organizacji. Cztery osoby reprezentowały największe zakłady pracy: Nowotkę, Hutę, Ursus i PZO. Piąta reprezentowała grupę większych zakładów z centrum Warszawy, którą to grupę zakładów nazywało się u nas Centrum. Ta piątka miała kontakt z pięcioma osobami, te znów z pięcioma i tak dalej. Do struktury zaliczaliśmy te zakłady, z których regularnie przychodziły składki. Jeżeli ktoś z zakładu przynosił je regularnie co miesiąc, to znaczy, że kogoś reprezentował, że reprezentował załogę. Takich zakładów było 63. A licząc także te, do których docierał nasz kolportaż, czy też w których mieliśmy wejście na jakiś wydział, do jakiejś grupy, to 120. Prokurator na procesie wyliczył nam 4 tys. członków. Te składki były dla nas o tyle ważne, że nie płacono ich za coś, np. za bibułę, ale dobrowolnie na organizację. Wracali nie z kolportażu, przychodziły odrębnym kanałem. Jeżeli ktoś płacił dobrowolnie, to znaczy, że czuł się członkiem, że się utożsamiał z MRK"S"-em.

Drugim sprawdzianem realnego istnienia MRK"S"-u był kolportaż, zakłady chłoneły, wysyłały wszystko, co wydrukowaliśmy. Apogeeum "CDN-Głos Wolnego Robotnika" to było 25 tys. nakładu. To wszystko szło i jeszcze było mało. Robiliśmy cztery wydania każdego numeru, ale nie takie same. Podstawowe wydanie na offsecie - 4 strony A-4. Dwa wydania na powielaczu białkowym i Ursus robił jeszcze jedno wydanie dla siebie na ramkach. Na matrycach białkowych mieści się mniej tekstu, więc robiliśmy im wyciąg, około połowy tekstu.

Trzecim sprawdzianem były zadania, konkretne zadania, które dawało się do wykonania. Zadania te dostosowane były do możliwości. Oczywiście najczęściej zadań dostawali ci, którzy byli najwyżej, ci od góry. Ale i ci anonimowi członkowie z zakładów pracy robili chętnie to, czego od nich oczekiwano. A przecież organizacja nie była typu wojskowego, nie działała na rozkaz.

Wmurowanie płyty na Pl. Zwycięstwa ku czci i pamięci górników poległych w Wujku - ta akcja udała się doskonale. Przy pierwszej próbie informacja wyciekła i na plac stawiło się licznie sb, więc drugim razem ludzie nie wiedząc po co mają przyjść, otrzymali polecenie, żeby się zbierać w różnych punktach miasta i dopiero stamtąd doprowadzono ich na Plac. Tu robili tłum, osłaniali tych, którzy wmurowali płytę. Akcję obserwowało sb, ale zaskoczone i przestraszone przewagą tłumy nie zdobyło się na interwencję. A ludzie, którzy uczestniczyli, niby nic, niby tylko tworzyli tłum, ale przecież mieli poczucie, że uczestniczą w czymś ważnym. No i stawili się na wezwanie.

- Najgłośniej wasza akcja przeszła do piosenki jako "Opowieść prawdziwa o powstającym cudownym ocaleniu z rąk prokuratora Bardonowej Naroźniaka Jana". Ostatnia zwrotka piosenki Kelusa brzmi, jeśli dobrze pamiętam, tak: "Mieli ze szpitala wziąć go do więzienia, ale mu pomogli chłopaki z podziemia..."

- Naroźniak, ten sam, którego w początkach "Solidarności" aresztowano w siedzibie Mazowsza i w obronie którego stawał Ursus, w stanie wojennym zatrzymany przez patrol, uciekał i został postrzelony przez milicjanta. Wiadomo było, że leży w szpitalu na Banacha. Wszyscy mówili, że musi zostać wyjęty. Całe miasto na to czekało, z pięć grup przygotowywało się do tego, no ale odbicie, a właściwie odebranie przeprowadził MRK"S". Adam Borowski przyznał się do tego na procesie, a drugi, którego o to oskarżono, Bogumił, nie przyznał się, w każdym razie było ich dwóch. Zrealizowali zamówienie społeczne. Cała trudność polegała na tym, że Naroźniak był w szpitalu obstawiany przez sb. Po operacji miał

być powtórnie poddany zabiegowi chirurgicznemu, właściwie korekcyjnemu, odstrzelonego palca. Gdy przewieziono go na zabieg, to lekarz prowadzący operację, który był niewtajemniczony, odsuwał go stale na bok, bo sprawa z tym odstrzelonym palcem była drobna, a tu bez przerwy przywołano umierających. Ci nasi dwaj dwie godziny pocili się w kitalach lekarskich i maseczkach; kręcili się, udawali, że coś robią, wozili chorych i tak dalej i w każdej chwili ktoś z personelu mógł się połapać, bo przecież oni nie byli wtajemniczeni. Na szczęście u nas już tak jest, że gdy ktoś widzi, że inny za niego robotę odwała, to się do niej nie pali. Więc kiedy nasi po zabiegu po prostu wzięli wózek z Narożniakiem jak swój, nikt nie oponował. W szpitalu jeet to tak pomyślane, że jeżeli operacja się nie uda, to wiezie się ciało pacjenta windą w dół do prosektorium. No i oni Narożniaka zamiast na oddział, powieźli do tej windy, a pilnujący esbek nie połapał się. W windzie jeden z nich zgubił kital lekarski z miotaczym gazem w kieszeni, bo mieli gaz na wszelki wypadek: gdyby esbek się połapał, to wciągnęliby go do windy i pstryknęli tym gazem. Tam na dole ktoś wołał za nimi, że się pomylili, bo wiozą nieboszczyka na dwór, zamiast do prosektorium. Wózek się im zaklinował, wzięli Janka na ręce i zanieśli do czekającej nyski. I było po akcji.

Ta akcja pokazała ludziom, że można działać śmiało i że istnieje prawdziwa solidarność. A dla nas miała i ten pożytek, że zintegrowała jeszcze bardziej ludzi z organizacją.

A potem był czerwiec, zaczęły się wakacje, MRK"S" przejął inicjatywę techniczną Radia"Solidarność". Zaczęliśmy przygotowywać się do 31 sierpnia, rocznicy podpisywania porozumień gdańskich.

- *I-tu - jak w kryminale - do akcji wkracza agent.*

- Zaczęły się pojawiać elementy zagrożenia kierownictwa. Aresztowani zostali: główny kolporter Gampel i szef grup specjalnych Adam Borowski. Borowski się ukrywał, ale robił bardzo dużo, miał ogromną dynamikę, był animatorem wielu poczynań.

Miastowski był agentem wprowadzonym już dawniej, był przecież wcześniej przewodniczącym "Solidarności" w "Poltelu". Tych wtyczek musiała mieć sb sporo, w końcu przewodniczący regionu w Pile, Naszkowski, też okazał się, po ucieczce na Zachód, esbekiem. Miastowski po wprowadzeniu stanu wojennego szukał kontaktu z kimś aktywnym. Borowski się ukrywał, a Miastowski go woził i żadnych nie było konsekwencji. Miastowski działał w drugim rzucie, ale był blisko kierownictwa, właśnie przez Borowskiego sb postanowiło wprowadzić go do kierownictwa MRK"S" na miejsce Borowskiego. Doprowadzili do aresztowania Borowskiego. Kiedy go zamknęli, do kierownictwa zgłosił się Miastowski i powołał się na to, że ma kontakty z grupami specjalnymi. Miał również kontakt z dziewczyną prowadzącą sekretariat. Kiedy wcześniej pojawiły się wątpliwości co do Miastowskiego, ta dziewczyna go poparła. Nie wiedzieliśmy, że byli ze sobą związani osobiście. Kiedy w śledztwie pokazano jej zdjęcia, które mógł zrobić tylko Miastowski i podano fakty, które znali tylko oni we dwójkę, załamała się i sypała.

Miastowski był ideałem konspiratora, wszystko potrafił załatwić, posługiwał się szyframi, był bardzo energiczny. Były co do niego wątpliwości, sprawdzaliśmy go nawet w więzieniu u Michnika, bo Miastowski się na niego powoływał, Michnik odpisał, że go sobie nie przypomina, ale to go nie dyskwalifikuje, bo współpracował z tyloma ludźmi, że może sobie nie przypominać. O tym, że go sprawdzamy, dowiedział się od tej dziewczyny, poczuł się zagrożony. I wtedy zorganizował akcję na Hożej: rozwieszenie transparentu z hasłem "Uwolnić więźniów politycznych". Przy okazji rozpoznał, które osoby mogą sprowadzić korespondentów zagranicznych i jakich, bo akcja była filmowana dla zachodnich telewizji. Ta akcja w gruncie rzeczy czysto ubecka, osłabiła podejrzanie wobec Miastowskiego.

To było przed 31 sierpnia. Po raz pierwszy uzyskaliśmy akceptację Bujaka.

Uznał MRK"S" za jedynego organizatora demonstracji, wprowadził jedynie minimalne korekty punktów zbornych. Jeden z nich wyznaczył na Placu Defilad, blisko Dworca Śródmieście, dokąd Ursus miał przyjechać kolejną podziemną. MRK"S" opracował plan demonstracji starannie, z informowaniem przez radio czoła pochodu, gdzie gromadzi się ZOMO, gdzie blokuje ulice, itd. Z przemówieniem Bujaka.

I w tym momencie wkroczył Miastowski. Nie wiedział, co się dzieje, bo o szczegółach organizacyjnych i demonstracji nie był poinformowany. Zmienił adres spotkania kierowniczej piątki, twierdząc, że poprzedni adres obstawiają esbecy. Zmieniając adres spotkania powiadomił tylko dwie osoby z piątki; wytłumaczył, że jedna się przestraszyła, a dwie następne zostały powiadomione i nie wiadomo dlaczego nie przyszły. To było spotkanie, na którym miały być omówione szczegóły organizacji 31 sierpnia. Rozbijając to spotkanie, Miastowski już dezorganizował demonstrację. Nie wiedział jeszcze, że na tym spotkaniu ma być również Romaszewski. Kiedy Romaszewski przyszedł, Miastowski wyskoczył po papierosy. Po zebraniu, kiedy Machalski odwoził Romaszewskiego, esbecy staranowali ich samochodami. Otoczyła ich chmara esbeckich wozów. Wyjeżdżali pośpiesznie, z każdej uliczki, z brzem. Nasi uciekali w dwie przeciwne strony. Romaszewski potknął się i go złapali. Tego drugiego dopadli na murze fabrycznym, na który uciekł przez okno jakiejś klatki schodowej.

Ten 31 sierpnia nie wyszedł. Dużo było aresztowań, ludzie załamani. No i ZOMO terroryzowało miasto, bijąc gdzie popadło, waląc z rakielic po oknach. Przełamał się impet społeczny. MRK"S" jako organizacja zaczął słabnąć. We wrześniu aresztowali jedną osobę, w październiku kolejną. Aresztowali sekretarkę biura. Dwie pozostałe osoby z kierowniczej piątki ukryły się. Zostały później aresztowane na zebraniu 29 czy 30 listopada. Esbecy, aby zrobić wrażenie, wjechali do mieszkania przez okno po linach. Adres tego mieszkania otrzymali od przedstawiciela "Nowotki" w kierowniczej piątce, którego zatrzymali na 48 godzin. Po raz drugi został zatrzymany na tym zebraniu i nie został aresztowany. Nie był wtyczką, tylko peki i prawdopodobnie poszedł na współpracę. To był człowiek energiczny, a na procesie, gdzie zeznawał jako główny świadek oskarżenia przeciwko swoim kolegom, był to już wrak człowieka. Tak zamknięty został dynamiczny okres MRK"S"-u.

- Proces MRK"S" jest procesem smutnym. Tylu działaczy zeznało.

- To prawda. Ale cóż, organizacja nie ma żadnej sankcji oprócz moralnej, a strona przeciwna dysponuje groźbą wieloletniego więzienia, bogatymi doświadczeniami w niszczeniu człowieka. Działacze MRK"S"-u byli ludźmi wyłonionymi przez zakłady, a nie dobranymi, dokooptowanymi.

MRK"S" przygotowywał strajk w zakładach i dlatego zakłady delegowały swoich przedstawicieli. Strajk mogą zorganizować w zakładach ci, których ludzie znają i którym ufają. MRK"S" był organizacją tajną, centralistyczną, ale z kierownictwem wybieranym właściwie demokratycznie, przez przedstawicieli załóg. Wybierano ludzi takich, jakimi widziano ich w fabrykach, a nie w ewentualnym działaniu, w konspiracji, czy w śledztwie. No i przedstawiciel PZO spisał się dobrze, a z "Nowotki" fatalnie. Natomiast dziewczyna z "Róży Luksemburg" dała się nabrać na meski urok agenta z esbe. Poważnie mówiąc: za małe jest społeczne potępienie ludzi, którzy spią. Często relacja bywa taka: biedny, załamał się. Zamiast jednoznacznego potępienia - współczucie.

W sumie aresztowano w tamtym okresie 23 osoby z MRK"S"-u. Podzielono je na trzy grupy. Jeden proces się odbył, dwa umorzono na podst. wie amnestii. Ci aresztowani to byli funkcyjni. Inaczej, niż w wierszu Konopnickiej, gdzie giną chłopci, a nie króle, tu do więzienia poszła "góra". Poszli siedzieć też kolporterzy, drukarze, uczestnicy grup specjalnych. I o tyle sprawdziła się ta struktura piątkowa, że żaden z tej piątki nie puścił w dół. Tej piątkowej struktury robotniczej nie ruszono. Nie zdjęto też piątki tego z "Nowotki", który spisał.

- MRK"S" działa nadal, zatem się odbudował. Nie trzeba się chyba domyślać, że przyszło to wam dość trudno.

- Po aresztowaniu tych 23 osób, całego kierownictwa, kolporterów, drukarzy, została nietknięta struktura robotnicza, ale było im trudno odnaleźć się, nawiązać kontakty. W końcu pożapaliśmy jakoś te kontakty i powstała nowa struktura. Ograniczyliśmy się właściwie do wydawania pisma. Początkowo pismo kulało, ale potem odnalazło swój rytm. Teraz ukazał się, niech poszukam, o proszę, 132 numer pisma "CDN-Głos Wolnego Robotnika". Ruszyliśmy też z akcjami ulicznymi, z nadawaniem ulicznych audycji. 31 sierpnia nadaliśmy audycję na Placu Wilsona po mszy w kościele św. Stanisława Kostki.

- *Byliście największą strukturą podziemną w Warszawie.*

- I realną. Posiadającą zdolność do uruchomienia ludzi, swoistą tożsamość w sferze wartości i sferze działań.

- *A dziś?*

- No cóż, w ludziach nie ma już tego impetu, tego zapału. Jest przywiązanie do tradycji, którą MRK"S" stworzył - do działań odczuwalnych, efektywnych, dających poczucie oporu realnego. Jest pismo, które organizuje ludzi zbierających informacje, redagujących, drukujących, kolportujących. I jest to pismo własne, nie tylko niezależne, ale własne - organizacji i tych, którzy do uczestnictwa w niej się poczuwają. MRK"S" zatem trwa nadal.

- *Czy przetrwa?*

- Podzieli los całej "Solidarności", z którą się utożsamia i o uratowanie której walczył. Coraz częściej uświadamiamy sobie, że "Solidarność" w tej formie, w jakiej działała od sierpnia 80 do grudnia 81, nie odrodzi się. Więc być może jako struktura MRK"S" nie przetrwa. Dziś jest głównie pomostem do czasów, które przyjdą. Trwa jako forma pomostu między wczoraj o jutrem. Prowadzimy dziś tę formę działalności, która wybiega w przyszłość: szkolenie. Iluś ludzi się szkoli, wyrabia sobie czy umacnia umiejętność oceny zjawisk, kształtowania własnych sądów i opinii. Urabia w sobie postawę ludzi pytających i postulujących. Ta organizacja, jaką był i jest MRK"S" będzie bazą dla ruchu, ale niekoniecznie dla siebie samej.

- *Czy w państwie totalitarnym, policyjnym, organizacje tajne mają szansę przetrwania? Czy ich istnienie ma sens?*

- Policji łatwiej zwalczać organizację, niż nie określoną magmę, zwłaszcza organizację ofensywną, aktywną. Łatwiej przystawić, wprowadzić do niej agenta. Bo tam, gdzie jest magma, to nie ma gdzie agenta przystawić. Organizacja, żeby przetrwać, musi mieć zdolność do wymuszania, musi mieć sankcje, nawet ostateczne. Były w nie uzbrojone organizacje posiadające prerogatywy władzy państwowej czy rewolucyjnej, opartej na ideologii. "Solidarność" nie wytworzyła ideologii, opierała swoje działanie na zespole wartości. Organizacja, która powstała po okresie jawnego działania "Solidarności", nie ma odporności na czas, czas ją eroduje, rozбивa. Wartości, które legły u podstaw "Solidarności", które ona odkryła jakby na nowo, są mniej wrażliwe na działanie czasu niż organizacja. Czas ich nie zniszczy.

- *Czas nam nie sprzyja, a kiedy sytuacja się odwróci na naszą korzyść?*

- Wtedy, kiedy trwałe procesy degeneracyjne tamtej strony znów dadzą znać o sobie. W sferze gospodarki czynnik czasu już działa na rzecz naszej strony. Gospodarka socjalistyczna nie jest reformowalna. Wszelkie reformy mają skutki płytkie i krótkotrwałe. Jej niższość w stosunku do gospodarki wolnorynkowej jest oczywista. Tu upływ czasu pracuje i będzie pracował na naszą korzyść.

SZTANDAR NA TARYFIE

rozmowa z przedstawicielem Tajnej Komisji Zakładowej NSZZ "Solidarność" Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego w Warszawie

- *Zacznijmy tę rozmowę od...*

- ... u nas był strajk, zanim powstała "Solidarność", drugi w Warszawie, zaraz po MZK, to było w lipcu.1980, przed sierpniem. Strajk rozpoczął się na bazie nr 2 na Grochowie, stamtąd taksówkarze przyjechali na bazę nr 1 na Ochotę, na Wery Kostrzewy. Wśród kierowców przybyłych z bazy nr 2 był późniejszy przewodniczący "Solidarności" taksówkarzy, Tyburski. Strajk rozpoczął się na dyspozytorni przez odmowę pobierania dokumentów wyjazdu, dyrektor przyszedł, ostre rozmowy były. Część naszych kolegów stanęła na bramie, żeby zatrzymywać tych, którzy wyjeżdżali z warsztatów, żeby nie wyruszyli na miasto. Koledzy nie chcieli wierzyć, że jest strajk, przecież strajków dotąd nie było, dopiero po wyjaśnieniu, że stoją obie bazy i oni się przyłączyli. Zastawiono bramę ławką, zebrała się grupa kolegów, około stu kierowców, uzgodniono postulaty czysto płacowe, bo strajk był ekonomiczny. Zjawiła się dyrekcja, przyjechali ze zjednoczenia, na wszystko się zgodzili, ale nas oszukali, bo obiecano wiele, a nie dano nic poza obietnicami. Komitet strajkowy został wybrany, na każdej bazie oddzielnie, około piętnastu osób z jednej bazy, były dwa oddzielne zebrania, jeszcze nie było mowy o tym, żeby się połączyć, tyle, że przedstawiciel jednej bazy był obecny cały czas na drugiej, był kontakt i tyle. Strajk trwał dwa dni. Jeszcze nie było mowy o "Solidarności", jeszcze nie było strajku w Gdańsku, Lublin tylko stał wcześniej i to było takim naszym psychologicznym zapleczem, a w Warszawie my byliśmy druzdy, po MZK. "Solidarność" była silna w MPT, bardzo silna. Niektórzy z tych, co robili strajk, weszli do komisji zakładowej, inni nie, bo w komisji było trzech partyjnych i nie wszyscy chcieli z nimi współpracować.

- *Co przez półtora roku jawnej działalności zdążyła zrobić "Solidarność" dla pracowników MPT?*

- Warunki socjalne zostały poprawione, na przykład podział wczasów pracowniczych, kolejność przydziałów wczasów - od tej pory wczasy należą się każdemu pracownikowi co dwa lata, a nie jak było do tej pory, że co roku jeździli ci sami, ta góra, czapeczka. Pracownik może z wczasów skorzystać albo nie, ale co dwa lata mu się należą. Sposób rozliczania kierowców się poprawił, komisja zakładowa "Solidarności" wyciągnęła do maksimum: co można było, to wyciągnęła. No i odbyło się poświęcenie sztandaru przez biskupa Miziołka w bazylice na Kawczyńskiej. To była wielka manifestacja, na klaksonach przeciągnęliśmy przez całe miasto -21 listopada 1981 r., tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. W bazylice nawet dyrektor Toborowicz miał przemówienie, pięknie mówił, ale po wprowadzeniu stanu wojennego jego wypowiedź została z taśmy skasowana, jest tylko przemówienie naszego przewodniczącego Tyburskiego, a wypowiedź dyrektora wyparowała: nie wiadomo jak, mimo, że była przechowywana w kościele, w zakrystii.

- *A potem był stan wojenny...*

- Zostali internowani: Jurek Rudziński, wiceprzewodniczący komisji zakładowej, którego zwolnili z Białołęki po trzech miesiącach ze względu na stan zdrowia, z bazy nr 2 Janusz Skrzypczyński i Waldek Liberadzki, a z bazy nr 1 Ryszard Jankowski, który pracował w MPT wraz z żoną. Zadarli z esbekiem, który ma opiekę nad MPT, na bramie mu coś powiedziało do słuchu i ten go kazał internować, trzy miesiące odsiedział za kilka słów. Od pierwszego dnia internowania organizowaliśmy pomoc dla rodzin, zabezpieczenie materialne. Ludzie płacili składki cały czas, teraz składki spadły, bo ludzie są zmęczeni, mniej wierzą w sukces i koszty życia rosną. Dominik Tyburski, nasz przewodniczący, który był

także w prezydium zarządu regionu ukrywał się od 13 grudnia 1981 r. do amnestii w lecie 1984r., kiedy ujawnił się w porozumieniu z nami, z tajną komisją zakładową. Przez cały czas, jak Tyburski się ukrywał, to własnymi siłami organizowaliśmy mu pomoc - paczki, pieniądze, lokale. Ujawnienie nie wniosło nic nowego. Był telefon na Opaczewską, bo to komenda z Opaczewskiej się nami opiekuje, że tego i tego dnia o godzinie tej i tej zgłosi się ukrywający się przewodniczący "Solidarności" MPT w celu ujawnienia się. Obstawialiśmy go cały czas. Na Opaczewskiej był krótko, potem przewieziono go na Mostowo, my cały czas za nimi. Przyznał się do współuczestnictwa w redagowaniu "Głosu Wolnego Taksówkarza", który ukazuje się od 13 grudnia 1981, od pierwszego dnia wprowadzenia stanu wojennego.

- *Od pierwszego dnia?*

- Od pierwszego. Początkowo przepisywaliśmy ręcznie, przez kalkę w 50-ciu egzemplarzach, potem znaleźliśmy dojście do powielacza i nakład wzrósł do 1500 sztuk. Ukazuje się do dnia dzisiejszego, wyszedł ostatnio 53 numer. Redakcja to sami taksówkarze. Robimy go własnymi siłami, własnym kosztem, jest człowiek odpowiedzialny za redakcję. Dajemy oświadczenia MRK"S", RKW i wiadomości z zakładu pracy, coś człowiek usłyszy, coś zobaczy.

- *Czytaję ludzi?*

- Tak. Idzie w całą Polskę, dociera do Zakopanego, Łodzi, Lublina, Gdańska, Katowic. Najlepszy był numer jubileuszowy, pięćdziesiąty. Daliśmy w nim najlepsze materiały, najlepsze informacje z wszystkich numerów, ludzie się nim setnie ubawili. To był gruby numer, sześć czy siedem karteek.

- *Współpracujecie z innymi strukturami?*

- Współpracowaliśmy z MRK"S", dawaliśmy transport, a kiedy MRK"S" się rozpytał po wpadce, nawiązaliśmy współpracę z MKK, RKW, z "Wolą", z Grupami Politycznymi "Woli". Różnym strukturom dawaliśmy obsługę drukarni, transport wydruków, robiliśmy kolportaż, chłopcy składali książki, robili malowanki. Kiedyś wieźli towar we dwa wozy, dwa pełne kufrы. Czerwona latarka, zatrzymał ich cywil w "Polonezie". Jeden dał dyla, drugi się zatrzymał. Ten, co prysnął, wpadł do lokalu, do którego jechali, z krzykiem, żeby się zwiźali, bo ten drugi wpadł, i pojechał zrzucić gdzieś towar do innego lokalu. Tymczasem ten drugi otworzył kufer, cywil widzi, co jest grane i pyta: "Dla "Solidarności"?", "A co pan myśli, że dla PZPR?". "Ten drugi też?", "Co się pan o tego drugiego pytasz, jak my tu we dwóch rozmawiamy. Bierz pan muzykanta, więcej przy sobie nie mam i będzie po krzyku. Co pan będzie miał z tego, jak mnie posadzi?". Cywil łknął piątkę, nasz odczekał aż sobie pojedzie, w drugą stronę, żeby nie widział, gdzie on ruszy, wpada spocony na lokal, gdzie miał ten towar wrzucić, a tam popłoch, paczki wynoszą, ewakuacja. Jeszcze jeden był taki przypadek, że zatrzymali od nas faceta, kufer kazali otworzyć, a tam powielacz i gilotyna. Mundurowy pyta "A to co?", "Warsztat zamierzam otworzyć", "Dokąd pan to wiezie?", "Tak sobie jadę na przejażdżkę", "No to pojedzie pan z nami na komendę". Facet nie stracił głowy, daje pięć tysięcy, ale ten nie chce brać, to mu włożył do kieszeni, tej górnej, od munduru. Ale tamten uparty, to był, zdaje się, sierżant: "Wsiadaj pan do radiowozu, jedziemy na komendę", "Daj pan spokój, jak pan chce, to wzywaj pan pomoc, bo ja sam na komendę nie pojadę, ale lepiej bierz pan swoje i sam pan wsiadaj do radiowozu, bo koledzy zobaczą i będzie się pan musiał podzielić". Świeży grosz zawsze lepszy niż premia, co to może jej nie być.

- *To nikogo z was nie złapano, nikt nie poszedł siedzieć?*

- Złapano taksówkę podczas malowanek, przed tym nie udany strajkiem przewoźnik podwyżce w 85 r., dwóch facetów i taksówkarza, Janka Zaydla, na Pradze pod Teatrem Powszechnym. Siedzieli półtora roku. Ten taksówkarz mówi, że źle mu tam nie było, może wrócić. Tłumaczył, że wziął pasażerów, ale znaleźli w taksówce dowód rzeczowy - farbę w spray'u i mieli zeznanie, że znał wcześniej tych dwóch. Ubecja zresztą już wcześniej wiedziała, że coś robimy, były przesłuchania, przeszukiwania wozów. Na początku stanu wojennego, to można było przez ro-

gatki obstawione wojskiem czy milicją przelecieć taryfą z pełnym kufrem, ale potem zaczęli kufry przepłacać, nawet jak się jechało z pasażerem. Mieliśmy opiekuna z sb, w "Głosie Wolnego Taksówkarza" było jego nazwisko, adres i numer prywatnego samochodu: Janusz Chmielowiec, zamieszkały Gorlicka 4, numeru mieszkania nie pamiętam. Jechał wozem, zobaczył znajomego taksówkarza, którego przesłuchiwał i przysnął po trawnikach, a potem opowiadał, że ten mu chciał coś złego zrobić, spowodować wypadek. To był goryl Gierka, 190 cm wzrostu, 120 kilo żywej wagi, wypisz wymaluj Piotrowski. Ma kłopoty z synem, skarżył się nam na przesłuchaniach: "Nie dość, że syn mi w domu "Solidarność" zakłada, to wy mnie jeszcze dobijacie". On jest jak kameleon, grozi, straszy, a za chwilę największy przyjaciel: "Ja bym ci serce otworzył". Jak wyrzucili naszych za akcję protestacyjną, to chodził i wszystkim na oko mówił: "Co ten dyrektor nawyrabiał, zabraniałem mu was wyrzucać. Pracę wam załatwię w filmie, telewizji". Ciągnął na bok, zarobkami kusił. A temu monterowi, Podgórskiemu, co nas obciążył, załatwił pracę w "Polmozybie" na Rudnickiego na Żoliborzu. Nastąpiły w końcu aresztowania. Jednego dnia o jednej godzinie, o 6 rano zrobiono rewizję w trzydziestu mieszkaniach pracowników MPT, głównie taksówkarzy. Celem akcji było nakrycie redakcji i ewentualnie druku "Głosu Wolnego Taksówkarza", bo mieli przecieki, że ma się ukazać nowy numer. W każdym mieszkaniu było po trzech, czterech esbeków, w sumie zaangażowali około setki esbeków, a nie znaleźli ani jednego egzemplarza naszej gazety, "Tygodnik Wojenny" znaleźli, inne jakieś gazetki, ale tej, której szukali, ani jednej sztuki. Wszystkich właścicieli mieszkań zatrzymano, puszczo no po 48 godzinach, sankcję prokuratorską (aresztowanie tymczasowe) dostało trzech: Andrzej Klamann, u którego znaleziono drobne druki, Wojciech Wociał i Sławomir Zaręba. Klamann siedział cztery miesiące, Wociał trzy i pół, Zaręba trzy miesiące. Sankcje nałożono na podstawie zeznań Wociała, który się przyznał, że robił kolportaż. Przez trzy dni go przesłuchiwali, straszili biciem i się rozsypał, to był szczuplutki chłopaczek, pracował warsztatu, nie taksówkarz. Jego zadenuncjował Roman Podgórski, też pracownik warsztatów i jeszcze ktoś. Wociał nic nowego im nie wniósł, tylko podpisał, co mu podsunęli i co już wiedzieli. Po tych przesłuchaniach nam się przyznał: peknąłem, powiedziałem to i to. Na podstawie tych zeznań został aresztowany on i Klamann, chociaż mu obiecywali, że będzie wolny. Rodzinom aresztowanych zorganizowaliśmy oczywiście pomoc.

- Broniliście swojego przewodniczącego przed wyrzuceniem z pracy. Głośno było o tym w Warszawie.

- Mimo zapewnienia przez władze, mimo gwarancji w ustawie amnestyjnej, że wszyscy ujawniający się mogą powrócić do swojej poprzedniej pracy, nasz Dominiczek został wyrzucony. Okres ukrywania zaliczone mu jako samowolne porzucenie pracy. Po tej decyzji zorganizowaliśmy akcję protestacyjną na terenie przedsiębiorstwa, w bazach i na zewnątrz, na terenie Warszawy. Najpierw ulotki się sypały. To był wariant A. W miescu zamieszkania dyrektora Toborowicza ulotki rzucaliśmy i rozklejaliśmy, potem na drzwiach namalowaliśmy piękną czarną wronę trzymającą czerwoną gwiazdę. Dyrektor przyjechał potem do pracy w towarzystwie esbeków, nie odzywał się do nikogo, a jego mieszkanie sb pilnowała dzień i noc. Potem nastąpił wariant B - dyrektor dostał ostrzeżenie, że komisja zakładowa "Solidarności" postanowiła zrobić mu remont jego prywatnego samochodu. Przesłał jeźdźcą swoim samochodem, postawił go na bazie przy pilocie, który odpowiadał za samochód dyrektora głową, a zaczął jeździć służbowym, który dzień i noc, i na bazie i pod domem pilnowała sb. Teraz była akcja pod kryptonimem telefon. Dzień i noc, my i nasi znajomi telefonowaliśmy do dyrektora. Dosłownie tysiące telefonów na dobę. Żona dyrektora dostała nerwicy, zmieniono mu numer telefonu. Żona dyrektora do dziś ma do nas pretensje, że jej dziecko, które chodziło do szkoły, zostało przez środowisko, przez inne dzieci, zaszcute. Nas to nie cieszy, ale czy o nasze dzieci ktoś się martwił, przesłuchując nas, aresztując, wyrzucając z pracy? I czy to my wyrzuciliśmy Dominika z pracy niezgodnie z prawem? Powinni się byli liczyć z naszą reakcją. Po tych akcjach esbecy chodzili po zakładzie i pytali: "Był wariant A, był B, a jaki będzie C?".

Jakaś grupa młodzieży, która dowiedziała się o sprawie z naszych ulotek, jakiś młodzieżowy ruch oporu, zupełnie z nami nie związany, nieznanym nam, wydał na dyrektora wyrok śmierci. Przesadzili, wyroku na szczęście nie wykonali, był to wyrok tylko papierowy. A Dominika i tak nie przyjęto do pracy. W sądzie wyrzucenie dyscyplinarne za poruczenie pracy zmieniono mu na zwykłe wymówienie.

W MPT zawsze coś się działo, ubecja się nie nudziła. Otynkowano bazę, a my na drugi dzień machnęliśmy malowanke, z szablonu, litery były metrowej wysokości, solidarnościowym liternictwem, a jakże: "Solidarność" żyje, "Solidarność" zwycięży, "Solidarność". Waliliśmy z szablonu napisy w warsztatach, na taksówkach, które wyjeżdżały w miasto. Raz chcieliśmy pomalować bazę przed 1 maja, ale był chyba przeciek, bo sb obstawiła w nocy bazę, ale z tej akcji nic im nie wyszło. Na wszystkie manifestacje, z okazji 1 maja, 3 maja, 31 sierpnia, chodziliśmy zwartą grupę.

- *Jaka prasa dociera do was poza waszym własnym piśmem?*

- Był "Tygodnik Wojenny", a teraz "CDN-Głos Wolnego Robotnika", "Woła", "Tygodnik Mazowsze", "Robotnik", "Związek", "Sektor", "Wolny Głos Ursusa", "Vacat", a od czasu do czasu książki. Mamy własną bibliotekę, ponad dwieście pozycji, tajna komisja zakładowa kupowała książki za pieniądze składkowe. Jest i Orwell, jest i Sołżenicyn. Właściwie książka, która miała najwięcej czytelników, to był "Wierny Ruszan" Władimowa, potem Orwell: i "Rok 1984" i "Folwark zwierzęcy", "Zapluty karzeł reakcji" Woźniaka, "KOR" Lipskiego, Zinowiew jest czytany, "Zapiski więzienne" prymasa Wyszyńskiego cieszyły się wzięciem i "Homilie" Popiełuszki, o zamachu na papieża mamy w bibliotece dwie pozycje i one są bardzo czytane, tego Wierzbickiego ludzie brali, jaki jest tytuł tego Wierzbickiego? - "Myśli staroświeckiego Polaka". "Przesłuchanie" Bugajskiego miało sporo czytelników i mieliśmy projekcję jego filmu na video, bo prowadzimy niezależne kino video, sporo kaset już puszczałyśmy. A z książek, to książki historyczne mają niezwykły popyt i czysto polityczne, te, w których są fakty. Nie wiem, czy o tym mówić, ale ludzie brali do czytania "Czerwone plamy historii", ale uznaliśmy, że w obecnej sytuacji jest to książka nieaktualna, bo są w niej ataki na Żydów i KOR, więc zdecydowaliśmy, że ją wycofamy z wypożyczania. Około trzyczestiu ludzi brało systematycznie książki do czytania, ale czytało więcej, bo i rodziny, i znajomi, i koledzy, ludzie sobie przekazywali sami pomiędzy sobą. Nieraz książka szła do czytania i wracała po kilku miesiącach czytana, nieraz nie mogliśmy książki odebrać, bo klient mówił: ciotka teraz czyta.

- *Istnieje opinia, że taksówki prowadzą często agenci sb. Czy to prawda?*

- Na pewno. W 1982 roku przyjęto do pracy na kierowców taksówek około stu uboli. Wiadomo nam o ubolu, który jeździ w MPT, ma stopień chyba majora. Jak jechał po pijanemu i zatrzymał go patrol, to tylko wyprężyli się na bacność i zasalutowali. Jeżdżą taksówkami esbecy, zomowcy, ormowcy. Sb może podstawić taksówkę MPT, jeżeli chce zobaczyć, gdzie ktoś się udaje. Mamy wykaz tych taksówkarzy, chociaż raczej niepełny. Numery bocne niektórych, co do których byliśmy stuprocentowo pewni, że pracują dla sb, podawaliśmy w "Głosie Wolnego Taksówkarza". Jeden z nich, który brał udział w pacyfikowaniu Stoczni Gdańskiej, przyjechał nawet na bazę w pełnym rynsztunku, z pałąk - czerwony fiat 125, numer 1155. Ich zadaniem jest przede wszystkim rozmawiać z pasażerami. Były wypadki, że zawozili pasażera prosto na komendę.

- *Taksówkarze mówią często pasażerom, że wpłacają do kasy przedsiębiorstwa więcej, niż biorą od klienta. Nie chce się w to wierzyć.*

- Ale trzeba, bo to jest naprawdę perfidny system. Taksówkarz wpłaca do kasy 23,60 za każdy kilometr przejechany na taryfie z radiotelefonem (23 zł na taryfie bez radiotelefonu), a bierze od klienta 20 zł za przejechany kilometr na I taryfie, czyli do każdego kilometra przejechanego z pasażerem dopłaca 3,60 lub 3 zł. I wpłaca do kasy przedsiębiorstwa po te 23 zł za każdy kilometr, także za puste przeloty, a przecież puste przeloty muszą być, choćby dojazd do bazy i z bazy, no i nawet, jak się bardzo chce, to nie da się jeździć od słupka do słupka,

czasem trzeba kawałek przejechać do postoju czy pod pasażera. Z czego taksówkarz dopłaca? Z pierwszego kilometra, który jest wyżej płatny - 40 zł, z postojowego - 120 zł za godzinę czekania na pasażera, z drugiej taryfy - 30 zł za kilometr, poza obszar miasta i w nocy. Taksówkarzowi nie opłaca się w ogóle praca w dzień w mieście, chyba, że w Śródmieściu krótkie przeloty i łamanie co i raz taksometru. Od utargu - to jest wpłaconych do kasy pieniędzy, taksówkarz jest na prowizji, od lutego 1986 ta prowizja wynosiła 7,3 proc., czyli średnio miesięcznie około 7 tys.zł. Żeby zarobić te 7 tysięcy zł musiał człowiek jeździć przez 25 dni po 167 km. Ten system został skonstruowany tak, żeby z pracy człowiek nie mógł wyjść.

- To z czego ludzie żyją?

- To jest właśnie nasz cud gospodarczy.

- Na czym ten cud polega?

- Po pierwsze na robieniu najmniejszych przelotów pustych. Po drugie na oszustwie: włączaniu taksometru, zanim podjedzie się do pasażera i już te pół kilometra licznik bije. Po trzecie dosiady: bierze się dwóch pasażerów jadących w tym samym kierunku, i od każdego z nich oddzielnie opłatę za całą trasę i to jest niezgodne z przepisami MPT. Po czwarte dworce, hotele, lotnisko, cudzoziemcy, prostytutki i jazda na umowę: tyle a tyle kosztuje. I najważniejsze, jazda na wynajem dla państwowych instytucji. Dają rachunek na 100 km, a jeździło się 50 km i te drugie 50 km jeździ się z pasażerami. Każdy kombinuje jak potrafi. Więc wozi się prostytutki. Więc okrada się klientów. Ten system powoduje, że nie można uczciwie pracować. Gdyby człowiek jeździł uczciwie od słupka do słupka, to by z głodu zdęchtł.

- I ten system wam się podoba?

- Nie. W lutym zrobiliśmy protest płacowy. Akurat taki, bo inne nie wychodziły, strajk w ogóle jest niemożliwy. Protest polegał na tym, że nie odbieraliśmy miesięcznej pensji. Płacą nam przez trzy dni i pierwszego dnia nie wzięło pensji około 30 proc. taksówkarzy; drugiego już tylko 20 proc., a trzeciego jeszcze mniej, około 15 proc., średnio około 20 proc. zaprestowało. Ale z tego 15 proc. wzięło pensję po terminie, czyli że się z nami solidaryzowali tyle, że pieniędzy nie zostawili w kasie. Żądaliśmy zwołania zebrania załogi z dyrektorem, zmiany systemu rozliczeń z kierowcami, zwiększenia prowizji od utargu do 25 proc., doprowadzenie do wyboru samorządu pracowniczego, wprowadzenie zimowej normy paliwa, dodatku zimowego. Za ten protest wyrzucono trzech taksówkarzy: Jana Wojciechowskiego, Witolda Siedleckiego, Mariana Szeligę, a wcześniej Andrzeja Bischoffa i kilku innych. Po ich wyrzuceniu dopiero zrobiono wymuszone naszym protestem zebranie załogi z dyrektorem, podniesiono prowizję do 10,5 proc., ale trzeba pamiętać, że 15 lat temu prowizja wynosiła 25 proc., pensje ludziom podskoczyły do 12 tys., ale co to jest dziś 12 tys., przy tych cenach, śmiech tylko bierze. Trzeba będzie nadal główkować, bo jak nie, to człowiek by z głodu umarł. Na zebraniu partyjnym dyrektor powiedział, że mógłby ludziom nic nie płacić, a i tak miałby chętnych do pracy.

- Wyrzucono was z pracy, wsadzano, ale chyba nie wszystkim?

- W tej chwili nie jest wesoło, bo najaktywniejszych powyrzucali i nie ma kto ciągnąć, ale jeszcze parę osób zostało. Składki spadły, bo i nie ma kto ich zbierać, to z okazji protestu wypuściliśmy kopertę ze znaczkiem i stemplem okolicznościowym, taką całostkę filatelistyczną, którą traktujemy jako cegiełkę na cele związkowe, chcemy wypuścić znaczki poczty "Solidarność", czekamy tylko na zezwolenie RKW. Finansowo zrobiło się krucho, a przez cały czas w 82, 83, 84 roku odprowadzaliśmy część składek do góry, część przeznaczaliśmy na potrzeby naszej działalności i na prasę związkową.

- Jak oceniacie, czy działacze "Solidarności" są uczciwi w pracy niż nie związani z "Solidarnością"?

- Na pewno. Ci związani z sb czują się bezkarni i mogą sobie pozwolić

okraść klienta czy nawet pobić, bo i to się zdarza. Im nic nie można zrobić. A o nas świadczy choćby to, że działali w "Solidarności" i tacy, którzy przejeżdżili na taryfie po kilkanaście lat bez jednej skargi klienta, co nie przeszkodziło wyrzucić ich z pracy. Ja nie jestem kryształek, ale to wiem, że klienta nigdy nie okradłem, że nigdy nie włączyłem drugiej taryfy zamiast pierwszej. Gdybyśmy robili tak, jak inni, to byśmy nie robili akcji protestacyjnej. Niektórzy nam mówili: to klienta rąbnę na kawałek, to dziewczynę podrzucę, na co mam protestować?

- *Właśnie. Po co wy protestowaliście?*

- Sztandar, który poświęciliśmy w listopadzie 81 do czegoś nas zobowiązuje. 13 grudnia 1981 wykradliśmy go sb, zarekwirowali tylko drzewce, nowe drzewce ufundował nasz przewodniczący w 1983 r. Wystawiliśmy go w pierwszą rocznicę śmierci księdza Popiełuszki w kościele św. Stanisława Kostki, na mszy za Ojczyznę na ul. Hynka, na mszy za Ojczyznę na Karolkowej, na pielgrzymce świata pracy na Jamskiej Górze w Częstochowie, osiem razy wystawialiśmy sztandar i za każdym razem wystawiamy poczet pracowników. Ostatnim razem wystawiliśmy sztandar w bazylice, w listopadzie tego roku, w rocznicę poświęcenia. Obstawili bazylikę, sześć wozów ubeckich było, wyglądało na to, że chcą nam sztandar zarekwirować, jeden się wypychał za nami do zakrystii, ale go przytrąciliśmy drzwiami, o mało co nosa mi nie stracił. W "Głosie Wolnego Taksówkarza" podziękowaliśmy za grzeczność ze strony sb, za ich troskę, żeby nam się krzywda nie stała.

- *Po amnestii 1986, kiedy wiele struktury wyszło na powierzchnię, wy nadal pozostaliście w podziemiu.*

- Nie ujawniliśmy naszej działalności, bo nie wierzymy w sens prowadzenia jakichkolwiek rozmów z tą władzą. Uważamy, że tajna działalność musi być nadal prowadzona równoległe z jawną, którą zabezpieczają. Obie formy działalności są potrzebne, jedna drugiej nie wyklucza, nawzajem się uzupełniają.

- *Ale przecież tajność działania nie jest waszym celem. Czy sądzicie, że nadejdzie taki dzień, kiedy nie będziecie musieli już waszego sztandaru ukrywać, kiedy w jawnej siedzibie waszego związku będziecie mogli wystawić go na stałe?*

- Na pewno. Po to go trzymamy.

styczeń, 1987 r.

TYLKO FIZYCZNY

rozmowa z drukarzem Terenowego Komitetu Oporu Społecznego

NSZZ "Solidarność"

- *Jak zostałeś drukarzem?*

- Na początku wojny, to znaczy stanu wojennego, tak żeśmy rozmawiali ze znajomym, że nie ma prasy, a ja mam dojscia, to powinienem coś zorganizować. Takie pomysły były, żeby założyć drukarnię czy coś, ale nic konkretnego z tego nie wyszło i wtedy zjawił się taki facet, nazwijmy go "Sivy" i nawiązaliśmy współpracę. Miałem być łącznikiem, dostałem skrzynkę, gdzie odbierałem prasę i roznosiłem po 10 sztuk "Słowa", po 1 sztuce "Niepodległości", "Redutę Ordona". Miał być 31 sierpnia, to znaczy demonstracje, a żadnych ulotek na skrzynce nie było. Zbierałem informacje, roznosiłem prasę, to było wszystko. W pewnym momencie musiałem zniknąć. Spakowałem się w jedną torbę. Dostałem adres. Półtora miesiąca czekałem na jakąś wiadomość. Skontaktowałem się z drukarzem "Dużym", on

miał rex-rotary, stary powielacz. To był najlepszy lokal - starsza pani, mało gości. Ale nie było matryc, farby. Zrobiliśmy "Nie jedziemy do Moskwy", potem gazetkę "Gnom", jeden numer dla Ursusa, kawałek czegoś tam. Przez cztery miesiące nerwówki, wydrukowaliśmy 100- 120 ryz, teraz ja na powielaczu jadę tygodniowo 120 ryz. W kwietniu 1983 r. musieliśmy z tego lokalu odejść. Dostaliśmy powielacz, też rex-rotary, ale nowy. Czekaliśmy na lokal. Nie było lokali i drukowaliśmy w takim miejscu, gdzie przychodziło dziesięć osób dziennie. Tam był sztab sieci i my tam robiliśmy. Ludzie przychodzili odbierać prasę i nie wiedzieli, że odbierają prosto z drukarni, że tam jest powielacz. Ile trzeba się było nagimnastykować, żeby zdobyć papier w sklepach, po ryzie, po kilka ryz. A teraz kupuję kilkadziesiąt ryz w jednym rzucie, mam już kontakty. Znaleźliśmy w końcu lokal na drukarnię - i dzieci tam były i facet wcześniej siedział. Jak się od niego wyprowadziłem, to on wpadł w kotłę. Przyjechali do niego na rewizję, tam było 60 ryz wydruku, ale nie znaleźli. To było w listopadzie czy w grudniu 1983.

- *Drukujesz sam?*

- Sam. Ja bardzo dobrze znoszę samotność. Miałem lokal, w którym nie było wody, tylko prąd. Wodę musiałem przywozić z sobą. Miałem normę litr wody na dzień. Brałem 10 litrów na plecy i siedziałem tam tydzień. Musiałem się umyć i musiało mi wystarczyć do picia. Lokal był nie ogrzewany - bywało i pięć stopni mrozu. Jak wyjeżdżałem na trzy dni, wracałem, to woda była zamarznięta. Tam robiłem dwa miesiące na powielaczu. Człowiek śpi w śpiworze, kąpie się raz na tydzień. Zrobiłem ile się dało i jechałem do Warszawy. Czysty dom, czysta pościel, i z powrotem tam, do roboty. Sąsiad miał psy, pilnował jabłek. W nocy wchodziłem tak, żeby nikt nie widział, przez płot, od strony pola, od rzeki, a psy czekały. Zawsze miałem kawałek kiełbasy i rzucałem im, to potem się lasiły.

Zdarzało się, że wyłączali prąd i człowiek siedział jak głupi. Okno zabite deskami, ciemność, człowiek wiązi w śpiwór i leży, czeka, aż włączy światło.

Kiedyś drukowałem na strychu - cały lipiec, sierpień i wrzesień. Słońce grzało, a na strychu był taki gorąc, że pot lał się ze mnie. Miałem gumowe rękawiczki; podnosiłem rękę, to pot się wylewał. Drukowałem nago, tylko w spodniach. Od 12 w południe do 16 robiłem sjęstę, nikt by nie wytrzymał pracować w taki żar. A kiedyś pracowałem na strychu, gdzie dach był z blachy. Jak deszcz pada, to na blasze tak dudni, że bębniaki pękają, powielacza nie słycać. Bo najgorszy to stuk powielacza. Kiedyś drukowałem, a sąsiedzi kłócili się, bili. Ja ich słyszyłem to i oni musieli słyszeć pracujący powielacz. Bałem się, że przyjdzie od nich milicja i przy okazji usłyszy, jak drukuję.

Robiłem i na strychu o wysokości 1,40 m. Nie mogłem się wyprostować. Jak siedziałem na krześle, to dostawałem do sufitu. Kilka razy uderzyłem się w głowę. Przy powielaczu to jeszcze nic, ale przy składaniu trzeba przecież chodzić od rzy do rzy i zbierać po kartce. A ja swój wzrost mam. Tak się pracuje.

- *Od czego zależy jakość wydruku na powielaczu białkowym?*

- Ja uważam, że 50 proc. jakości zależy od farby, 10 proc. od drukarza, 10 proc. od papieru, 10 proc. od reszty. Ale jak masz zły papier, to nic nie zrobisz. Najlepszy papier to kserograficzny z Kostrzyna nad Odrą. Najlepszej jakości i najlepiej cięty, a wszystkie inne są złe cięte. Najgorszy jest papier kluczowski i z Włocławka. Oni dają najgorszy papier i najgorzej tną. Zdarza się że jedna ryza od drugiej jest dłuższa o centymetr, dwa. I wydruk taki na nim wychodzi, że człowiek się wnerwia. Teraz mamy stałych dostawców. Kupiliśmy ostatnio papier offsetowy, ale szary.

Cały czas brakuje offsetowej farby, starcza na jeden dzień w miesiącu. Raz przez prawie dwa miesiące się męczyłem, zanim dobrałem farbę. Mam swój przepis: jedna czwarta farby offsetowej plus jedna czwarta oleju plus jedna czwarta nafty plus jedna czwarta wody z mydłem (ok. 20 dkg na 1 litr wody). Zamiast oleju może być pokost lniany, ale produkowany przez prywatniarzy strasznie śmierdzi, państwowy mniej. Trzeba biegać po sklepach to za olejem, to za pokostem,

to za naftą, to za mydłem. Czasem jest taki układ, że gospodarz doniesie ze sklepu, co jest potrzebne do roboty.

- *A jak jest ze stołowaniem?*

- Różnie. Czasem gospodarz zrobi dla mnie zakupy, czy coś ugotuje. Stylów gotowania poznałem kilkanaście. W jednym domu jadałem bardzo pikantnie, dużo pieprzu, papryki, soli, a w drugim dietetycznie, zupełnie bez soli. Przyzwyczyłem się. Teraz każda kuchnia mi smakuje. W tej chwili sam mieszkam, wchodzę od tyłu, żeby nikt nie widział. Ludziom chodzi o to, żeby sąsiedzi nie widzieli.

- *Ile zarabiasz?*

- Jestem na stałej pensji - 18 tys. miesięcznie. Czasami trafi się coś z boku, jak robię na zlecenie nie dla swojej firmy. Mnie to wystarcza. Jak jest kolejna podwyżka cen, to i mnie dają jakąś broszurkę. Poprzednio dostawałem 15 tysięcy, a zaczynałem od 7 tysięcy, w 1982 r. Ale teraz robię cztery razy tyle.

- *Więc drukujesz i składasz książki. A jak radzisz sobie z obcinaniem?*

- Obcinam sam, bez gilotyny, nożem introligatorskim, tarczowym.

- *I co jeszcze robisz?*

- Teraz nie wożę wydruku, przedtem woziłem, teraz tylko tyle, co w torbie się zmieści, parę ryz najwyżej. Jak nie było maszynistki, to przepisywałem na matrycach na maszynie pismo albo jakąś broszurkę. Własnych tekstów nie piszę, tylko czasem, jak brakuje tekstów do numeru i trzeba zapełnić matryce. Ale tak naprawdę to lubię tylko siedzieć w drukarni. Mam cały sprzęt, całe gospodarstwo wożę ze sobą, maszynkę elektryczną itd. Czasami można zejść do łożenki a czasami nie można. Mogę siedzieć w pokoju tydzień, dwa i mogę nie wychodzić, byle był papier, farba i gotowe matryce. A jak wydrukuję, to mogę składać, zszywać. Teraz, jak się pozbyłem kolportażu, przez cały miesiąc mogę siedzieć w drukarni i nie wychodzić. Raz tam, gdzie drukowałem, babcia umarła w nocy, facet się przestraszył, zapomniał, że ja siedzę zamknięty na strychu. Cały dzień siedziałem bez jedzenia, ale się przetrzymało. No i dalej do zwycięstwa. Ja sobie pomyślałem, że muszę solidnie zasłużyć na ten wyrok.

- *Dlaczego to robisz?*

- Ja, szczerze mówiąc, nie należałem do "Solidarności". Nie wierzyłem, że sam związek zawodowy może coś zmienić. Ale i nie chciałem, żeby związek zawodowy stał się partią polityczną, bo uważałem, że prawdziwie niezależny związek zawodowy jest zbyt ważną sprawą, żeby to tracić. I uważałem, że źle robią ci ludzie, którzy zamieniają go w partię polityczną, w to, co nazywali ruchem społecznym. Nie widziałem miejsca w związku zawodowym dla wielu działań. To się toczyło jak lawina. Ja nie chciałem tego robić pod szyldem "Solidarności". Ale teraz się związałem i przez lojalność nie odejdę, tych ludzi dla których robię, nie zostawię. To co robię, nie zmieni historii, ale jest potrzebne i mnie i ludziom. Ja się czuję wolny. Nie mam nic wspólnego z tym rządem, ten rząd w ogóle dla mnie nie istnieje. Ja jestem wolnym obywatelem w państwie polskim, a nie w PRL i to daje satysfakcję. Zawsze lubiłem czytać, a teraz nie czytamy, prawdę mówiąc nie mam kiedy. Ale myślę o tych, co czytają, więc staram się, żeby druk był dobry, wyraźny, żeby ludzie nie rujnowali sobie wzroku i żeby farba nie śmierdziała. Nie pomagam czerwonym, a każda inna praca, którą bym wykonywał, byłaby dla czerwonych.

- *Ukrywasz się od połowy 1982 roku, a zatem już cztery lata. Nie boisz się, że w końcu wpadniesz? A jeśli nie, to jak długo możesz się tak ukrywać?*

- Co do wpadki, to kilka razy byłem od niej o włos. Raz jechaliśmy do drukarni, patrzymy: wozy milicyjne stoją pod, zatrzymali nas, wylegitymowali, ale osoba, która prowadziła samochód, powiedziała, że jedziemy dalej, do następnej miejscowości i nas puścili. Potem tę osobę wzywano na przesłuchania i pytano, kogo wiozła. Zdjęli wtedy drukarnię - powielacz i wydruk - ale bez ludzi, a mnie mieli już właściwie w ręce. Innym razem zatrzymano samochód, którym wie-

Żliśmy wydruk, milicjant podejrzliwie przyglądał się torbom, ale nie kazał otworzyć. Ale wpadki raczej się nie boję. Jestem tak ostrożny i zawsze staram się zabezpieczyć. To musiałyby być akcja zaplanowana, sb musiałyby przyjść po dobrym rozpoznaniu. Nie boję się także, że wypisze któryś z tych, których zamykają, boję się raczej tych, których wypuszczają, bo nigdy nie wiadomo, dlaczego wypuszczają, a ci, którzy wychodzą, też chcą nadal coś robić. Każda wpadka kosztuje - dwóch, trzech ludzi tracisz, lokale tracisz i sprzęt. To jest jednak niebezpieczne zajęcie. A do kiedy zamierzam się ukrywać? Na razie wstępny termin - do 91 roku, jeżeli mnie nie zwiną, a potem zobaczymy.

- *Tak długo zamierzasz pociągnąć przy takiej harówce? I co w końcu drukujesz?*

- Co tydzień Tygodnik "Mazowsze" dla naszej sieci w nakładzie 5 tys. egzemplarzy - 24 ryzy, 12 godzin pracy razem z pakowaniem. Poza tym oczywiście każdy numer "Sektora" i "Bazy", aha, zapomniałbym: i wszystkie "Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej", redagowane przez Społeczny Komitet Zdrowia; książki wydawnictwa "Kret" i czasem, ale za zgodą szefów, robię usługówkę, wydrukowałem choćby dwie pozycje dla wydawnictwa "Słowo".

Pracuję w zależności od tego, jakie są układy. Były dni, że drukowałem całą noc, potem sześć godzin snu i znów 12 godzin drukowałem T"MM". Jeżeli pracuję, to 16 godzin na dobę. Były sytuacje, że robiłem 20 godzin na dobę, a spałem 4 godziny. Ostatnio pracuję w takim lokalu, że śpię 8 godzin. Jak się zaczyna robić, to się chce skończyć jak najszybciej. W tej chwili czuję się trochę zmęczony, więc 8 godzin śpię jednak codziennie.

- *Bierzesz urlopy?*

- Jak mam brać urlop, jak zawsze jest coś do roboty? Teraz usiłuję zrobić bęben do roneo-vickers. To bardzo szybki, wydajny powielacz, tzw. bębnowy, dostaliśmy go z RKW, tyle, że bez bębna. Trzeba zrobić ten bęben i w nim 15 tys. precyzyjnych otworów, 1,5 mm średnicy każdy. Kto to zrobi? Mamy jeszcze uszkodzony offset, który chcemy uruchomić. Trzeba koło tego chodzić.

- *Nie powiedziacie jeszcze, dla jakiej firmy pracujecie?*

- Dla Terenowego Komitetu Oporu "Solidarności", w skrócie T O "S".

- *To ty właściwie zastępujesz całą sieć.*

- No nie, są jeszcze ludzie, którzy kupują na przykład papier, wożą, robią kolportaż, redagują. No i mam szefów. Ja jestem tylko fizyczny.

- *Powiedziacie, że mogę ujawnić twoje nazwisko i okoliczności, które spowodowały, że w 1982 roku zacząłeś się ukrywać. Ale ja nie mogę dawać im na ciebie dowodu na piśmie.*

- Jak chcesz. Oni i tak wiedzą, kto to robi, tylko nie wiedzą gdzie. I zażyłem już sobie u nich na porządną wyrok.

marzec, 1986 r.

Dokończenie rozmowy po dziewięciu miesiącach:

- *Nadal się ukrywasz?*

- Tak.

- *I co się u ciebie zmieniło?*

- Na Tygodniku "Mazowsze" jestem sam, nie uruchomiłem jeszcze offsetu. Z podawaniem coś nawala. Mam łapki, ale źle podają. Mam tylko komplet białych łapek, szukam niebieskich i zielonych.

- *Masz jeszcze jakieś kłopoty?*

- Ostatnio zacząłem nawalać z terminami.

styczeń, 1987 r.

not. Jędrzej Stopyr

SB- wladztwo

Materiał, który poniżej prezentujemy, jest suchym zapisem faktów z życia jednej rodziny w Zamościu. W świetle tego materiału odpowiedź na pojawiające się w prasie rządowej pytanie, czy nasze państwo nie jest przypadkiem nadmiernie opiekuńcze, jest prosta: jest nadmiernie opiekuńcze, i to nie przypadkiem. Nie przypadkowo represje w Zamościu uderzyły w całą rodzinę. W państwie realnego socjalizmu represja karna - a zatem prawo - traktowana jest instrumentalnie, a obiekty tej represji wybierane są personalnie (co wydaje się szczególnie typowe dla mniejszych miast), motywem bywa nie tyle fakt popełnienia przestępstwa, co osobista zemsta. Na prowincji tzw. socjalistyczna praworządność i ludowładztwo okazuje się w praktyce wyłącznie sb-rządnością i sb-władztwem.

OSOBY:

Danuta Redka - matka (była internowana)

Marek Redka - syn (skazany na 2 lata w zawieszeniu i 200 tys. zł grzywny)

Hubert Redka - syn (postępowanie w toku)

Jolanta Redka - córka (postępowanie w toku)

Mirosława Redka - córka (postępowanie w toku)

Adres zamieszkania: 22-400 Zamosc, ul. Listopadowa 10

Danuta Redka pracuje w ZPO "Delia" w Zamościu od ponad 14 lat. 13 grudnia 1981 została internowana. Po zwolnieniu z obozu internowania wróciła do pracy. Od tego momentu rozpoczęło się szykanowanie przez SB - wzywano ją lub zabierano z pracy czy z domu do KUSK w Zamościu na wielogodzinne przesłuchania (np. przez kpt. Andrzeja Bąka i Wyrostkiewicza). Próbowano ją zastraszyć, aby nie podejmowała dalszej działalności w "Solidarności", bo zostanie poddana ostrym represjom. Grożono jej m.in., że jeżeli w jej zakładzie pracy cokolwiek się stanie, na przykład będzie strajk czy akcja ulotkowa, to ona właśnie zostanie posądzona o współudział. Próbowano wymusić na niej zobowiązanie do współpracy, nakłaniali ją do tego m.in. w/w kpt. Andrzej Bąk i Wyrostkiewicz. Danuta Redka oświadczyła, że na żadną współpracę nie pójdzie, chce żyć spokojnie i uczciwie. Straszono ją nadal: będzie miała duże trudności w pracy i życiu osobistym, ma dzieci, którym łatwo można zaszkodzić.

Na spełnienie gróźb funkcjonariuszy SB nie trzeba było długo czekać. 11 listopada 1982 roku Danuta Redka została dyscyplinarnie zwolniona z pracy za udział w akcji protestacyjnej.

Zgodnie z wcześniejszymi apelami TKK NSZZ "Solidarność" 10 listopada 1982 akcja taka została zorganizowana w ZPO "Delia" na wydziale "Kalina", na którym pracowała. Tego dnia po przerwie śniadaniowej o godz. 9⁴⁵ pracownicy wrócili do swoich stanowisk pracy. Punktualnie o godz. 10⁰⁰ na wydziale "Kalina" zapanowała cisza, wszystkie maszyny zostały wyłączone. Mistrzyni Irena Soboń powiedziała, żeby kobiety wzięły się do pracy, a żadna nie włączyła maszyny. Mistrzyni zadzwoniła do swojego przełożonego Banacha. Telefon odebrała pani Żurek,

której Soboci oznajmiła, że na zespole "Kalina" podjęto strajk. Na hali pojawiła się dyrektorka i sekretarz POP Henryk Daniłuk. Rozkazano pracownikom, aby natychmiast podjęły prace - kobiety przyjeły to milczeniem. Wówczas wpadł z krzykiem dyrektor naczelny Henryk Michałkiewicz: "Wziąć się do roboty, bo winne zostana natychmiast zwolnione dyscyplinarnie z pracy, my już wiemy, kto jest organizatorem tej akcji".

"Tygodnik Zamojski" z dn. 26 listopada 82 zamieścił artykuł pt.: "Dlaczego przerwały pracę", w którym podano, że strajk trwał zaledwie 5 minut i zakład wykonał w tym dniu 105,4% dziennej produkcji. Była to informacja kłamliwa. Akcja podjęta w rocznicę zarejestrowania NSZZ "Solidarność" w ramach ogólnokrajowego strajku generalnego w proteście przeciwko rozwiązaniu "S" trwała od godz. 10⁰⁰ do 14⁰⁰, a także następnego dnia, gdy zwolniono dyscyplinarnie z pracy Danutę Redka.

W dniu 10 listopada 82 natychmiast po rozpoczęciu strajku SB zabrała Redka do gabinetu dyrektora, gdzie oznajmiła jej, że istnieje dowody jej winy, są świadkowie, że to ona zorganizowała strajk. Milczała. Przewieziona do KUSB i przesłuchiwana zachowywała się tak jak podczas pierwszego w tym dniu przesłuchania w pracy - milczała cały czas. Funkcjonariusze SB oświadczyli, że wobec tego zostanie zwolniona dyscyplinarnie z pracy, a na przeciw jeszcze dwoje dzieci na utrzymaniu i to przy zarobkach wynoszących zaledwie 12 tys. zł miesięcznie.

Z dniem 11.11.1982 rozwiązano z nią umowę o pracę bez wypowiedzenia. Wniośna pozew o przywrócenie do pracy.

Sprawa nr ZSKO-428/402/292/82 z wniosku Danuty Redka p-ko Zakładom Przemysłu Odzieżowego "Delia" w Zamościu o przywrócenie do pracy z powodu rozwiązania umowy o pracę w trybie natychmiastowym, przyczyna zorganizowania strajku 10.11.1982 rok.

Wypowiedzenie umowy o pracę: Z dniem 11.11 1982 roku Ob. Danuta Redka zam. Zamość ul. Listopadowa 10 rozwiązuje się z Dyrektorką umowę o pracę z dn. 11.11 1982 roku bez wypowiedzenia z powodu ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych, tj. a) kłócenia porządku i spokoju w miejscu pracy - przyczyna strajku w dniu 10.11.82 rok. Podstawa prawna: art. 52 par. 1 pkt 1 KP. Pieczęć z napisem Zakłady Przemysłu Odzieżowego "Delia" w Zamościu. Podpisana ds. ds. Produkcji mgr Stefania Gąsiorowska.

PROTOKÓŁ Z ROZPRAWY (fragmenty)

Terenowa Komisja Odwoławcza ds. Pracy w Zamościu - sprawa z wniosku Danuty Redka p-ko ZPO "Delia" w Zamościu o przywrócenie do pracy.

Odpowiedź na wniosek Danuty Redka: Dyrekcja ZPO "Delia" w Zamościu nie uznaje wniosku Danuty Redka, ani nie widzi możliwości polubownego zakończenia sprawy - uzasadnienie: art. 14 dekretu o stanie wojennym (Dz. U. nr 22 poz. 154 z 1981 roku) zawiera prawo do strajku i akcji protestacyjnych i brania udziału w strajkach traktując to jako ciężkie naruszenie obowiązków służbowych. Nieoskodażycy przystępując i biorąc udział w strajku dopuścili się tego naruszenia, stąd decyzja Zakładu w przedmiocie rozwiązania umowy o pracę pozostaje w zgodności z obowiązującymi przepisami. Pieczęć ZPO "Delia". Podpisana Dyrektorka Henryk Michałkiewicz.

Świadek Stefania Gąsiorowska: - Jestem zainteresowaną wnioskodawczynią i pracji zajmowanego stanowiska. Ja nie składam wniosku o rozwiązanie z pracą wnioskodawczyni. W produkcji pracuje około 600 osób, wszystkich nie znam. Dnia 10.11.82 roku byłam na zespole "Kalina", gdzie pracuje 60 osób, było to po 10 minut po godz. 10⁰⁰. Zauważyłam, że maszyny były wyłączone. Pracują tam kobiety, o ile zauważyłam, to część kobiet sprawiała karty zarobkowe, a inne odcyślały maszyny. Pierwsza na tym zespole trwa od godz. 9³⁰ do godz. 9⁴⁵. Kilkakrotnie przeszedłam się po hali i zauważyłam, że moja obecność nie spowodowała włączenia maszyn. Zwróciłam uwagę Irenie Turczyni - wtedy nie znam jej nazwiska - dlatego nie pracuje. Osoba ta nie zareagowała - milczała. W sumie z 60 osób pracowało może 6. Po niedługim czasie na halę wszedł dyrektor Michałkiewicz i krzyknął: "Proszę włączyć natychmiast maszyny i pracować". Na hali panował spokój i ład. Kwestia nie znam wnioskodawczyni.

nie moge powiedzieć, co ona robiła. Następnie dochodzenie przeprowadzała Służba Bezpieczeństwa z WUSWJ wspólnie z Komisarzem wojskowym. Chyba na drugi dzień w dyrekcji było zebranie, na którym byłem ja, dyr. Michałkiewicz, kierownik Wydziału Szwalnicy Banach oraz mistrzyni Irena Soboń.

Komisarz wojskowy Michalski poinformował nas, podając nazwisko Danuta Redka, że jest to najbardziej winna osoba, sprawczyni strajku - dokładnie nie pamiętam tego sformułowania. Myśmy notowali to nazwisko i następnie dyrekcja zwolniła tę osobę dyscyplinarnie. Około 10 osób otrzymało kary nagany. W zasadzie cała dyrekcja brała udział w decyzji o zwolnieniu. Dodaje, że dnia krytycznego byłem na hali tylko 5 minut. Trudno mi powiedzieć, czy to był strajk. Danuta Redka z nazwiska znam dlatego, że działała w "Solidarności". Nie mam nic do zarzucenia tej pracownicy, była bardzo dobrym pracownikiem.

Protokół z posiedzenia dn. 1.02.83 r.

Wnioskodawczyni wyjaśnia: - Nadal popieram mój wniosek i wyjaśniam, że w ZPO "Delia" pracuję ponad 12 lat. Nie byłam karana, a wręcz przeciwnie - do tej pory nagradzana. Ja uważam, że zostałam zwolniona z pracy dlatego, że jestem członkiem NSZZ "Solidarność" i że byłam internowana.

Świadek Teresa Gębala: - Pracuję z wnioskodawczynią. Nie wiem, czy był strajk. Ja wnioskodawczyni nie widziałam, bo od mojego stanowiska pracy odgrasa ją ścianka. W czasie gdy weszli dyrektorzy, ja byłam w palarni. Nie wiem, co mówili.

Świadek Irena Soboń, mistrzyni: - Nie wiem, dlaczego wnioskodawczyni została zwolniona. Nie zauważyłam Danuty Redka na hali. Zresztą na hali pracuje 60 osób; trudno, żebym każdego widziała. Dnia krytycznego około godz. 10.15 telefonicznie powiadomiłam z-cę kierownika panią Żurek, powiedziałam: "Pani Elu, coś się dzieje, ludzie nie pracują, chyba jest strajk". Na hali pojawiła się z-ca kierownika pani Żurek z dyr. Stefanią Gąsiorowską i sekretarzem POP Henrykiem Danilukiem. Gdy weszłam na halę, była idealna cisza; gdy maszynę pracującą, jest wielki szum. Nie rozmawiałam dnia krytycznego z wnioskodawczynią. Gdyby jednak wnioskodawczyni nie pracowała, bo np. nie miała co robić, winna wykonywać inne operacje. Zaznaczam, że wnioskodawczyni brała udział w strajku w 1980 roku w lipcu i wrześniu, w roku 1981 w styczniu, marcu i październiku. Za ten okres nie wyciągnięto od wnioskodawczyni żadnych konsekwencji. Gdyby nawet pracownicy sprawdzały odcinki kart dot. naliczanych poborów, to zajęłoby to im 5-10 minut. Do tej pory wnioskodawczyni nie była karana.

Danuta Redka, wnioskodawczyni - popiera swój wniosek i oświadcza, że przeciętnie zarabia 12.950 zł bez rekompensaty, na siebie otrzymywała rekompensatę w wysokości 1.160 zł, na syna 1.560 zł z rodzinnym. - Wnoszę o przywrócenie do pracy na poprzednich warunkach pracy i płacy i zasądzenie odszkodowania na okres pozostawania bez pracy. Nadmieniam, że nie posiadam żadnego majątku ani gospodarstwa rolnego. Jestem jedyną żywicielką syna i córki.

Terenowa Komisja Odwoławcza d/s pracy w Zamościu wydała orzeczenie nakazujące przywrócenie Danuty Redka do pracy na poprzednich warunkach.

Dyrektor ZPO "Delia" w Zamościu Henryk Michałkiewicz - wnosi o oddalenie wniosku Danuty Redka.

Odwołanie ZPO "Delia" dn. 15.04.1983 r.: ŻPO "Delia" w Zamościu ul. Prosta 1 nr sprawy ZSKO-428/204/292/82 Zamość 15.04.1983 r. do X Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie za pośrednictwem Terenowej Komisji Odwoławczej ds Pracy w Zamościu 15.04.83 w sprawie wniosku Danuty Redka o przywrócenie do pracy w ZPO "Delia" w Zamościu. Zarzucając błędną ocenę okoliczności faktycznych przyjętych za podstawę zaskarżonego orzeczenia wnoszę o:

- 1/ uchylenie wydanego orzeczenia i utrzymanie w mocy decyzji zakładu pracy odnośnie rozwiązania umowy o pracę z Danutą Redką,
- 2/ przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia Terenowej X Komisji Odwoławczej ds Pracy w Zamościu.

Uzasadnienie: Dnia 11.11.1982 r. ZPO "Delia" w Zamósie rozwiązały umowę o pracę bez wypowiedzenia z Danutą Redką z powodu ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków służbowych - zakłócenie porządku i spokoju w miejscu pracy poprzez udział w strajku w dniu 10.11.1982. Rok od decyzji zakładu pracy wnioskodawcy wnosi o przywrócenie do pracy w ZPO "Delia" na poprzednich warunkach pracy i płacy. Orzeczenie jest nieustanne i pozostaje w sprzeczności z zebranym materiałem dowodowym. Komisja rozpoczynając sprawę nie wzięła pod uwagę albo też zupełnie pominięła cały szereg ważnych spraw dla tej okoliczności. Bez racji jest także pogląd Komisji, że nie było uzasadnienia do rozwiązania umowy o pracę z wnioskodawczynią Danutą Redką, bo jest bezspornym, że brała udział w strajku (w załączeniu pismo XII KW MO w Zamósie) dnia 10.11.82 roku.

Treść pisma z KW MO. Główną inspiratorką strajku była Danuta Redka wymieniona osobście przez pracownicę Krystynę Wieliczko, Turczyn Irena, Kitka Halina. Raktaniata te pracownice, jak osobście zeznały, do przerwania pracy w tym dniu. Dnia też 10.11.82 po przerwie śniadaniowej pracownice zespołu "Kaltna" podjęły pracę, a dopiero o godzinie 16⁰⁰ przerwały ją wyłaczając maszyny. Te nieliczne, które pracowały, udało się bez trudu zidentyfikować mistrzyni i brzygadziście. Ich nazwiska podane są w notatce sporządzonej w zakładzie dnia 10.11.82 i dołączone do akt sprawy. Wszystkie pracownice, w tym również wnioskodawczyni, pracę przerwały i nie podjęły jej mimo nalegań mistrzyni i przybyłej na halę celowniką i przemysłowym amiatorem przerwania pracy i nie kontynuowania jej mimo kierowanych do pracownic apelii.

Ponadto z zeznań świadków praestuchiwanych nie wynika, aby w dniu 10.11.1982 roku bezpośrednio po przerwaniu śniadaniowej Danuta Redka pracowała. Pogląd Komisji w tej mierze jest błędny i nie znajduje odbicia w zebranym materiale dowodowym. I tak np. dyrektor Gasiorowska i mistrzyni Irena Sobon zeznały początkowo, że nie ałaty Danuty Redka lub jej nie zaważyły. Teresa Gabela - że nie wie, czy Danuta Redka pracowała, a dyr. Michałkiewicz kategorycznie stwierdził, że po wejściu na halę stwierdził, że wnioskodawczyni nie pracuje. Sama zeznała Danuta Redka wyjaśniała, że: "Gdy uszedł dyrektor na halę, ja byłem przy swojej maszynie, ale nie pracowałam". W tej sytuacji problem, czy wnioskodawczyni pracowała, czy też siedziała przy wyłaczanej maszynie, nie powinien budzić żadnych wątpliwości, natomiast sam fakt bezczynności obciąża ją. Nie jest tu żadnym nawet usprawiedliwieniem, nawet gdyby wnioskodawczyni tłumaczyła się brakiem pracy, jej obowiązkiem byłoby wówczas zwrócić się do brzygadziści o przydzielenie jakiejś pracy. Praktyka taka, a nawet obowiązek zgodnie z obowiązującymi przepisami zarobiania się do przetworzonych o przydzielenie pracy zastępczej w naszym zakładzie istnieje, a więc wnioskodawczyni, jako długoletni pracownik i były działacz Samorządu Pracowniczego, musiała o tym wiedzieć, stykając się niejednokrotnie z będącymi na każdym zespole kartami postojów oraz trybem postępowania w przypadku braku pracy. Niezgodne z materiałem dowodowym jest także stwierdzenie Komisji jakoby dyr. Gasiorowska zeznała, że nie zna nawet Danuty Redka. Świadek Gasiorowska zeznała bowiem, że zna wnioskodawczynię jeszcze z czasów, gdy działała w "Solidarności", a tylko 10.11.82 nie wzięła na nią uwagi. Tak samo Irena Sobon zeznała, iż nie wie, czy wnioskodawczyni strajkowała, ale w dalszej części zeznała, że w zamieszaniu, jakie zaistniało po godz. 16⁰⁰, nie zwracała uwagi na Danutę Redką, której stanowisko pracy znajduje się na końcu hali. Należy wziąć pod uwagę to, że ob. Gasiorowska i I. Sobon nie składały wyjaśnień w obecności Danuty Redka, przyjmując ich zeznania z innej sprawy, a równocześnie nie wzięto pod uwagę zeznań Krystyny Wieliczko przy rozpoznaniu sprawy. Jeżeli Komisja miała wątpliwości, to mogła zwrócić o złożenie wyjaśnień pracownika KW MO w Zamósie i komisarza wojskowego, którzy współuczestniczyli w wyjaśnianiu sprawy strajku w ZPO "Delia". Błędny jest zastosowanie art. 52 par. 1 KP

prawy uasadnieniu decyzji o przywrócenie do pracy wnioskodawczyni, gdyż jedynie trafnym jest artykuł 14 Dekretu o stanie wojennym. Nadsłania się, że zespół "Kalina", na którym pracowała Danuta Redka, był najbardziej aktywnym dalaem od poczatków zalozenia "Solidarnosci", uradzania akcji protestacyjnych takich jak strajki, akcje protestacyjne i-majowe i z własnej inicjatywy (lipiec 1980). Stad tez forma przyzejta wg wskazówek i inspiracji osób, ktorým tad i porządek w kraju nie odpowiada. W tych warunkach uznanie przez Komisje dokonanege rozwiązania umowy o prace z Danutą Redka za beaskuteczne oraz sprzeczenie z Dekretem o stanie wojennym i interesami Zakladu, ktorzy nie ma możliwości podjecia skutecznej decyzji o tym, kogo ma zatrudnić i na jakich stanowiskach, w odczuciu zalogi stanowić moze zachete do podobnych poczynań w przyszłości. Pieczęć zakladu ZPO "Delia" w Zamościu, podpisał dyrektor Henryk Michalkiewicz.

Notatki sluzbowe przedlozone przez dyr. Henryka Michalkiewicza w sprawie o przywrócenie do pracy Danuty Redka:

1/ Pismo kierownika Działu Zatrudnienia i Plac - Danuty Splewińskiej (-zam. 22-400 Zamość, ul. Orzeszkowa 13/59, aktywny członek partii, szczególnie dala się poznać od 1980 roku i w czasie stanu wojennego; brała udział w nocnych dyżurach, pilnowała osób zwolnionych z internowania i innych członków NSZZ "Solidarność" zbierając na ich temat informacje i donosząc do dyrekcji zakladu i do WUSW w Zamościu; obecnie zatrudniona w Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelar-skiej; gdzie pełni funkcje glownego księgowego; przeniosła się z ZPO "Delia" wskutek braku prestiżu i zaufania wśród zalogi, jej obecne pobory siegają 35 tys. zł)

Zamość 14.03.1983 r. Niemożliwością jest, nawet gdyby tego chciala Danuta Redka, tłumaczenie się tym, że w tym czasie zajmowała się np. obliczaniem kart zarobkowych, z ktorých wynikałoby, że istnieją jakieś pomyłki i jest to nieuzasadnione, gdyż karty zarobkowe pod moim nadzorem są podliczane prawidłowo i o sobiście na rok 1982 kontrolowałam.

2/ Teleks dnia 11.03.83 r. nr P-174/83: Dywersyjne rozgłoszenie zachodnie kontynuują wroga propagandę instruktażowa, np. 7.03.83 nawoływały robotników do stosowania taktyki "permanentnego strajku" polegającego na bojkotowaniu zarządzeń władzy, bierności produkt-eyniejszej i angażowaniu się w działalność podziemną. Nadal zaleca się bojkotowanie nowych związków zawodowych i PRORu. Te same rozgłoszenie zalecają także organizowanie przez grupy członków byłej "Solidarności" wacji dla aktorów odmawiających współpracy z radem i telewizją.

Orzeczeniem TK d/s Pracy w Lublinie ob. Danuta Redka została przywrócona do pracy. Jednak z chwilą zgłoszenia się do pracy została przeniesiona na inny wydział ("Ewa"), inną zmianę oraz otrzymała mniejsze wynagrodzenie i trudniejszą pracę (stojąca). Pozostawała bez pracy i środków do życia od 11 listopada 1982 do 14 lipca 1983, czyli przez 9 miesięcy, będąc jedyną żywicielką córki i syna.

Ponieważ szykanowanie nie dala pozytywnych rezultatów i nie zalamało jej, zata - jak to oblicali funkcjonariusze - zaczęto interesować się jej dziećmi: Markiem, Hubertem, Jolantą i Mirosławą.

MAREK REDKA, syn Danuty Redka, lat 24, uczeń Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Zamościu. Przez dwa lata posiadał w agencji młyn-gospodarczy, ale wskutek bardzo dużych podatków musiał młyn zbyć. Z dochodów młyna nie był w stanie spłacać podatków, opłat za światło itp. Kontynuował jednak naukę w liceum, pracując w sektorze prywatnym do chwili ukończenia szkoły. Wielokrotnie był ścigany przez SB i zatrzymywany bez nakazu prokuratora. Nachodzone go zarówno w szkole, w mieszkaniu jak i w mieszkaniu jego narzeczonej Joanny Garońskiej. Ewenementem była jedna z wielu rewizji z nakazem na jego nazwisko (dnia 29 sierpnia 1984). Przywieziono go wówczas do WUSW, gdzie bez nakazu prokuratora przebywał w dzieszcie ponad

58 godzin i został pobity przez funkcjonariuszy SB. Podczas tego przesłuchania (tak jak i podczas innych) zarzucano mu, że prowadzi działalność polityczną na rzecz "Solidarności", przy czym grożono biciem, jeśli się do tej działalności nie przyzna. Powiedziano mu: "Takich warcholów jak twoja rodzina do pracy nie będziemy przyjmowali, my to szkatułnicy". W czasie tego przesłuchania dwóch funkcjonariuszy SB zwróciło się do niego ze słowami: "Zaraz ciebie zaprowadzimy do prokuratora, to dostaniesz sankcję, 4 lata będziesz gnął w więzieniu, my to możemy zrobić" oraz: "Ty kurwa, nie pieprz, że, nie wiesz, o co chodzi". W czasie przesłuchań Marek milczał, zaś funkcjonariusze krzyczeli na niego, w wulgarny sposób eskalując jego rodzinę i narzeczoną. Jeden z funkcjonariuszy SB podniesionym głosem wykrzykiwał: "Ty huju jabany, co ty pieprzysz, jak ci przypierdolimy, to nikt cię nie pozna", lub: "Zagodzię się z tobą obchodzimy, bo nie jesteś kryminalista", czy: "Ty huju nie wyjedziesz nigdy nawet do Czechosłowacji i naszych braci zza Buga". Słyszała to również siostra Marka Mirosława, zatrzymana także w tym dniu przez SB. Ponadto tego samego dnia zatrzymano też jego narzeczoną Joannę Garońską, której oświadczono, że jeżeli będzie utrzymywała znajomość z tą rodziną lub jeżeli coś powie o tym, o czym rozmawiano w WUSW, będzie miała do czynienia z WUSW i może mieć duże kłopoty. Kiedy usłyszał głos zatrzymanej Mirosławy wybiegła na korytarz, została brutalnie uderzona drzwiami i wepchnięta do środka.

Przesłuchanie Marka trwało do godz. 16³⁰, po czym osadzono go w areszacie WUSW, w brudnej, cuchnącej celi. Pośrodku stał kubeł napełniony fekaliami. Nie dano mu materaca ani koca, siedział na cementowej podłodze (kiedy zabierano go z domu nie pozwolono mu się ubrać i wziąć ciepłego swetra). Następnego dnia ponownie próbowano go przesłuchiwać i namawiano do ujawnienia się. Marek odpowiedział, że nie poczuwa się do żadnej winy, nic nie ukradł ani nikogo nie zabił. Wówczas funkcjonariusze SB zaczęli krzyczyć: "Twardy jesteś, dumny, ale my nie takich mieliśmy cwaniaków i poradziliśmy sobie z nimi, a ty młody, głupi jesteś". Pokazano mu ulotki o treści antywyborczej mówiącej: "Są twoje, bo są tu odciski palców, a ponadto jest jeszcze wiele innych dowodów przeciwko tobie". Warto zauważyć, że wcześniej nie pobierano od Marka odcisków palców. Oznajmiono mu, że są dwaj świadkowie, którzy powiadczą, że rozrzucił ulotki. Jeden z przesłuchujących powiedział: "Widzę, że się już zamiesz, nie rób z siebie bohatera, męczennika i tak nikt tobie nie pomoże, nie jesteś znany jak inni działacze "Solidarności", o tobie nikt nie wspomni, zgnijesz". Marek milczał. Funkcjonariusz krzyknął: "W jakiej organizacji skurwysynie składałeś przysięgę, niech go wyprowadzą, bo już nie panuje nad sobą, zaraz zabije". Przesłuchanie trwało bardzo długo, po czym Marka wprowadzono do celi, by za chwilę ponownie wyprowadzić, nie informując dokąd i w jakim celu go prowadzą. Został wpuszczony do jakiegoś pokoju obok celi - jak się okazało - celem okazania. Wprowadzono jeszcze dwóch aresztantów i wyznaczono Markowi miejsce, na którym ma stanąć. Następnie wprowadzono funkcjonariusza MO, który już w momencie otworzenia drzwi wskazał na niego, mówiąc: "To ten". Wyglądało to tak, jakby funkcjonariusz już wcześniej wiedział, na kogo ma wskazać i co ma powiedzieć. Funkcjonariusz ten zeznał, że w odległości 5-7 metrów od niego ten mężczyzna rozrzucił ulotki, a następnie odszedł spokojnym krokiem. Po konfrontacji funkcjonariusze SB ponownie kazali Markowi ujawnić się i przyznać do rozrzucania ulotek, bo przecieże i tak mają przeciwko niemu świadków. Marek nadal nie przyznawał się, natychmiast wyprowadzono go ponownie z celi na kolejną turę przesłuchania - trwało ono do późnych godzin nocnych i miało przebieg podobny do poprzednich. Grożono Markowi: "Wpierdolić SB umie tak, żeby nie było znaków, wszystko powiesz o rano, co zechcemy. Cwany jesteś, ale my nie dajemy za wygraną".

Następnego dnia, tj. 31 sierpnia 1984 ponownie zaprowadzono Marka do pomieszczenia, w którym odbywało się pierwsze okazanie i znowu kazano mu stanąć w ściśle określonym miejscu. Tego dnia rozpoznawał Marka inny funkcjonariusz MO, który również zrekomo go widział podczas rozrzucania ulotek. W ten sposób znaleźli się drugi świadek, który świadczył przeciwko Markowi.

Tego dnia, tak jak poprzednio, używano wulgarnych słów, krzyżano, straszono biciem i grożono zemstą na całej rodzinie. Padły groźby pod adresem siostry Marka z wymianką jej imienia: Mirosława. Jeden z przesłuchujących, kpt. Andrzej Bak, powiedział: "Twoja siostra jeszcze mnie popamięta, ja ja urządzię, policzę się z nią". Podczas tego właśnie przesłuchania Marek usłyszał od przesłuchujących go funkcjonariuszy, oprócz gróźb i wyzwisk, wiele anegdot na temat Żydów i milicji. Nie wiadomo, w jakim celu mu je opowiadali. W trakcie przesłuchania został uderzony w słoń i głowę. Kilkanaście minut po tym uderzeniu kazano Marka zwolnić. Przed wyjściem wręczono mu wezwanie nr 3.69.84. Przesłuchanie dnia 31 sierpnia było najdłuższe - od 11⁰⁰ do 21³⁰ bez przerwy, zaliczali się tylko funkcjonariusze SB. Pozbawiono go wówczas obiadu i kolacji. Tuż przed wyjściem oznajmiono mu, że może nie dojść do domu, bo może mu się np. przydarzyć jakiś wypadek lub może być ponownie zatrzymany na 48 godzin "i tak może być ciągle". W drodze powrotnej towarzyszył mu esbek, a obok jechała wołga milicyjna. Funkcjonariusz idący obok oświadczył Markowi: "Idę z tobą, bo jestem ciekawy, jak smakuje ci wolność i jak się zachowujesz na wolności".

Skargę na postępowanie funkcjonariuszy WUSW w Zamościu (bezprawne zatrzymanie ponad 58 godzin bez nakazu prokuratora) wysłał Marek Redka do Min. Spraw Wewnętrznych, Prezesa Rady Ministrów i Marszałka Sejmu. Do Prokuratury Generalnej skierował sprawę o pobicie i wulgarnie odnoszenie się do niego podczas bezprawnego przetrzymywania ponad 58 godzin. Prokuratura Generalna przesała skargę do Prokuratury Rejonowej w Zamościu (nr DS 2546/85 z art. 166 i 181 KK). Prokuratura Rejonowa umorzyła "dochodzenie w sprawie gróźb karalnych oraz pobicia z dnia 29-31 sierpnia 84 roku wobec braku do wódw przestępstwa. Uzasadnienie: W oparciu o dokumenty Wydziału Sledczego WUSW w Zamościu ustalono funkcjonariuszy, którzy dokonywali czynności z udziałem Marka Redka. Byli to: Jan Łach, Stawomir Droidz, Stanisław Momet, Ryszard Jedut, Marian Kwapisz, Leonard Skompa, Andrzej Bak. Zaprzeczyli, by ktokolwiek mu ubliżał, groził, uderzył, by groźbą lub siłą wymusił zeznania. Zaprzeczyli także, by do pokoju, w którym przebywali z zatrzymanym wchodziłi inni funkcjonariusze SB lub tylko uchylali drzwi kierując pod jego adresem obelżliwe słowa. Faktom więc podanym przez Marka Redka i jego siostrę Mirosławę nie można dać wiary, gdyż nie zostały one uprawdopodobnione innymi dowodami. Z tych względów sprawę umorzono. Podpisała w-ce prokurator Krystyna Lyp.

Dochodzenie prowadzono niezgodnie z prawem. Nie przeprowadzono nawet konfrontacji Marka z funkcjonariuszami SB przesłuchującymi go w tych dniach w celu rozpoznania funkcjonariusza, który go uderzył oraz innych grożących jemu i jego rodzinie. Marek przypadkowo rozpoznał na ulicy funkcjonariusza SB, który w czasie przesłuchania go uderzył. Był to Jan Łach.

10 czerwca 1985 roku w kościele św. Krzyża w Zamościu na nabożeństwie czercucowym, około godz. 17³⁰-17⁴⁵, do Marka podszło dwóch cywili, których wcześniej nawet nie zauważył, bez słowa wykreśliło mu ręce do tyłu i ciągnąc jednocześnie za włosy wywlekło go z kościoła. Wleczono Marka po schodach aż do bramy dziedzińca. Nikt nie udzielił mu pomocy. Przy braniu udało mi się wyrwać i uciec do zakrystii, gdzie przysjął go proboszcz tej parafii, ksiądz J. Jabłoński. Dopiero w zakrystii zauważył, że buty i spodnie uległy zniszczeniu w trakcie ciągnięcia po schodach. Rozpoznał jednego z napastników, był to funkcjonariusz SB, który uczestniczył w jego przesłuchaniach w dn. 29-31 sierpnia 84. Dnia 10.06.1985 roku skierował skargę do Prokuratury Generalnej (listem poleconym nr 000975) z dopiskiem: *O co tu chodzi, za co wyciąga się ludzi z kościoła? Pracieciz wiedza, gdzie mieszka. Dlaczego nie przyszli do domu? A co z gwarancją konstytucyjną wolności sumienia? Nie mam jednak żadnej gwarancji, że sprawa ta zostanie właściwie rozpatrzona, że nie nastąpią nowe prowokacje, groźby mające na celu zniszczenie naszej rodziny, osadzenie za wszelką cenę w więzieniu za to tylko, że są członkami "Solidarności" i uczciwymi ludźmi, że stowimy za przewrotnością i wolnością sumienia.* Prokuratura Generalna w Warszawie

nie skierowała sprawy na drogę sądową, tak jak domagał się tego Marek.

Wielokrotnie był ścigany przez SB na ulicy, dom był ciągle obstawiony przez nieznanymi osobnikami w cywilu. Podczas jednej z takich obław we wrześniu 1985 funkcjonariusze SB mierzyli do Marka z broni palnej, choć nie zaczęli strzelać. Zakuwano go w kajdanki. Mimo dokonywanych rewizji i zatrzymań nigdy w domu Redków nie znaleziono żadnych śladów prowadzenia działalności politycznej jak presa bezdebitowa itp. 8 października 1985 podczas rewizji zabrano z domu kalendarz "Solidarności" na rok 1985, który znajdował się w widocznym miejscu oraz namalowaną podobiznę Lecha Wałęsy. Przedmioty te (w protokole przeszukania: szt.2) zostały włączone do sprawy jako jedyne dowody rzeczowe.

21 października 1985 w sklepie spożywczym "Jubilat" w Zamościu dwaj nieznanymi cywile podeszli do Marka i przyciskając go do lady zażądali dowodu osobistego, sami nie legitymując się. Chcieli, aby udał się z nimi do stojącego w pobliżu samochodu. Podeszło jeszcze dwóch cywili i trzech funkcjonariuszy MO. Siłą wyprowadzono Marka ze sklepu i przewieziono do gmachu WUSW ul.Lenina 2.

Prokuratura Rejonowa w Zamościu przysłała zawiadomienie o aresztowaniu Marka Redka podejrzanego o rozpowszechnianie ulotek i nawoływanie do strajków, tj. o czyn przewidziany w art.282a par.1 art.45 ustawy z dn.26.01.84 r. Zastosowano postanowieniem z dnia 23.10.85 roku areszt z uwagi na to, że podejrzanemu zarzucono znaczny stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu (nr sprawy - akt 2408/85/S). Marek w areszcie odmawiał zeznań. Oskarżony o to, że w okresie od kwietnia 1984 do października 1985 kolportował ulotki "nawoływające do niepokoju publicznego i bojkotu wyborów" wyrokiem Sądu Rejonowego w Zamościu skazany został w marcu 1986 na 2 lata w zawieszaniu i 200 tys. zł grzywny.

HUBERT REDKA, syn Danuty Redka, brat Marka, lat 22. Zatrzymany podczas rewizji dokonywanej w domu 8 października 1985 i przewieziony do WUSW, przetrzymany od 6¹⁵ do 16¹⁵. Podczas przesłuchania wrzeszczano na niego: "To już niedługo pęknie, zgarniemy całą rodzinę, a gdzie ukrywa się brat. Marek?" Milczenie Huberta. "A wiesz co to jest ciota - jak posadzimy ciebie z ciotą, to wszystko powiesz. Tobie grozi wojsko, to posiedzisz sobie w kryminalu, a po wyjściu już tobie i twojemu braciśzkowi załatwimy porządną kompanię karną, tam was nauczą moresu, porządku, posłusznosci, odechce się wam działalności. Już niedługo przyjdzie na was kolej".

25.10 1985 otrzymał zawiadomienie o toczącym się przeciwko niemu i jego rodzinie postępowaniu prowadzonym przez WUSW w Zamościu pod nadzorem Prokuratury Rejonowej (nr sprawy DS/2306/85/S).

JOLANTA REDKA, córka Danuty Redka, lat 26, wykształcenie: Pomaturalne Studium Telekomunikacji. Przed wprowadzeniem stanu wojennego pracowała społecznie w tworzącym się oddziale NSZZ "Solidarność" w Zamościu. Pierwszą pracę podjęła w Woj.Zakładzie Transportu Mleczarskiego w Zamościu, biorąc udział w zakładaniu związku NSZZ "Solidarność" na terenie zakładu. Po wprowadzeniu stanu wojennego wymuszono na niej zwolnienie się z pracy. Znalazła pracę w Woj. Ośrodku Sportu i Rekreacji w Zamościu, ale i tutaj wymuszono na niej zrezygnowanie z pracy przenosząc ją wkrótce na inne, mniej korzystne stanowisko. Następne próby podjęcia przez nią pracy nie powiodły się, odmawiano zatrudnienia jej, nie podając nawet przyczyn, mimo że były wolne miejsca. Jolanta nadal poszukiwała pracy, wydawało się, że znalazła ją wreszcie w Woj.Spółdzielni Spożywców, której prezesem jest były prezydent m.Zamościa Piskorski. Podczas wstępnej rozmowy, gdy powiedziała, że nazywa się Jolanta Redka, prezes Piskorski zapytał, czy jest córką Danuty Redka, tej internowanej, dodając, że o pracę niech się dowie za dwa dni, bo on musi sprawdzić dane osobowe w "pewnej instytucji", jak sam to określił. Jolanta zgłosiła się na drugi dzień - odmówiono jej zatrudnienia, "gdyż nie zatwierdzono jej kandydatury". Do chwili obecnej nie może znaleźć pracy i jest na

utrzymaniu matki. W 1985 roku złożyła wniosek o wyjazd do Rumunii, nie otrzymała paszportu, a gdy prosiła o wyjaśnienie, szef Biura Paszportowego osobiście zaprowadził ją do z-cy szefa WUSW w Zamościu, niejakiego Portko, gdzie oznajmiono jej, że paszportu do Rumunii i innych krajów demokracji nie otrzyma, bo jest "agitatorką i organizatorką strajków". Nigdy wcześniej nie prowadzono przeciwko niej dochodzenia i nie miała żadnych konfliktów z prawem. Jest nadal szykanowana. Wielokrotnie zabierano ją z domu do WUSW, przetrzymywano. Ostatnie zatrzymanie miało miejsce 8 października 1985 od godz. 6¹⁵ do 16¹⁵, w jego trakcie grożono wyniszczeniem całej rodziny. Dnia 25 października 1985 otrzymała zawiadomienie o toczącym się przeciwko niej i jej rodzinie postępowaniu prowadzonym przez Wydział Śledczy WUSW pod nadzorem Prokuratury Rejonowej w Zamościu (nr sprawy DS/2306/85/S).

MIROSLAWA REDKA, córka Danuty Redka, lat 29. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece w Zamościu, kontynuując studia w Lublinie (UMSC, V rok bibliotekoznawstwa i informacji naukowej). Od 1.09.80 do 17.01.83 pracowała w Zamojskich Fabrykach Mebli. W listopadzie tego roku miała wyjechać na sympozjum na Węgry. Po załatwieniu wszystkich formalności otrzymała w kadrach informację, że wyjazd jej został wstrzymany z uwagi na to - jak się okazało - że była członkiem "Solidarności". Zaczęto utrudniać jej pracę. Początkowo pracowała zgodnie ze swoim wykształceniem w ośrodku informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej, skąd przeniesiono ją na inne stanowisko do działu technologicznego, bez wypowiedzenia warunków pracy i płacy. Jej obowiązki polegały teraz na roznoszeniu gazet, myciu okien w biurówcu, parzeniu herbaty, pisaniu na maszynie. Była czymś w rodzaju "przynies, wynies, pozamiataj". Zaczęła szukać innej pracy. Znalazła ją w Zakładzie Remontowo-Budowlanym, ale i tutaj dosięgły jej długie ręce SB. Wielokrotnie była zabierana do WUSW. Zarzucano jej, że za dużo rozmawia z robotnikami na tematy zabronione, zajmuje się (czego robić nie powinna) ich sprawami socjalno-bytowymi, szukała nowe związki i PRON twierdząc, że zmusza się ludzi do zaprzęmania. Była wzywana przez dyrektora naczelnego Józefa Sachejko, którego bratem jest porucznikiem w WUSW, na rozmowy pouczające i ostrzegające. Ostatnia rozmowa z dyrektorem była jednoznaczna: "Musisz się pani zwolnić z pracy, bo ja mam polecenie zwolnić panią. Ma pani dwa dni do namówienia."

Zwolniła się na własną prośbę, przez trzy miesiące pozostawała bez pracy i była na utrzymaniu matki. W tym okresie dokonywano w domu rodzinnym rewizji na jej imię i nazwisko oraz zatrzymań. Nigdy nic przy niej nie znaleziono, jedne zakwestionowane przedmioty to dwa obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej oraz kalendarzyk kieszonkowy (w kwietniu 84 r.). Nie stanowiły żadnego dowodu, gdyż jeszcze wówczas nie prowadzono przeciwko niej dochodzenia. Wystosowała skargę do Min. Spraw Wewnętrznych (23.11.84) protestując przeciw bezprawnemu prześladowaniu członków NSZZ "Solidarność" w pracy, nieprzyjmowaniu ich do pracy itp. Po kilku miesiącach ministerstwo udzieliło odpowiedzi, że powyższymi sprawami zajmuje się WUSW w Zamościu pod nadzorem Prokuratury Rejonowej, tak więc skargi są bezpodstawne. Po trzymiesięcznej przerwie w pracy Mirosława zgłosiła się w kwietniu 85 do Woj. i Miejskiej Biblioteki w Zamościu po precyzytaniu ogłoszenia o poszukiwaniu przez tę instytucję pracowników. Podczas rozmowy dyrektor oświadczył, że będzie zatrudniona z dnier 1 maja 1985, ale winna zgłosić się 1 maja i podpisać listę uczestnictwa w pochodzie 1-majowym. Mirosława na pochod nie zgłosiła się. Dyrektor ostro skrytykował jej postępowanie, dodając: "Gdyby nie było nam potrzeba pracowników terenowych, to na pewno bym pani nie przyjął". Dyrektor WIMBP mgr Kazimierz Buczek zawarł z Mirosławą umowę o pracę z dnier 2 maja 1985, ale tylko na okres 2 miesięcy, przyznając najniższe możliwe uposażenie w wysokości 9.200 zł. Umowa o pracę została następnie przedłużona znów (bezprawnie) tylko na dwa miesiące. Wcześniej wszyscy członkowie "Solidarności" w tej bibliotece zostali zwolnieni z pracy albo sami się pod przymusem zwolnili, otrzymując jednocześnie bardzo negatywne opinie.

Ostatnia rewizja i zatrzymanie w WUSW miały miejsce 8 grudnia 1985. Mirosława Redka otrzymała zawiadomienie o toczącym się przeciwko niej i członkom jej rodziny postępowaniu prowadzonym przez WUSW pod nadzorem Prokuratury Rejonowej, o prowadzenie nielegalnej działalności w strukturach NSZZ "Solidarność" (nr sprawy DS-2306/85/S).

opr. A. Zamojski

Klarnet

Wydarzenia i osoby, o których opowiada ten tekst, są fikcyjne. Eventualne podobieństwo do wydarzeń i osób rzeczywistych może być jedynie czysto przypadkowe.

Wchodząc do budki telefonicznej, Pa wie, że dziś jeszcze raz wysłucha, jak to było, kiedy pierwszy raz zamknęli Klarneta.

Kiedy pierwszy raz zamknęli Klarneta, to przyszli do żony. Jeden chodził na czworaka po dywanie i zabawiał synka. Machał grzechotką, wyjął zza pazuchy misia i seplenił:

- Ziobać, cio ci wujcio kupił, misiaćka.

Drugi, na oko szef ekipy, siadł dystygownie przy stole, tym samyr, okrągłym, i tłumaczył:

- Pani jako osoba inteligentna powinna zrozumieć, że byłoby niesprawiedliwością, gdyby mężowi przyszło siedzieć za innych. Mamy w ręce dowody i sprawa jest na tym etapie, że można kierować ją do sądu. Byłoby to jednak niewskazane. Przecież wpiętał się w to przez przypadek. Co on może mieć wspólnego z tymi Żydami? Nie orientował się w ich machinacjach, na szczęście zaczyna już mieć świadomość, że służył im jako narzędzie.

Trzeci, który grzebał w szafie z bielizną, odezwał się wtedy:

- Jeżeli mogę pani szczerze doradzić, a powinienem, bo skończyłem ten sam wydział i jesteśmy właściwie kolegami...

- No wie pan - oburzyła się - tylko nie koledzy. To po to kończył pan studia humanistyczne, żeby grzebać ludziom w bieliźnie?

Bez słowa schował głowę do szafy. Ten na podłodze udawał zajączka: kiwając palcami przystawionymi do czoła kicał po dywanie. Dystygowany przy stole poprawił tylko marynarkę i kontynuował:

- Dziecku potrzebny jest ojciec. Wystarczy, że opowie nam co nieco, kto mu kazał, ile piał. Pani nam pomoże, my pani pomożemy. Będzie pani miała jutro widzenie. Przed zamknięciem śledztwa nie jest to praktykowane, ale dla pani zrobimy wyjątek. Od pani wszystko zależy. Nie powinna pani rozbijać rodziny.

Jeszcze w drzwiach zajączek kiwał palcami jak uszami, a dystygowany odsłaniał w uśmiechu dwa rzędy białych zębów, które, szczerze mówiąc, na młodej kobiecie mogły zrobić wrażenie.

Rano polakierowała paznokcie, pomadką pociągnęła usta i poszła. Klarneta przymknęli wtedy z państwowymi drukarzami. Nosił wówczas długie włosy i jeszcze nie zaczął tyć. Szedł w zaparte. Śledź nic z niego nie wydusił. W celi miał faceta, który ludzi przewalił na miliony i dyrektora z gospodarczej afery. Dyrektorem dzielił się z nim paczkami z domu, w paczkach było dyrektorskie żarcie, palce lizać, a kiedy Klarnet podłączał do żarówki grzałkę z żyletki, czyli buzałę, żeby zaparzyć czaj, dyktorek stawał między nim a drzwiami, plecami zastaniał judasz i machał nogami udając, że froteruje podłogę. Ilekroć Klarnet o tym opowiada, dla lepszego oddania sytuacji staje na filcowych szmatkach i macha nogami raz, dwa, raz, dwa. Klarnetowa podłoga prawie zawsze błyszczycy. Dyktorowi zwierzył się

wtedy Klarnet, że martwi się, czy drukarnia w Zielonce nie wpadła. Po dwóch tygodniach śledź zauważył od niechcenia:

- Pan taki uparty, a my już wszystkich mamy. I tę drukarnię w Zielonce zdaliśmy.

- Że ten kapuś na dole dał się nabrać - odpowiedział Klarnet - to rozumiem, ale że taki inteligentny człowiek jak pan...

Tak mówi Klarnet. Pe wierzy, w każdym razie słucha..

Od tej pory Klarnet miał na przesłuchaniach spokój. Już śledź nie opowiadał, kto ostatnio dmuchał Klarnetowi żonę i kto go sypie. Ci z państwowej drukarni sypali jeden przez drugiego. Po zamknięciu śledztwa Klarnet czytał w ich zeznaniach, że robili dla niego na offsecie okładkę do pechowego dziwiącego numeru, którą sam drukował na sicie. Teraz prowadzili go na przesłuchanie, odmawia pan zeznań, pytał śledczy, odmawiam, mówił, śledczy dla formalności rzucał jedno, dwa zdania: że żona z dzieckiem nie mają co jeść, a ci, którzy zeznali, już wyszli - czy coś takiego - i odprowadzali go do celi. - Ci z doświadczenia zawsze ci dołożą chleba zdrowo - uczy Klarnet, który czuje się profesorem podziemia.

Pe kilka razy pytał Klarneta, skąd wzięła się jego ksywka. Stara ksywka z podwórka, mówił Klarnet. I dopiero po drinku opowiedział, że ojciec grywał na klarnecie i w domu było wszystko. A kiedy zachorował na płuca i nie mógł dąć w instrument, to jedli wodziłankę.

- Wiesz co to wodziłanka? - zapytał Klarnet, popijając w barze whisky.

- Czerstwy chleb zalany wodą i okraszony. Jadem nieraz - odpowiedział Pe maczając wargi w brandy i zrewanżował się pytaniem:

- A chleb po chińsku?

- Polany esencją i pocukrowany.

Na kolejnym przesłuchaniu Klarnet powiedział śledczemu, że jak mu żona każe, to zaczyna zeznawać.

Pierwsze pytanie Klarneta na widzeniu brzmiało:

- Masz co jeść?

- Mam. Pieniądze dostaję wiesz od kogo.

Rozmawiali o tym i owym, śledczy nie przeszkadzał. Na koniec przerwał:

- Wiesz pan, panie Krzysiu, przejdźcie do sedna sprawy.

Klarnet zapytał zatem:

- Mam zeznawać?

- Jak sobie chcesz - powiedziała i zdziwiona wzruszyła ramionami.

Więc Klarnet nie sypał. Powiedział śledczemu:

- Słyszał pan, żona mi nie kazała.

Wyszedł na zmianę środka i do dziś chodzi na papierach bohatera.

Żeby wyszli oni dwaj głodowało kilkunastu pisarzy, naukowców, nawet prawdziwych robotników ze dwóch, co miało wtedy swoją wagę i jeden Wegler. Nazwisko Klarneta potężniało w eterze. Robotnik, który drukował książki. Męczennik za wolne słowo. Listy z moralnym wsparciem przysłał doradca prezydenta i autor książki, przy drukowaniu której wpadł, nota bene szef wrażeń rozgłośni. Nazwisko, tak niearystokratyczne, że nie mogło być przybrane, bez podejrzanego końcówki "szajn" czy "baum", w oczywisty sposób ludowe, tą jedną krótką odśiadką wdarło się do historii. Odtąd jego życie to było na przemian ryzyko i bankiet. Pisarze jako łącznicy biegali do niego z matrycami i stawiali mu whisky. Polubił zwłaszcza tę markę "Haig".

Ula poznała Klarneta u Michała, kiedy pojechała odebrać pieniądze.

Króciła i mówi:

- Ja się posikam. Wchodzę, tam tłum, jak to w biurze, a facet w jasnym garniturku, opalony, zadowolony z życia, taki pączuszek pachnący old spicem, w jednym zdaniu zdradza dziesięć tajemnic konspiracji. Zaraz pomyślałam: ani chybi Klarnet.

Zgadza się: to był Klarnet. Pe przypomina to sobie, kiedy telefonuje do Klarneta z dołu, z kawiarni, więc uśmiecha się do słuchawki.

- Wchodź na górę - rozpoznaje głos Klarneta - wstawiam wodę na herbatę.

Na górze żona Klarneta siedząc przy stole tak, żeby było widać jej szczupłą nogi, wąskie w kolanach i kostce, i włoskie buciki ze zrzutów, dolewa wódki przyjaciółce, która rozeszła się z mężem wkrótce potem, jak wyszli z interny i nis znalazła nikogo, kto mógłby go zastąpić. Pod ścianą teściowa z babcią patrzą w telewizor.

- Tobie nie należą, bo prowadzisz - mówi Klarnet i nalewa sobie.

- Mamy jechać - przypomina Pe.

- Mnie jeden nie zaszkodzi.

Przyjaciółka żony o polityce coś mówi. Co powinien robić kościół, a co opozycja. Klarnet przerywa:

- Jak mnie zamknęli...

Czterech ludzi z byłej firmy Klarneta, z którymi wypił niejedną porówkę, siedzi od kilku miesięcy. Wzięli ich sprzed drukarni w Głodominie. Esbecja zabrała stamtąd co najmniej tonę wydruku, chłopcy mieli kłopoty z wywozem. Ten, który zgłosił się kiedyś do Klarneta, że chce pomóc, szarpie już w więzieniu czwarty miesiąc głodówką, karmiony przymusowo rurą do żołądka i nikt o nim nie mówi. Jego nazwisko padło przed chwilą przy stole i zrobiła się cisza.

- Rozmawiałem z Mefisto o tym, żeby coś zrobić - Klarnet na to - ale na niczym się skończyło.

Po cholere on rozmawia z Mefisto, myśli Pe, kiedy sam ma nowiutkiego AB Dick'a ze zrzutów, jeszcze w folii. Trzy lata trzyma go w jakiejś piwnicy, nie wydrukował na nim ani ćwierć ulotki. Rozgląda się tylko za kupcem, z którego za białeczko, szybkie, to prawda, wydusiłby jak za offset. I kombinuje, ile wyciągnie za znaczki, które wytłucze na sitku. Ma już projekt: orzeł w koronie cierniowej z drutu kolczastego. To białko chciał kupić Pe, po wpadce drukarni, kiedy gorączkowo szukał nowych możliwości. Zaproponował spłacenie ratami, ale Klarnet postawił sprawę krótko: gotówka. Mógłby wyjąć to białko i stuknąć ulotki. Gdyby to był dawny Klarnet, to już ulotki leciałyby z dachów. Ale to jest Klarnet dzisiejszy: otyły, wygodny i głodny dobrobytu - kafelków, sprzętu hi-fi, video, szafy z "Cepe-iii" i dębowej klepki.

Pe spogląda na przyjaciółkę żony Klarneta. Po wódce ma nadal smutne oczy. Głodowała za Klarneta i włącza się do każdej głodówki za tych, co siedzą. Następnej też nie opuści. Pe myśli, że kiedy spadnie, bo wcześniej czy później spadnie, to też będzie sam, z wyjątkiem kilku osób najbliższych, a może tylko jednej. Nie będą leciały ulotki z dachów, nie będzie szumu.

- Przyzwyczailiśmy się - mówi - co i raz kogoś wsadzają, ludzie bez przerwy idą siedzieć, wychodzą i tak na przemian. Ciągłe kroś głoduje, traci zdrowie i nic to nie daje. Chyba istotnie trzeba będzie podpalić się pod komitetem.

I przypomina sobie, co mówił Bezdłonnik:

- Gdyby zaczęto nas rozstrzeliwać, ludzie też by się przyzwyczaili.

- A pamiętasz - mówi żona Klarneta - jak wszystko się zaczęło. Podawali wszędzie adresy ludzi z opozycji i ja zobaczyłam, że Marek mieszka po sąsiedzku. Poszłam, nie zastałam go, ale powiedziałam jego żonie, że mój mąż może pomóc. Marek przyszedł do nas o pierwszej w nocy i...

- To ja poszedłem do Marka - ucisza żonę Klarnet.

Dwóch z tych trzech, co teraz siedzą, co teraz siedzą, co teraz siedzą przy okazji interesu z matrycami. Chłopcy jak smoki, akurat tacy jak trzeba do przerwania setek kilogramów wydruku. Jednego z nich rozsądzała energia. I gorycz w nim była: ukrywał się przedtem po strychach i piwnicach z braku mieszkań. A kiedy miał być strajk zaraz po trzynastym, to chłopaki z jego fabryki, co to była fortecą solidarnych, uciekali jak szcury przez płoty, może ze strzytu zostało na strajku. Ten, który szarpie teraz głodówką, uspakajał kumpia. Wpadli cztery miesiące później.

Pe nie mógł przypomnieć sobie, gdzie spotkał wcześniej tego, któremu siła nie mieściła się w klatce piersiowej. Dopiero przedwczoraj ogląda-

Jeś Alben ze strajku w Gdańsku zobaczył nagle w jednym kadrze siebie i tamtego. Stoi gdzieś s tyłu, a ten ten rozmawia z Lechem po swojemu: macha mu przed oczami rękami. Przejechał wtedy do Gdańska z delegacją ze swojej fabryki. Teraz w celi musi czuć się jak tygrys w klatce.

Jeżeli już mowa o strajku, to Klarnet może opowiedzieć o Albercie. Spoczął go po wyjściu z więzienia u tego, z którym razem siedział, a który teraz jest w Paryżu. Bert miał na szyi duży, hippisowski krzyż, na przegubie ręki bransoletę. W rozmowie lubił wtręcać zwroty po angielsku. Od dziesięć lat był korespondentem londyńskiej gazety, pisał od razu po angielsku, myślał w tym języku, nie tłumaczył z polskiego. Zagraniczni dziennikarze mówili do niego po imieniu: Bert, więc oni też mówili do niego: Bert. Robił im publicity zagranicą, co się dla nich liczyło. Pisał foldery, a potem redagował informator o nich w języku angielskim dla zagranicznych korespondentów.

Klarnet zobaczył go na strajku w stoczni. W długim po kolana, luźnym swetrze w stylu Marks, biegał od jednej grupki do drugiej, od robotników do dziennikarzy, od delegatów do doradców, pijany entuzjazmem i - nie ma co teraz tego ukrywać - wódką. Skąd ja brał, nikt nie wiedział, w stoczni obowiązywała ścisła prohibicja. Ale kiedy trwały już rozmowy z rządem atmosfera się rozluźniła, no i przecież nikogo nie rewidowano na bramie.

Pe przerywa:

- Pojechałem do stoczni z L., tym pisarzem, z jedną dziennikarką i jej mężem. Najpierw zajrzeliśmy do mieszkania na Żoliborzu, tam Mecenas, który był potem doradcą, no znasz go...
- ... co mam go nie znać, on mi z tym twoim pisarzem matryce przez płot przynosili. Tłukliśmy biuletyn i był pośpiech, wysłała ich, no znasz ją, i oni przez ten płot...
- ... pojechaliśmy do takiego mieszkania na Żurawiej, gdzie była skrzynka na uczelnię i ja wiedziałem, że tam leży bibuła.
- To musisz Berta pamiętać.
- Nie pamiętam. Puściłem tę bibułę po sali, a tu z prezydium idzie przez megafony na całą stocznice, że tu jakiś podejrzany miesięcznik rozdaje nie wiadomo kto i jak takiego złapią, to za bramę z nim, bo to prowokacja. Bałem się, że mnie w kopach wyniosą ze stoczni. Ale ci robotnicy, co mi pomogli rozdawać, tylko puścili oko. Bibułę dosłownie rozrywali, patrząc: taki jeden w kombinezonie przepisuje w kajecie ołówkiem. Ten z prezydium, co za bramę chciał mnie wyrzucić, okazał się potem wtyczką; po strajku dostał od wojewody przydział na samochód. Podpuścił go ten, co robił w strajku gazetkę, pamiętam pierwszy numer przyniósł, ręce po łokcie w farbie. To robiło wrażenie: tajna bibuła drukowana na oczach sb, w samym środku świata. Na mnie podpuścił, bo zakwalifikował: inna frakcja.
- Pojechałem organizować strajk do F. - wczina się Klarnet.
- Zaprowadzili mnie do fabryki mebli. Wszedłem na mównicę i mówię: trzeba strajk zrobić. Opaski założyli, zamknęli bramy. Miałem przeskoczyć do drugiego zakładu, zwineli mnie pod bramą. Wyglądałem na dołku. Ja z mordą do esbeków: zaraz mnie wypuścicie i jeszcze będziecie przepraszać. Klawisz grzechniutko częstowali papierosami. I z celi zaprosili do służbówki. Opowiadaj, jak jest w Gdańsku, proszą, to opowiadam. Jak był dzwonek do drzwi, znak, że ktoś nowego dowieźli, to odprowadzali do celi, a potem znów prosili do siebie. I pytali: jak ten Lechu wygląda? Zjawili się esbecy z kwaśnymi minami. Przyniesli zwolnienie od prokuratora, bo upomniała się o mnie stocznia. A nie mówiłem, że jeszcze będziecie przepraszać, ja do nich. Przepraszać jeszcze nie przepraszamy. Jak przyszli po mnie trzynastego w nocy, to ja na nich z pyskiem. Byłem pewien, że zaraz cała Polska stanie. Kto jak kto, ale ja nie będę długo siedział. Wyszedłem z internatu ostatni, z czerwoną latarnią w ręce. Odsiedziałem swoje. Bert różne rzeczy dla nas robił, to i owo ułatwił, miał kontakty. Przek

kilka dni nie otwierał nikomu, za drzwiami kompletna cisza. Zapadła decyzja: wyważamy. Dozorcy wzięliśmy i ślusarza. Leżał na maszynie do pisania. Od kilku dni nie żył. Papier był w maszynie wkręcony, czytamy, pisał o nas raport do MSW. I ja tam byłem - chociaż Klarnet - i ja tam byłem, wszyscy byliśmy. To był raport z ostatnich dwóch tygodni. Właśnie go skończył. Podpisał się Ronson.

Za oknem wirują płatki śniegu, na rogu stoi facet z kolorowymi balonami. Przyjaciółka żony Klarneta jest już czerwona po którymś kieliszku i śpiąca. Mówi, że pójdzie spać, zdrzemnie się trochę, a potem będzie pracować.

- Odwieziecie mnie? - pyta.

- Tak, chętnie. - mówi Pe.

- Weź - mówi żona Klarneta i wtyka jej dyskretnie do torby, na sylwestrową noc, butelkę czystej, opróżnionej do połowy.

Wychodzą. Muszą jeszcze dziś pojechać tam, gdzie od trzech miesięcy czeka wydrukowana jedna trzecia książki. Miał to być hit. Ale wpadli ci którzy ją drukowali. A potem wpadli ci, którzy drukowali drugą książkę dla Pe. Poszły dwa dojścia. Nie ma kto skończyć. Klarnet pozoruje, że rozgląda się za czymś, żąda nowych zaliczek i ani myśli rozliczyć się ze starych. Pe zostawił to na potem, bo facet, który miał zrobić trzecią książkę na biało, trzymał powielacz i matryce pół roku, nie zrobił nic i trzeba było szukać innych możliwości. Pe dogadał się z kimś, zawiózł do Borku powielacz i sto pięćdziesiąt ryz, obracał dwa razy, po Nowym Roku ma odbierać wydruk. Tamci, u których już od trzech miesięcy leży wydrukowana jedna trzecia książki, alarmują, żeby to zabrać, albo przywieźć resztę. Starą sprawę trzeba załatwić w starym roku.

- Mam w samochodzie torby - mówi Pe.

- Mogą się przydać - mówi Klarnet.

Pe składa życzenia i całuje w rękę po kolei: żonę Klarneta, teściową i babcię. Jak zwykle myli kolejność. Na dole Klarnet zagląda przez szybę restauracji. Na stołach białe obrusy i półmiski pełne wędlin.

- Szykują stół dla mnie - cieszy się Klarnet.

Dwa dni temu siedzieli w kawiarni, Klarnet zaklinał się, że ta zaliczka już na pewno pójdzie dla drukarzy. Muszą kupić papier, po Nowym Roku ruszą.

- Nikt nie może powiedzieć, żebym komuś był coś winien.

- Mnie to mówisz?

- Z tobą się rozliczę. A oni muszą kupić papier, teraz jest w magazynie.

- Jesteś mi winien już sto plus pięćdziesiąt zaliczek na wydruk plus dziesięć prywatnie plus te, które przejąłeś od Spekulanta za kolportaż i jeszcze te, które zwinąłeś ze skrzynki na Kraków.

- Ale mam przecież dostać od ciebie premię. Była umowa.

- Była umowa, że po skończonym wydruku, tymczasem ty już zdążyłeś premię wziąć potrójnie, a wydruku nie widać.

- Jak nie kupię papieru, to sam sobie będziesz winien.

- Dam po Nowym Roku.

Rozmawiali godzinę, co pięć minut Klarnet zmieniał taktykę: to wymuszał, to grzecznie prosił. Jak dzisiaj Pe da pieniądze, to w przyszłym roku zaleją Warszawę wydrukiem. Wreszcie Pe wyjął portfel.

- To ile mówisz?

- Sześćdziesiąt tysięcy.

- Dam trzydzieści - cedził Pe - ale jak po Nowym Roku nie będzie wydruku, to zaczniesz się święta wojna. Wojna, rozumiesz? To ostatnie pieniądze, jakie ode mnie dostajesz.

- Przecież chciałeś ode mnie jeszcze zszywki dziesiątki, tania ci policzę.

Klarnet złapał banknoty, nie licząc włożył do kieszeni i już się żegnał. No tak, myślał Pe, biegnie do monopolu spłukać stres. Z nazwiskiem jak Zamojski czy Lubomirski musi wyciągać pieniądze od byle kogo. Ciężkie życie.

Dzisiaj Klarnet znów wygląda jak pączuszek w maśle.

- Widziałeś te szwedzkie półmiski? - pyta.
- Widziałem - mówi Pe.

Dziewczyna Pe leży z silną gorączką. Akurat dobrze się składa, nie muszą iść do knajpy ani do znajomych. Kilka dni temu przyjechała żona Jot. W rozmowie napomknęła od niechcenia, że nie będą robić Sylwestra. Pe wie, że w domku Jot będzie się bawić rodzina i Magda ze Zszywką, którzy siedzieli razem z Jot po tamtej wpadce i Przemyslnik, który podejmie każde ryzyko dla wartości zrozumiałych, ale ułotka palce mu parzy i na widok Pe błędnie, i Duruś, który wysypał drukarnię n Jot. Cała rodzina Jot w komplecie. Żona Jot bała się, że Pe przyjedzie. Pe ani myślał przyjeżdżać nie proszony. Liczy: to już piąty Sylwester po tamtej nocy, kiedy całe miasto biegąo jak mrówki, którym but zburzył kopiec.

Tamtej nocy władza jednorazowo zniosła godzinę policyjną. W mieszkaniu na Saskiej Kępie, gdzie odbywały się potem operatywki tajnej poligrafii regionu znaleźli ci, którzy urwali się od sznura. Łaży się koniaki i szampany, nikt nie skąpił pieniędzy na "Pewex". Rysio wyciągał z kieszeni grypsy, które krążyły w tysięcznych odpisach, dziewczyna Pe po raz szósty opowiadała, jak rano zbudził ich głos zza ściany: Boże, wzięli ją, za co?!

Wyszli na ulicę, azli od mieszkania do mieszkania, mijali wojskowe patrole grzejące się przy żelaznych kozach, pewni, że na wiosnę komuna upadnie, a jeśli nie upadnie, to na nich sobie żeby skruszy. Tyle było w nich młodej siły. Rysio wtedy rej wodził. Był z dziewczyną, która nosiła cienkie warkoczki z kolorowymi koralikami. Biegała jako łączniczka ze zdyszana piersią. Z majtek wyciągała matryce i kwity od Rysia. Później poszła w swój świat drink barów, wozów i chłopców, którym niebo zysła pewność siebie biorąca się z faktu, że pieniądze mają nie wiadomo skąd. Rysio dał się zdjąć na jesieni, kiedy otwierał kłódkę od nie swojej piwnicy, w której miał magazyn: beczki farby powielaczowej, zwoje sita i pudła z matrycami. Od dłuższego czasu nie mógł się pozbierać, szarpał się, robił głupie ruchy. Ef, który siedział z nim w celi, opowiadał: jako więzień spisywał się świetnie. Pięciami walił w mur. Dosłownie. Trzy razy ładował w karcerze.

Którejś nocy Pe spotkał Indiankę w towarzystwie chwilejącego się chłopaka w długim, czarnym płaszczu, chłopak był drinknięty i już prawie nie kontaktował, w twarzy miał coś ubeckiego. Uważaj, powiedział Pe, żeby nawiązać do starych czasów - to może być uboś. Niewykluczone, odpowiedziała z satysfakcją kobiety, która może sobie pozwolić na różnych mężczyzn. Jej oczy były nadal figlarne, tylko gesty opanowane, dojrzałe. Pe przyłapał się na odruchu: dołączyć i pójść z nimi do jakiegoś baru. Powstrzymała go świadomość, że rano miały kaca.

W samochodzie dziewczyna prosi Klarneta: daj winstona. Klarnet ma tylko karo, winstony zostawił taktycznie w domu, muszą wystarczyć do rana.

Śnieg zalepia szyby, wycieraczki ledwo pracują, akumulator siada. Mijają faceta, który jedzie środkiem jezdni na białym koniu.

- Anders - cieszysz się Klarnet - mówiłem: poczekajcie, Anders na białym koniu przyjedzie na pewno.

- Zadzwońcie, jak wróćcie z restauracji? - pyta z tyłu dziewczyna.

- Nie będę cię budził nad ranem - odpowiada Klarnet i do Pe:

- Pojeżdż na Centralny, trzeba kupić kwiatki.

Te kwiatki będą dla pani domu, w którym leży niedokończony wydruk. Drażliwą sprawę trzeba załatwić delikatnie.

Pe skręca w prawo. Ciekawe, jaka będzie szopka, myśli. Na pewno liżydupska. Generał troszczyć się będzie o naród. A jego kukiełka szczipła, wysoka, wyprostowana, twarz dostojna i godna, żeby przypadkiem kogoś nie rozbawił. Nowy gatunek satyry: apologetyczna. Były wicepremier, co kopnięty w górę poszedł na wicemarszałka, zapewne już się nie pokaże. Tym razem z Murzyna robił partyjny liberał.

Mija ich golf.

- Za trzy miesiące będę miał taki wóz - mówi Klarnet - albo datsuna. A może malucha, ale nowego. Już mam halogeny firmy "Cibié". Co prawda, szkoda takich halogenów do malucha, zaraz jakiś złodziej ukradnie.

Pe wie, że za trzy miesiące Klarnet nie będzie miał ani golfa, ani datsuna, ani maluchą. Nie wiadomo, czy znaczkami zarobi choć na życie. Nie wiadomo, czy je rozprowadzi, a nawet czy je wydrukuje. A halogeny próbuje ożenić każdemu, kto tylko go odwiedzi. Pe widział je, leżały na szafie.

Na tylnym siedzeniu dziewczyna cicho chrapie.

styczeń 1986

Marcin Step jest pseudonimem. Tekst, który publikujemy powyżej, jest jednym z cyklu, z którego ukazały się dotychczas w druku "Trzy opowiadania: Świt szarych ludzi Wieczór jak rzeka. Noc" ("Puls" nr 22-23, lato-jesień 1984; Londyn) i równoległe "Wieczór jak rzeka" ("Kultura", listopad 1984, Paryż).

Ogień

szkic biograficzny Józefa Kurasia.

Dzieciństwo i młodość

Waksmund - niewielka góralska wieś u podnóża Turbacza. Tu 23 października 1915 r. urodził się Józef Kuraś, syn Józefa i Antoniny z Ligezów. Gospodarstwo rodziców "Ognia" nie było duże: 3 hektary roli uprawnej, pastwiska i las. Józef Kuraś miał liczne rodzeństwo - czterech braci i siostrę. Jego ojciec był przed I wojną światową prezesem Drużyny Podhalańskiej - góralskiego i ludowego odpowiednika Strzelca. W czasie wojny Podhale udowodniło swój patriotyzm, dając kilkanaście tysięcy ochotników do Legionów i Wojska Polskiego. "W Nowotarszczyźnie, na tzw. Skalnym Podhalu, nie ma prawie dzisiaj rodziny, w której choć jeden syn nie służył w Legionie" - pisał urodzony w Białym Dunajcu generał Galica. Do Legionów próbowali się dostać dwaj starsi bracia "Ognia" - Władysław i Wojciech - uciekając z domu. Wojciech Kuraś miał wówczas nieco ponad 15 lat. Wcielony do armii austriackiej, dostał się do niewoli na froncie włoskim i wrócił do kraju w szeregach armii Hallera.

Kurasiowie związali się z ruchem ludowym. Józef Kuraś (senior) był założycielem i długoletnim prezesem koła Polskiego Stronnictwa Ludowego "Piast" w Waksmundzie, a także członkiem Zarządu Powiatowego SL. Koło waksmundzkie, należące do najaktywniejszych w powiecie nowotarskim, liczyło 50 członków - było trzecie co do wielkości po Nowym Targu i Maruszynie, przed Zakopanem. Również młody Józef Kuraś interesował się - według relacji górala spod Nowego Targu dobrze go znającego - ruchem ludowym, czytał gazetki Stronnictwa Ludowego, a w 1934 r. został jego członkiem. Rodzina musiała cieszyć się dużym autorytetem, skoro Józef Kuraś (senior) był sołtysiem Waksmundu w latach 1912-19, a Wojciech Kuraś - brat "Ognia" - pełnił tę funkcję od 1938 do 1943.

W latach 1921-28 Józef Kuraś uczęszczał do szkoły w Waksmundzie, a potem do gimnazjum w Nowym Targu. Z gimnazjum wystąpił jednak w VI klasie, po ucieczce z domu, w której towarzyszyła mu Zofia Cesarz, dziewczyna z Waksmundu. Zatem już u osiemnastoletniego chłopaka ujawniły się cechy charakteru, które sprawiły, że jego życie było tak burzliwe i niełatwe do oceny: skłonność do chodzenia własnymi drogami i niepodporządkowywania się przyjętym normom, oraz fantazja. Ci, którzy znali go w młodości, twierdzą, że ten wysoki, przystojny i bardzo silny chłopak był wesoły, koleżeński i miał niespokojny charakter.

Wzrastał w atmosferze fermentu politycznego lat trzydziestych. Antydemokratyczne tendencje sanacji powodowały wrzenie wśród chłopów. Sądząc z relacji owego wspomnianego już górala oraz pewnego działacza SL, najmocniej utkwily w pamięci ludowców z Podhala dwa wydarzenia: proces brzeski (1931) oraz burzliwy strajk rolny (1937). Te i inne konflikty zbudowały mur niechęci, a nawet nienawiści, między chłopami i zwolennikami rządów pomajowych. Później zaocwowało to nieufnością i trudnościami w stosunkach BCh - AK.

W latach 1936-38 Józef Kuraś odbył służbę wojskową, początkowo w 2 Pułku Strzelców Podhalańskich, potem w szkole podoficerskiej Korpusu Ochrony Pogranicza w Głębokiem, na koniec w stopniu kaprała w strażnicy KOP w Słobódce.

Gdy służył w wojsku, Zofia Cesarz wyszła za mąż za Jana Czubiaka z Leśnicy. Stało się to zarzewiem długotrwałego konfliktu Kurasia z Czubiakiem. Po powrocie z wojska w lutym 1940 r. Józef Kuraś poślubił Elżbietę z Chorążych. 17 grudnia 1940 r. urodził się im syn - Zbyszek.

Zmobilizowany 23 sierpnia 1939 r. walczył w kampanii wrześniowej w 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Jednostka została rozbita między Lwowem i Jarosławiem. W październiku wrócił do Waksmundu.

II Rzeczpospolita upadła. Józef Kuraś należał do niezadowolonych ze stosowanych w niej metod rządzenia. Ale oto skończyła się niepodległość. O nią miał się bić do 1947 roku.

Goralenvolk

Sytuacja Podhala pod okupacją niemiecką była inna niż pozostałych ziem polskich: tu Niemcy podjęli próbę utworzenia tzw. Goralenvolku.

Teoretyczną podbudowę tej akcji miały być twierdzenia o pochodzeniu górali od szczepów germańskich - Gotów lub Kwadów. Poglądy takie głosili nie tylko naukowcy niemieccy. Również prof. W. Antosiewicz odkrył podobieństwo spinek góralskich do gockich fibul i na tej - dość wątpliwej - podstawie stworzył teorię o osiedleniu się na Podhalu części Gotów wędrujących w pierwszych wiekach po Chr. ze Skandynawii na południe. Także symbol swastyki, częsty w góralskich motywach zdobniczych, miał świadczyć o ich germańskim pochodzeniu. Dla totalitarnych Niemiec opętanych rasistowską ideologią "Blut und Boden" nawet tak blache przesłanki mogły stanowić podstawę i ideologiczne usprawiedliwienie konkretnej akcji politycznej, której celem było wyodrębnienie górali jako osobnej narodowości.

Akcja ta była prawdopodobnie planowana już przed wojną. Wywiad niemiecki posiadał na Podhalu agenta. Był nim W. Wieder, kapitan rezerwy WP, prezes koła Związku Oficerów Rezerwy. W tworzeniu Goralenvolku pomagał doktor prawa H. Szarkowski, szef wydziału Zarządzie Miasta Zakopanego, główny teoretyk akcji. Obaj kryli się za kulisami, wysuwając na pierwszy plan Wacława Krzeptowskiego, górala zakopińskiego, znanego przed wojną działacza, prezesa koła powiatowego SL w Nowym Targu i członka kierownictwa Związku Górali. Jako ciekawoskę można dodać, że to właśnie Wacław Krzeptowski przeprowadzał Wincentego Witosa przez zieloną granicę na emigrację w 1933 r.

Krzeptowski wraz z kilkoma wciągniętymi do współpracy działaczami SL i Związku Górali zorganizował pierwsze wystąpienia: 7 listopada 1939 r. złożyli na Wawelu hołd gubernatorowi Frankowi w imieniu górali, a 12 listopada witali go przybywającego z wizytą do Zakopanego. Następnie bezprawnie reaktywowali Związek Górali - Goralenverein - i za jego pośrednictwem usiłowali nadać akcji większy rozmach. Ludność góralska w większości nie chciała jednak współpracować z separatystami. Mimo różnych nacisków, gróźb, zachęt i fałszerstw akcja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów: na 150 tys. kennkart wydanych na objęcie nią obszarze, było tylko 27 tys. kart "góralskich", oznaczonych literą G. Nie powiodła się również próba utworzenia Legionu Góralskiego SS. Z dwustu górali wysłanych na przeszkolenie do obozu wojskowego część nie dojechała, a reszta pobita się tam z Ukraińcami, za co została wysłana na roboty do Rzeszy oraz do Oświęcimia. W obozie pozostało dwunastu górali.

Odpowiedzią na działalność odstępców było powstanie podziemnej organizacji o nazwie Konfederacja Tatrzańska. Znalazł się w niej i odegrał znaczącą rolę Józef Kuraś.

Konfederat

Twórcą Konfederacji Tatrzańskiej (KT) był Augustyn Suski, 35-letni absolwent UJ, utalentowany poeta, przed wojną działacz młodzieżowych organizacji ludowych i wykładowca uniwersytetów ludowych, pochodzący z Szaflar koło Nowego Targu. Zarówno jego wiersze jak i publicystyka ukazują go jako żarliwego patriotę, nie mogącego pogodzić się z haniebną zdradą części górali. Twierdził on: "Honor nakazuje, by Goralenvolk został zdławiony przez samych Podhalań". W tym celu postanowił utworzyć odrębną organizację góralską. Uważał bowiem, iż ogólnopolski ruch podziemny nie potrafi skutecznie przeciwdziałać separatyzmowi i nie to jest jego celem. Pisał w Deklaracji Ideowej KT: "Ruchowi naszemu nadaliliśmy odrębne formy (...) tak, jak odrębne są zagadnienia, a rozwiązanie których na swoim terenie walczymy. W pierwszym rzędzie pragniemy nadać znowu świętą i niewzruszoną powagę owej bezwzględnej, a przyćmionej nieco przez 'krzeptowszczyznę' prawdzie, że słowo 'góral' znaczy to samo, co 'Polak z ducha i krwi'".

Konfederacja powstała w maju 1941 r., gdy Suski wraz z kilkoma innymi osobami - przeważnie działaczami Związku Młodzieży Wiejskiej RP "Wici" - opracował zasady ideowe i projekt organizacji. Wkrótce objęła swym zasięgiem całe Podhale, miała 60 placówek terenowych i 20 obwodowych. Liczyła co najmniej 400 członków zaprzysiężonych, a liczba osób, które współpracowały z organizacją, była z pewnością dużo większa.

Wśród członków KT zdecydowanie przeważali chłopci, a kierownictwo składało się z działaczy ludowych. Jednak Augustyn Suski sprzeciwił się włączeniu Konfederacji do podziemnego Ruchu Ludowego (RL), jak też do innych organizacji konspiracyjnych (np. ZWZ), starając się za wszelką cenę zachować jej regionalny charakter. KT uznała się za podległą tylko Rządowi RP w Londynie i Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych w Kraju. Była więc organizacją samodzielną. W podstawowych dokumentach ruch ten został określony jako apolityczny, nie związane z żadną partią, otwarty dla ludzi o różnych poglądach. Skład kierownictwa i działania w terenie w przeważającej mierze wiejskim nadawało Konfederacji charakter ludowy.

Największa i najaktywniejsza placówka lokalna KT znajdowała się w Waksmundzie. I nic chyba w tym dziwnego, jeśli pamiętamy o aktywnym zaangażowaniu wsi w ruchu ludowym przed wojną. Zresztą jeszcze przed powstaniem KT waksmundzianie uczestniczyli w ruchu oporu. "Kiedy jesienią 1939 Podhale zaroilo się od przybyszów zamierzających się przedrzeć za granicę - pisze Włodzimierz Wnuk - Waksmund stał się jednym z ważniejszych punktów przerzutowych". Akcja Goralenvolku dała w tej wsi słabe wyniki. Do "narodowości góralskiej" przyznało się 59, a do polskiej 500 mieszkańców. A jakie środki nacisku przy tym stosowano, świadczy przykład Wojciecha Kuraśa, sołtysa Waksmundu, któremu w ogóle nie przyjęto podania o kennkartę polską i usiłowano zmusić szantażem do przyjęcia góralskiej.

Do powstania KT żadna z istniejących podziemnych organizacji nie prowadziła w Waksmundzie działalności na szerszą skalę, toteż Kuraś utrzymywał z nimi tylko luźne kontakty. W 1940 r. znalazł się przypadkowo (za brak dokumentów) w więzieniu. Uciekł w Janosikowym stylu, ogłuszając czy może zabijając strażnika.

Kuraś, który przyjął pseudonim "Orzeł", należał do kierowniczej trójki waksmundzkiej placówki Konfederacji. Poza nim "trójkę" tworzyli: Władysław Waksmundzki "Bienias" i Józef Rejczak, były legionista. "Placówki lokalne w Waksmundzie rozwinęły bardzo żywą działalność polityczną i organizacyjną. Zgodnie z regulaminem podjęły one nie tylko kolportaż tajnych gazetek, ale także akcje przeciwko zarządzeniom władzy okupacyjnej i Goralenvolku. Przeciwdziałali przede wszystkim jednaniu ochotników do Niemiec (...). Sabotowali zarządzenia o dostawach zboża i mięsa dla okupanta. W działalności tej przewodził Wojciech Kuraś, sołtys (...)" - pisze w swej monografii KT Sylwester Leczykiewicz.

Konspiracja w Waksmundzie była utrudniona, gdyż mieszkało tam kilku donosicieli - kolaborantów z Goralenvolku. Wyróżniał się wśród nich Jan Czubiak. Być może jednym z powodów, które sprawiły, że on i Józef Kuraś znaleźli się w przeciwnych obozach, był jego zadawiony konflikt z "Orłem". W lecie 1941 r. Czubiak został pobity przez Kurasia i innych członków KT za donosicielstwo. "Orła" aresztowano. Przesiedział dwa miesiące w więzieniu nowotarckim. Jak pisze S. Leczykiewicz: "Waksmundzianie wielce się tym martwili". Uwolniono go dzięki staraniom dwóch funkcjonariuszy policji granatowej - członków Konfederacji.

Po wypuszczeniu z więzienia Józef Kuraś i kilku innych waksmundzkich konfederatów znajdowało się nadal w kręgu podejrzanych. Byli inwigilowani. W obawie przed niespodziewanym aresztowaniem najbardziej zagrożeni z nich podjęli pracę na Turbaczu. Pracowali przy wyrębie lasu na tzw. Wzorowej Hali, czyli polanie doświadczalnej Instytutu Rolniczego. Często tam nocowali, co zabezpieczało ich przed inwigilacją i zatrzymaniem. Na Wzorowej Hali znajdował się od 1940 r. ośrodek szkoleniowy ZWZ. Józef Kuraś, jako przedwojenny kapral, rozpoczął szkolenie grupy z Waksmundu.

Tak rozpoczęła się wojenna epopeja tej niewielkiej góralskiej wsi. Waksmund, jak pisze Włodzimierz Wnuk, "stał się siedliskiem żołnierzy podziemia i kuźnią góralskiej partyzantki. Stąd właśnie pomaszerowało w Gorce najwięcej chłopaków, żędnych walki z okupantem z bronią w ręku. Nie było prawie w tej wiosce rodziny, z której by choć jeden syn nie poszedł do partyzantki. Ale też i nie ma tam rodziny, która by tego ciężko nie odpokutowała. Któż mógł przypuszczać, że w tym małym, skromnym nadmorskim osiedlu znajduje się tyle męstwa i poświęcenia, tyle desperackiej odwagi i niepomahowanej zaciekłości!"

"Orzeł" miał wtedy 26 lat. Od tej pory, czyli od jesieni 1941 r. do śmierci w lutym 1947 już nigdy nie mógł zjawiać się na dłużej w rodzinnej wsi. Jego domem stały się ziemianki, namioty i szałaszy. Musiał żyć w ciągłym napięciu, być cały czas czujnym, gotowym do obrony lub ataku. Czekając go ponad pięć lat codziennego ocierania się o śmierć. Pięć lat walki.

Partyzant Konfederacji

W Gorcach ukrywało się przed Niemcami wielu ludzi: ci, którzy chcieli uniknąć wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy, spaleni w konspiracji, ci, którym groziło aresztowanie. Drugim punktem - poza Wzorową Halą - gdzie znajdowali pracę i schronienie, była wylęgarnia ryb w Łopusznej. Obate miejsca były ośrodkami ZWZ - AK. Jednak aktywność zbrojna ZWZ w Nowotarckim była (do roku 1944) niewielka i celowo ograniczana. Przyczyna tego była prosta: przez okolice Nowego Targu prowadziły główne szlaki przetrzutowe na Węgry, więc dowództwo AK nie chciało ściągać na ten rejon szczególnej uwagi okupantów.

Natomiast Konfederacja Tatrzańska, jako organizacja niezależna od ZWZ, rozwijała działalność na coraz szerszą skalę. Od powstania w maju 1941 r. w szybkim tempie zwiększała się ilość członków, komórek organizacyjnych, pojawiły się nowe formy działalności. Zadaniem placówek lokalnych było - według Leczykiewicza - "... ostrzeżenie społeczeństwa polskiego przed zdrajcami i konfidentami niemieckimi, moralny i fizyczny terror na osobach zdrajców narodowych, najdalej idąca pomoc wszvstkim prześladowanym (...), samopomoc gospodarza (...), a także prowadzenie wywiadu i rejestrowanie wszelkich faktów o znaczeniu militarnym i gospodarczym, kolportaż prasy". Jeden z punktów regulaminu głosił: "Każdy konfederat jest żołnierzem, którego chwilowo odkomenderowano do pracy społeczno-politycznej".

Od jesieni 1941 roku konfederaci zaczęli od czasu do czasu napadać nocą na sołectwa i urzędy gminne, niszczyć akta, a zwłaszcza spisy ludności, wykazy gruntów i żywego inwentarza. W ślad za tym rozchodzili się wieści o "chłopcach z lasu". Wypadki sabotażowe i dywersyjne, zwłaszcza z placówek

w Waksmundzie, powtarzały się przez cały rok 1942. Zwykle brało w nich udział kilku ludzi, którzy po wykonaniu zadania wracali do domów i ukrywali się starannie przed oczyma konfidentów.

Siłą zbrojną KT była tzw. Dywizja Górska (Dywizja Podhalańska w konspiracji), organizacja podporządkowana ZWZ, lecz działająca samodzielnie, która połączyła się z Konfederacją we wrześniu 1941. Grupa waksmundzka prawdopodobnie nie została włączona do struktury DG, będąc zależną tylko od władz KT.

Niestety Konfederacja Tatrzańska została bardzo szybko, już w styczniu 1942 r., wykryta i zlikwidowana przez Gestapo. Poważnie przy tym zawinięto - nieprzestrzeganiem zasad konspiracji - kierownictwo KT. Konfidentowi Gestapo Wagnerowi Romanowskiemu udało się zdobyć zaufanie Augustyna Suskiego. Gdy uzyskał dostateczną ilość informacji o strukturze i czołowych działaczach KT, Gestapo dokonało szeregu aresztowań. Organizacja została rozbita, dalej działały tylko niektóre izolowane placówki, z których najaktywniejsza była waksmundzka. Na wiosnę 1942 udało się placówkom w Waksmundzie i Nowym Targu nawiązać kontakt z ukrywającym się Tadeuszem Popkiem i Jadwigą Apostołą, którzy pozostali z pięcioosobowego kierownictwa KT, ale i oni zostali aresztowani w sierpniu 1942 r.

Jedyną działającą jednostką organizacyjną Konfederacji pozostała placówka w Waksmundzie. Na stokach Turbacza kontynuowano szkolenie wojskowe. Dowódcą oddziału był Józef Kuraś "Orzeł", instruktorem szkolenia wojskowego Józef Rejczak, były sierżant z okresu I wojny światowej. Pomagał w szkoleniu Franciszek Siuty. Instrukcje i program szkoleniowy mieli ze Sztabu Dywizji Górskiej. "W drugiej połowie 1942 nocne wyprawy oddziału KT z Waksmundu sięgały nie tylko najbliższych wiosek nad Dunajcem, ale docierały w głąb Skalnego Podhala oraz na Spisz i Orawę (...). Po akcjach na spółdzielnie przyszła kolej na nocne wizyty w młynach, mleczarniach, sołectwach i gminach, w których konfiskowano pieniądze, niszczone spisy (...) aby tym sposobem zdeorganizować gospodarke wroga. Wyprawy te miały również inny cel, chodziło o to, aby administrację okupanta i działaczy Goralenolku zastraszyć (...). Od wiosny 1943 r. waksmundzki oddział KT powiększył się i był lepiej uzbrojony. Żandarmeria niemiecka i policja granatowa nie mogły już swobodnie docierać na Turbacz. Niemcy (...) tropili go z coraz większą zjadłością. Były to usiłowania bezskuteczne, gdyż "Orzeł" dobrze maskował i ukrywał swój oddział, unikając otwartych starć z wrogiem" - pisze S.Leczykiewicz.

Niemcy, zaniepokojeni rozwojem partyzantki, postanowili rozprawić się z "bandą". Pod koniec maja wysłali na Turbacz dwóch granatowych policjantów przebranych za turystów, którzy mieli rozpoznać teren i wysledzić partyzantów. Okazali się oni na tyle nieostrożni, że swój meldunek przekazali do Nowego Targu telefonicznie. Obsługa schroniska, z kierowniczką Marią Batkiewicz na czele, pomagała partyzantom i podsłuchawszy rozmowę przekazała wiadomość o niej do oddziału KT. Następnego dnia obaj "turyści" zostali zastrzeleni. Ale teraz z kolei partyzanci popełnili błąd i nie ukryli ich ciał. Gdy Niemcy - po długich poszukiwaniach - znaleźli je, postanowili zemścić się na rodzinach konfederatów.

Waksmundzcy donosiciele poinformowali ich o roli, jaką odgrywał "Orzeł", więc odwet rozpoczęli od jego najbliższych. 29 czerwca 1943 r. niemieccy żandarmi, granatowi policjanci oraz cywili konfidenti napadli w nocy na dom 73-letniego ojca Józefa Kurasia. W domu zastali też żonę "Orza" wraz z 2,5-letnim synkiem, Zbyszkim. Wszyscy zostali zastrzeleni. Potem napastnicy podpalili dom Kurasiów.

Gdy "Orzeł" dowiedział się o zamordowaniu najbliższych, zmienił pseudonim na ten, pod którym miał stać się sławny: "Ogień".

Morderstwo dokonane na rodzinie Kurasiów stanowiło prolog do tragedii całego Waksmundu. W niecały tydzień później wieś otoczyło kilkuset esesmanów, żandarmów i gestapowców. "Część ekspedycji obchodził dym i spęcza wszystkich mieszkających wioski - nie wyjąwszy starców, kobiet i dzieci -

na cementarz, gdzie muszą się oni położyć twarzą do ziemi. Wszystkich wybranych razem z partyzantami pognano do szkoły, którą zamieniono na miejsce kaźni. O godzinie 8 wieczór następuje finał: (...) rozkazano wszystkim leżącym na ziemi ludziom uklęknąć, by na kolanach wysłuchali wyroku: 33 osoby skazano na wywiezienie do obozów koncentracyjnych, 5 partyzantów na karę śmierci" (W.Wnuk). Rozstrzelano ich na miejscu. Wśród wywiezionych do obozów znaleźli się bracia "Ognia" - Wojciech i Władysław (zaprzysiężony członek KT).

Po pacyfikacji partyzanci nie zaprzestali jednak działalności. 28 września wieś przeżyła drugą pacyfikację. Znowu rozstrzelano 5 osób z rodzin partyzantów, a do obozów wywieziono pięćdziesiąt dwie, między innymi trzeciego brata "Ognia", Michała Kurasia.

Jeszcze kilkakrotnie przywożono do Waksmundu ujętych partyzantów, by rozstrzeliwać ich na oczach bliskich. W sumie w czasie wojny zginęło 80 osób z Waksmundu, gdy z dużo większego Nowego Targu około 130.

Elementy ideologii KT być może wpłynęły w jakiś sposób na postawę i poglądy Józefa Kurasia. Czytał przeciw prasę KT, uczestniczył w dyskusjach, znał czołowych działaczy. Augustyn Suski, przewodnicząca Konfederacji, w sposób niezwykły, jak na warunki okupacyjne, pisał w artykule pt.: "Miłość ojczyzny" o problemie uchronienia się od nienawiści: "(...) nie myślimy o zemście i o zabijaniu wówczas, gdy myślimy o Ojczyźnie - myślimy jedynie o walce dla niej. Gdy trzeba będzie zabijać, przyjmiemy to jako konieczność wiodącą nas do wyzwolenia Ojczyzny, ale niech nigdy śmierć i zemsta osobista nad wrogiem (...) nie zaciemni nam umysłu i nie splam. duszy".

"Ogień" i AK

Co czuli przebywający w górach partyzanci, gdy dochodziły do nich tragiczne wieści z Waksmundu? O ich uczuciach świadczą dwa wymowne fakty: zmiana pseudonimu "Orla" i nawiązanie współpracy z Armią Krajową. Musieli dotkliwie odczuć swoje osamotnienie i zapagnąć oparcia w silnej organizacji. Byli przecież ostatnim oddziałem Konfederacji.

O kontakt z ZWZ nie było trudno, gdyż prawdopodobnie już wcześniej stykali się z Akowcami, choćby na Wzorowej Hali. Toteż 10 - lub według innego źródła - 12 lipca 1943 r., w kilka dni po pierwszej pacyfikacji, nastąpiło połączenie oddziału "Ognia" z oddziałem AK stacjonującym w Gorcach. Jego dowódcą był por."Lech" (Władysław Szczyпка, góralski z Mszany Górnej, przedwojenny oficer zawodowy), a zastępcą por. "Adam" (Jan Stachura). Był to pierwszy większy oddział partyzancki AK na Podhalu. Uformował się w pierwszej połowie 1943 r. w rejonie Turbacza. Dowódcy obu grup zawarli porozumienie, na mocy którego dowódcą połączonych oddziałów został "Lech", zastępcą "Adam", a szefem kapral "Ogień". Oba oddziały uznano za równorzędne. Akowców było dziewięciu, a ludzi "Ognia" dwudziestu. Kuras był szefem, to znaczy podoficerem odpowiedzialnym za sprawy administracyjno-gospodarcze kompanii. Nawiąsem mówiąc to, że zgodził się zająć podobne stanowisko (mimo dużo większej liczby ludzi wprowadzonych do oddziału), chyba dobrze świadczy o człowieku, którego oskarżano później o kierowanie się wybujałą ambicją.

Istotny dla późniejszych wydarzeń był charakter obu współdziałających oddziałów. W skład grupy "Ognia" wchodziłi wyłącznie chłopcy, w większości działacze lub sympatycy SL. Oddział AK był apolityczny, dowodzony przez górala i z górali w większości złożony. Toteż na razie nie było powodów do konfliktów, jakie niekiedy miały miejsce podczas scalania Batalionów Chłopskich z Armią Krajową, kiedy dawały znać o sobie obustronne uprzedzenia (chłopcy nie mieli zaufania do sanacyjnych oficerów, którzy dowodzili w AK, a z drugiej strony dowódcy grup ZWZ z niedowierzaniem odnosili się do wartości bojowej oddziałów Ruchu Ludowego).

Połączone oddziały przeprowadziły w ciągu pierwszych pięciu miesięcy wspólnego działania (lipiec - grudzień 1943) kilka większych akcji zbrojnych.

W połowie sierpnia zaplanowano atak na placówkę niemieckiej Straży Granicznej w Harkłowej. Wyściłani na zwiady "Ogień", "Potrzask" i "Lis" zostali zaskoczeni na noclegu w pasterskim szałasie przez niemiecki patrol. Wyskoczyli z baczki i ostrzeliwując się pobiegli do lasu. "Ogień" ocalał dzięki swej sile i przytomności umysłu. Wybiegając z szałasu wpadł na Niemca, chwycił go i zastonił się jego ciałem. Po tym wydarzeniu Niemcy zorientowali się, że partyzanci planują jakąś akcję i sprowadzili do Harkłowej posiłki, próba opanowania posterunku w nocy z 16 na 17 sierpnia nie powiodła się. Wzmocniona załoga odparła atak trzydziestu partyzantów. Po akcji Niemcy wzmocnili ochronę Nowego Targu i uznali teren Gorców za zagrożony (Banditen Gebiet).

We wrześniu 1943 zginął porucznik "Lech", trafiony przypadkowo podczas szkolenia. Dowódca został porucznik "Adam". Śmierć por. "Lecha" zbiegła się z atakiem Niemców. Oddział wycofał się w Beskid Sądecki i założył obóz na Homlu. Stamtąd dokonano udanej akcji na placówkę Grenzschutzu w Piwnicznej. Korzystając z fortelu (partyzanci przebrani za policjantów prowadzili dwóch innych wyglądających na przemytników) zaskoczono śpiących pięćdziesięciu żołnierzy Wehrmachtu. Partyzanci zdobyli broń, z którą dotąd nie było najlepiej, między innymi 54 karabiny, 1 km, 1 rkm.

Zatakowali również tartak w Ryttrze z załogą niemiecką, ale tym razem bez sukcesu.

Na początku listopada 1943 r., po kilku rajdach przez Gorce i Beskid Sądecki zgrupowanie przybyło na Turbacz i założyło obóz zimowy pod Czerwonym Groniem. Wybudowano trzy ziemianki. Partyzanci wykonali wtedy jeszcze jedną akcję: spalili schronisko na Turbaczu obsadzone w październiku przez Niemców.

W tym też czasie nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy. Porucznik "Adam" został w listopadzie odwołany. Nie są znane powody decyzji dowództwa. Być może wchodziły w grę motywy polityczne. Ożywiła się wtedy działalność BCh, a większość ocalałych członków KT włączyła się do konspiracyjnego Ruchu Ludowego (RL, znanego też pod kryptonimem "Roch"). Możliwe, iż partyzanci waksmundzcy chcieli nawiązać kontakt z bliskimi im ideowo organizacjami ludowymi. Porucznik "Adam" nie był temu przeciwny.

Natomiast porucznik "Zawisza" (Krystyn Więckowski), którego skierowano na jego miejsce, był dobrym żołnierzem (jak można sądzić z jego późniejszej działalności), lecz nie potrafił uczynić ze zgrupowania dobrego, zgranego zespołu. Nie chciał pogodzić się z odrębnością ludzi "Ognia", przemieszał więc partyzantów obu grup, zajmujących dotychczas osobne ziemianki. Wprowadził surową dyscyplinę, ale inaczej postępował z Akowcami, inaczej zaś z konfederatami. Czuli się oni traktowani niesprawiedliwie i lekceważeni. Skutkiem był wzrost napięcia w oddziale, mnożenie się sporów i niezadowolenie ludzi "Ognia".

Tragiczny finał konfliktu nastąpił w czasie świąt Bożego Narodzenia.

W Wigilię sprowadzony specjalnie ksiądz Józef Kochan odprawił mszę świętą, podczas której partyzanci przystąpili do komunii. Włoczerze wigilijną obie grupy spożywały osobno. Potem "Zawisza" zwolnił Akowców na urlop, sam udał się na Luban do zgrupowania AK, a ludzie "Ognia" mieli spędzić święta w obozie.

W drugi dzień świąt Kuraś - wbrew rozkazowi - zezwolił dziewięciu partyzantom na zejście do Ochotnicy Górnej, według jednych źródeł aby wzięli udział w chrczinach czy zabawie, według innych - na zwiady.

Wrócili do obozu 27 grudnia przed południem. 28 grudnia o dziesiątej rano obóz otoczyli Niemcy. "Z partyzantów przebywających w tym dniu w obozie czternastu z "Ogniem" na czele przerwało pierścień okrążenia. Partyzant "Wiatr" (Franciszek Szal - przyp. BN) poległ w walce, "Szpak" (Władysław

ław Bem - (przyp.BN) rozerwał się granatem w ziemiance. Inni, dowodzeni przez 'Ognia', kluczyci przez kilka dni po górskich bezdrożach ścigani przez hitlerowców" - jak pisze M.Stysiak. Do 7 stycznia, bez prowiantu, nocując w szałasach, gubili pogoń. Tego dnia Niemcy zmusili waksmundzian, aby wzięli udział w obławie, którą prowadził Jan Czubiak. Górale oczywiście pomogli Kurasiowi wymknąć się Niemcom, ale musieli na podzielić oddział na dwu- i trzyosobowe grupki. "Ogień" przedostał się na Kowaniec (przedmieście Nowego Targu), gdzie znaleźli schronienie.

Aby móc właściwie ocenić tę sprawę i problem odpowiedzialności "Ognia" trzeba jeszcze dodać, że nie wiadomo, czy obława niemiecka z 28 grudnia była w jakiś sposób związana z pobytem partyzantów w Ochońnicy. Według ww. górala spod Nowego Targu Niemcy nie mogli przyjść po śladach z poprzedniego dnia, gdyż zostały już zasypane śniegiem. Istnieje przypuszczenie, że miejsce obozu zostało zdradzone przez dezertera. Niemniej obie wersje nie są poparte dostatecznymi dowodami. Faktem niewątpliwym pozostaje natomiast to, że "Ogień" popełnił przewinienie dyscyplinarne nie wykonując rozkazu.

Kuraś wysłał 27 stycznia 1944 r. raport do dowództwa AK w Krakowie o rozbiciu obozu. W odpowiedzi otrzymał wyrok śmierci. W jego obronie stanęło nowotarskie kierownictwo "Rocha", uznając oskarżenie za niesłuszne. Większość ludzi "Ognia" w lutym i marcu wróciła do oddziału AK, który atakował na Prehybie koło Szczawnicy. Jak sądzi S.Leczykiewicz, nie cieszyli się tam jednak zaufaniem. Podczas pierwszej akcji oddziału por. "Zawiszy" - 2 lutego 1944 - zginęło aż pięciu z nich.

Trudno jest ocenić epilog współpracy "Ognia" z AK. Błędy popełniły chyba obie strony, tzn. i Kuraś i "Zawisza", a także dowództwo AK (ciwiłanie por. "Adama"). W każdym razie wyrok śmierci, przy braku niezbitych dowodów obciążających "Ognia" winą za rozbicie obozu, wydaje się zbyt surowy.²

W Batalionach Chłopskich

Na początku 1944 roku mogło się wydawać, że Kuraś jako dowódca partyzancki jest skończony. Oddział przestał istnieć - większość ludzi odeszła, aby walczyć w AK, przy "Ogniu" zostało tylko trzech najwierniejszych: brat - Jan Kuraś "Kania", Józef Srał "Smak" i Jan Srał "Potrzask". Rozbity obóz, utraczona broń i zapasy, wyrok AK.

Górale nie stracili jednak do "Ognia" zaufania. Zaczęli do niego napływać nowi kandydaci na partyzantów i w kwietniu oddział liczący ponad 20 żołnierzy założył obóz w wąwozie potoku Spaleniec pod Turbaczem. Nastąpiła szybka rozbudowa oddziału i jego baz. Powstała rozległa sieć placówek informacyjnych i kontaktowych, obejmująca swym zasięgiem całe Podhale. Dzięki niej "Ogień" dysponował wiadomościami o miejscach postoju i ruchach Niemców, o transportach wojskowych itp. Józef Kuraś wykazał przy tym duże zdolności organizacyjne: stworzona siatka była tak sprawna, że o jego współpracy ubiegali się partyzanci sowieccy i AL-owcy. Struktura ta przetrwała jeszcze kilka lat po wojnie.

Na wiosnę 1944 SL - "Roch" w Nowym Targu rozpoczęło starania mające na celu pozyskanie grupy "Ognia" dla podziemia ludowego. Nowotarscy działacze RL mieli szczególne powody, aby zabiegać o wzmocnienie swej organizacji, bowiem konspiracja ludowa długo była na terenie powiatu sparaliżowana przez ruch Goralenvolku, który opanował przecież część tamtejszego SL. Dlatego zarówno Stronnictwu, jak i "Wiciom", trudno było uzyskać zaufanie patriotycznie nastawionych Podhalan. Obok Wacława Krzeptowskiego także powiatowy prezes ZMW RP Michalczak współpracował z Niemcami. Wprawdzie, jak pisze A. Fitowa, po pierwszych dużych stratach spowodowanych denuncjowaniem działaczy Ruchu Ludowego, "Roch" zdołał założyć tam swoje komórki, a w końcowej fazie wojny rozwinąć nawet pewne formy konspiracyjnej działalności (tajna oświata i administracja Delegatury Rządu), lecz działało się

to głównie w oparciu o ludzi spoza Podhala, przesiedlonych z ziem wcielo-nych do Rzeszy. Batalionów Chłopskich nie udało się jednak w Nowotarskiem zorganizować.

Natomiast bez trudności nawiązano współpracę z "Ogniem". Skład oddzia-łu w naturalny sposób kwalifikował go przeciw do Ruchu Ludowego. W wyniku prowadzonych w maju 1944 r. rozmów, w których "Roch" reprezentowali: Władys-ław Skibiński "Snop", Sylwester Leczykiewicz "Mohort" i Władysław Hajnos "Smutny", "Ogień" zgodził się na włączenie oddziału do Ludowej Straży Bez-pieczeństwa. Oddziały LSB były drugą, obok BCH, formacją zbrojną Ruchu Lu-dowego. Czasem różnice między LSB a BCH były niejasno określone, dlatego niekiedy używa się tych nazw zamienne (np. w stosunku do oddziału "Ognia"). Ludowa Straż Bezpieczeństwa nie została objęta scaleniem z AK, do którego zobowiązane były Bataliony Chłopskie. Oczywiście było to dla Józefa Kura-sia bardzo wygodne, gdyż wciąż trwał jego konflikt z AK i o scaleniu nie mogło być w tej sytuacji mowy. Umowa była więc obustronnie korzystna: no-wotarski "Roch" uzyskiwał wreszcie własną siłę zbrojną, a "Ogień" uprawo-mocnienie i pomoc dla swej walki dzięki przynależności do organizacji ogół-nopolskiej. Kuraś już do końca wojny działał jako partyzant podległy RL.

W październiku i listopadzie "Ogień" był równocześnie podporządkowany Powiatowej Delegaturze Rządu (PDR) w Nowym Targu, zresztą też kierowanej przez ludowców. Jego grupa pełniła rolę oddziału wykonawczego (tzw. egze-kucyjnego) Komitetu Oporu Społecznego (KOS) działającego przy PDR. KOS-y kierowały walką z okupantem prowadzoną przez organizacje cywilne i stron-nictwa polityczne, a więc poza ramami ZWZ-AK. 10 października 1944 roku "Ogień" został zaprzysiężony jako dowódca oddziału egzekucyjnego przy "opor-niku", czyli powiatowym kierowniku Oporu Społecznego.

Do 1 grudnia oddział specjalny LSB pod dowództwem "Ognia" przeprowa-dził wiele różnego typu akcji. Od czerwca do końca listopada partyzanci wykonali wydane przez sąd podziemny wyroki śmierci na ośmiu osobach, głów-nie konfidentach i bandytach. Ponadto "Ogień" zlikwidował dwie bandy ra-bunkowe (w Łopusznej i Kowańcu) oddając ich członków w ręce AK, co świad-czy o tym, że istniały - pomimo wyroku - kontakty pomiędzy nim a Armią Kra-jową. Oddział "Ognia" karał też z wyroku sądu podziemnego kobiety utrzymu-jące kontakty z Niemcami. Karą było, jak wiadomo, ostrzyżenie. Strzyżenie kobiet spowodowało później niesnaski, nie wszystkie wyroki były sprawiedli-we, niekiedy sąd opierał się na fałszywych donosach spowodowanych zazdroś-cią, sąsiedzkimi kłótniami itp. Żal i gorycz niesprawiedliwie osądzonych skupiały się na "Ogniu" i jego ludziach, choć byli oni przecież tylko wy-konawcami wyroków.

Zadania "polityczne" nie dominowały jednak w działalności Kurasia. Od sierpnia do listopada jego oddział przedsięwziął ok. 20 dużych akcji i szereg pomniejszych. Były to tradycyjne już sabotaże gospodarcze (niszcze-nie zlewni mleka, ewidencji i akt). Wiele energii partyzanci poświęcili zdobywaniu broni. Oto co napisał na ten temat członek oddziału Tadeusz Szklarz "Topór": "Połowa uzbrojenia pochodziła ze Słowacji. Tam zostały rozbrojone bez żadnych strat cztery placówki służby granicznej - 35 ludzi. Rozbrajano również pojedynczych strażników. Rozbrojono bez jednego strza-łu w lesie 15 Niemców (...). Co pewien czas likwidowane były zlewnie mle-ka: w Ostrowsku, w Waksmundzie (...). Sekretarz gminy za dobrą pracę dla Niemców miał dostać "lanie". Więcej się w gminie nie pokazał. W czasie budowy okopów Niemcy wysunęli na drugą stronę Dunajca placówkę z 12-oma ludźmi, została ona rozbrojona bez strzału" (cyt. za A. Fitową). Ostrze-liwano też samochody niemieckie. Oddział liczył wtedy około 60 ludzi. W sierpniu 1944 r. "Ogień" został awansowany przez Dowództwo Okręgu Kraków BCH na porucznika.

W dniach 19-21 października toczyła się bitwa o Uchotnicę pomiędzy partyzantami I PSP AM mjr. "Borowego" a pięcioletnią ekspedycją niemiec-ką. Zwyciężyli AK-owcy mimo kilkakrotnej przewagi wroga. Warto zwrócić

uwagę na pewien szczegół tej bitwy: kpt "Lampart", dowodzący 4 batalionem I PSP, odrzucił propozycję pomocy, jaką złożył przez specjalnych łączników Kurasz, natomiast wezwał na pomoc partyzantów sowieckich.

"Ogień" także współpracował z oddziałami radzieckimi. Przybyło ich kilka na Podhale w 1944 r. Dwa największe dowodzone były przez mjr. Iwana Zołotara i kpt. Władimira Macniewa "Potiomkina". Mjr Zołotar został zrzucony z 10-osobowym sztabem we wrześniu 1944 r. w rejonie Turbacza. Oddział, który zorganizował, składał się głównie ze zbiegów z niewoli niemieckiej przekazanych przez polskie podziemie. Zgrupowanie składało się z pięciu pododdziałów. Dowódcą jednego z nich była Ludmiła Gordiejenko "kapitan Tania" z NKWD. Według większości relacji istniał osobisty związek między nią a "Ogniem". Oddział Macniewa liczący około 300 ludzi przedostał się w sierpniu 1944 przez front w okolicach Rzeszowa, a pod koniec września dotarł na Podhale. Główną bazą oddziału stała się Dolina Kościeliska.

Oczywiście oba oddziały musiały zetknąć się z partyzantami "Ognia". Wkrótce po zrzuconiu Zołotara nastąpiło jego spotkanie z Kuraszem na Polanie Stawianiec niedaleko Kudłonia. Ustalono tam zasady i formy współdziałania obu grup. Według niemal wszystkich źródeł późniejsza współpraca obu dowódców układała się dobrze. Szkoda więc, że sam Iwan Zołotar wyparł się tego w opublikowanej w Polsce książce *Przyjaźń wojennych lat*. Również oddziałowi Macniewa wkrótce po przybyciu "Ognia" pomógł w odebraniu zrzuconego i przejściu w rejon Babiej Góry.

Edwarda Markowa tak opisuje współpracę oddziału LSB z Rosjanami: "Ścisłe powiązanie z radzieckim oddziałem partyzanckim płk. Iwana Zołotara miało podhalański oddział BCh, który pomagał w zakwaterowaniu, zaopatrzeniu w żywność, w rozeznaniu w terenie, w przejmowaniu zrzutów. Dostarczał przewodników, którzy prowadzili radzieckie grupy dywersyjne na miejsce zaplanowanych akcji". Partyzanci sowieccy wiele zawdzięczali informacjom i ostrzeżeniom udzielanym przez "Ognia", który korzystał z rozbudowanej sieci swego wywiadu. Przeprowadzono też wiele wspólnych akcji. W październiku 1944 między innymi rozbrojono Niemców koło Łopusznej i urządzono kilka wypraw na placówki straży granicznej w Nowej Białej i Trybuszu. W listopadzie partyzanci "Ognia" wraz z sowieckimi kolegami zorganizowali akcje na Krempachy i Łapsze dla zdobycia żywności (jeden BCh-owiec zginął, a drugi wraz z partyzantem sowieckim zostali ranni). W grudniu ludzie Kurasia pomagali oddziałowi Zołotara przy wysadzaniu pociągów.

W listopadzie 1944 r. miało miejsce ważne dla późniejszych losów "Ognia" wydarzenie. Oto fragment raportu referenta bezpieczeństwa PDR Ludwika Kohutka "Smiłowskiego" do Okręgowej Delegatury Rządu w Krakowie: "Nawiązałem (...) ścisły kontakt z opornikiem i grupą "Ognia" pełniącego przy PDR rolę oddziału egzekucyjnego. Polecenia moje wykonywał "Ogień" wraz ze swymi ludźmi sprawnie i sumiennie, tropiąc bandy złodziei i meldując o ich ruchach. Od 25 bm. PDR zarządził wstrzymanie kontaktów służbowych z "Ogniem" aż do czasu zlikwidowania przez ODR jego zatargu z AK" (cyt. za A. Fitową). Zatem 25 listopada 1944 r. "Ogień" przestał być podporządkowany Powiatowej Delegaturze Rządu - dała o sobie znać sprawa wyroku śmierci. Oddział specjalny LSB musiał znów działać samodzielnie. Nie trwał to jednak długo. Na terenie Gorców znajdowały się oddziały Armii Ludowej, którym zależało na poparciu "Ognia". Pójdęcie przez Józefa Kurasia współpracy z AL to trudny i kontrowersyjny problem, który wymaga szczegółowego omówienia.

Współpraca z Armią Ludową

W listopadzie 1944 przybył na Podhale oddział AL "Za Wolną Ojczyznę". Jego dowódcą był por. Izaak Gutman (Zygmunt Skuteli) "Zygfryd". Oddział otrzymał zadanie odnalezienia członków Centralnego Komitetu Wykonawczego Robotniczej Partii Polskich Socjalistów (niewielki oddział ruchu socjalistycznego współpracujący z PPR; byli to m.in. Stanisław Szwalbe, Stanisław

Tołwiński, Henryk Świątkowski). Działacze ci znaleźli się na Podhalu po Powstaniu Warszawskim i prowadzili rozmowy z kierownictwem nowotarskiego "Rocha". W rezultacie tych rozmów podhalańscy ludowcy mieli, według relacji jednego z członków oddziału AL "Za Wolną Ojczyznę", zaakceptować manifest lipcowy i uznać zwierzchnictwo PKWN. Jeśli rzeczywiście tak było, to prawdopodobnie kierownictwo "Rocha" traktowało ten akces jedynie jako posunięcie taktyczne. Świadczą o tym artykuły w lokalnej prasie RL, której negatywne nastawienie do ZSRR i polskich komunistów nie uległo w tym czasie żadnej zmianie. Być może działacze ludowi liczyli na to, że uznając lubelski komitet zdolają po nadejściu Armii Czerwonej umocnić swe wpływy czy nawet opanować lokalne władze.

Jednym z istotnych elementów tej rozgrywki miał być "Ogień" i jego oddział. W połowie listopada odbyła się na Kowańcu konferencja sztabu OS LSB z "Ogniem" na czele i kierownictwa "Rocha" (Władysław Skibiński "Snop", późniejszy starosta Nowego Targu z ramienia PSL i Sylwester Leczykiewicz "Mohort"). Zdecydowano wtedy, iż Oddział Specjalny ma współpracować z Armią Czerwoną podczas jej ofensywy, a następnie zorganizować w Nowym Targu MO i zgłosić się do dyapozycji PKWN. Świadczy to o przygotowaniach podziemnego SL do walki o władzę, która wkrótce miała rozgorzeć.

Okazja do nawiązania kontaktu z władzami lubelskimi nadarzyła się sama, gdy pojawił się w Gorcach oddział "Za Wolną Ojczyznę", Nastąpiła seria spotkań i rozmów, w wyniku których "Ogień", tak jak poprzednio nowotarski "Roch", zaakceptował program PKWN oraz podporządkował swój oddział i placówki Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego w Lublinie. 1 grudnia 1944 r. złożył por. "Zygfrydowi" pisemną deklarację na ten temat oraz sprawozdanie z dotychczasowej działalności. "Zygfryd" odesłał dokumenty do Sztabu Partyzanckiego w Lublinie wraz ze swoim raportem. Oto jego fragment: "Oddział prowadził pracę polityczną wśród miejscowego społeczeństwa i oddziałów BCh (...). W wyniku tej pracy podporządkował się mnie oddział BCh por. "Ognia" w sile 80 ludzi" (Archiwum Zakładu Historii Partii). Zgodnie z umową Kuraś działał samodzielnie (poza kilkoma wspólnymi akcjami), lecz obaj dowódcy koordynowali swe posunięcia. Wywiad i placówki "Ognia" pomagały AL-owcom, informowały o ruchach Niemców itd. Według relacji członka oddziału "Za Wolną Ojczyznę" "Ogień" bardzo solidnie przestrzegał umowy.

*

Kluczowe znaczenie dla zrozumienia późniejszego postępowania Józefa Kurasia ma znalezienie odpowiedzi na pytanie: jakie motywy skłoniły go do współpracy z AL? Zaczniemy od tych, których wykrycie nie nasuwa większych trudności. Oddział "Ognia" był niedostatecznie uzbrojony, liczył więc, że współpracując z bardzo dobrze wyposażonymi - dzięki zrzućtom - AL-owcami otrzyma od nich broń, amunicję i materiały wybuchowe. Innym powodem współpracy była chęć skutecznej walki z Niemcami. Wiadomo, że komuniści w swej propagandzie wykorzystywali nienawiść do okupanta, pragnienie zemsty i odwetu, wysuwając na pierwszy plan hasło zbrojnej walki ze wspólnym wrogiem. Kamuflowali w ten sposób swe rzeczywiste cele strategiczne.

Powyższe motywy można uznać za istotne, ale nie najważniejsze. Wydaje się, że wopółdziałanie Kurasia z AL było przede wszystkim wynikiem realizowania planu przyjętego na listopadowym spotkaniu z działaczami "Rocha" na Kowańcu. Jednak nie jest wykluczona i inna wersja. Na jej ślad naprowadza fragment meldunku do mjr "Borowego" (dowódcy I PSP AR) na temat postępowania "Ognia": zwołennicy "Ognia" "... przedstawiają go jako wielkiego patriotę, wykonawcę rozkazów jedynie prawowitego rządu polskiego w Lublinie. Nawołuje do lojalności wobec władz komunistycznych, podporządkowania się zarządzeniom okupantów sowieckich" (cyt. za S. Leczykiewiczem). Niektóre sformułowania budzą wątpliwości co do autentyczności meldunku (np. PKWN nie był jeszcze wtedy rządem). Jest też on źle datowany - na 9 listopada

1944, gdy "Ogień" był podporządkowany PDR i nie mógł nawoływać do "lojalności wobec władz komunistycznych". Jeśli jednak założymy, że dokument jest autentyczny (z prawdopodobną datą 9 grudnia), to nasuwają się dwie interpretacje. Pierwsza: "Ogień" stosował tak daleko posunięty kamuflaż dla skutecznej realizacji planów nowotarskiego "Rocha". Druga: Kuraś, ludowiec z przekonań, po prostu uwierzył w twierdzenia propagandy PPR, w obojebnie manifestu, w reformę rolną itd. Respondent z oddziału "Za Wolną Ojczyznę" stwierdził, że tak właśnie było, dodając, że "Ogień" był człowiekiem, który "nie potrafiłby prowadzić podwójnej gry". O podporządkowaniu "Ognia" jako wyniku "pracy politycznej" mówi też cytowany raport por. "Zygryda". Większość świadectw przemawia jednak za pierwszą wersją, którą następująco ujął ppik mgr J. Depo: "Ogień" współpracował z polskimi i radzieckimi partyzantami, myśląc o późniejszej "realizacji własnej orientacji politycznej".

Jaka była prawda? Czy współdziałanie "Ognia" z AL było częścią planu powiatowego kierownictwa RL, "podwójną grą"? Czy może Kuraś uwierzył w dobrą wolę, hasła i obietnice komunistów? Na razie nie jest możliwe jednoznaczne rozstrzygnięcie tego dylematu, jednak większość faktów i źródeł przemawia za wariantem wykonywania planu "Rocha".

*

W grudniu 1944 i styczniu 1945 oddział "Ognia" wykonał wiele akcji samodzielnie i we współpracy z innymi jednostkami partyzanckimi. Od 13 do 18 grudnia miała miejsce największa w czasie wojny pacyfikacja rejonu Gorców: koncentryczny atak na Turbacz z udziałem 15 tysięcy żandarmów i żołnierzy Wehrmachtu, wspieranych przez artylerię i lotnictwo. Nacierające kolumny Niemców spotkały się z silną obroną partyzantów różnych formacji. Wziął udział w tej walce OS LSB "Ognia", oddziały AK, sowieckie i AL. 31 grudnia ludzie "Ognia" wspólnie z partyzantami mjr Zołotara wysadzili pociąg między Nowym Targiem a Rabką.

Pod koniec grudnia oddział "Za Wolną Ojczyznę" otrzymał duży zrzut broni, amunicji oraz materiałów wybuchowych i ożywił swoją działalność. Oczywiście głównym zadaniem oddziału w styczniu 1945 r. było wspomaganie ofensywy Armii Czerwonej przez dezorganizację zaplecza Niemców. Uderzano głównie w komunikację. Oddział por. "Zygryda" wykoleił kilkanaście pociągów i zniszczył kilka samochodów. W większości tych akcji brali udział ludzie "Ognia" jako przewodnicy. 18 i 20 stycznia grupy złożone z partyzantów obu oddziałów - LSB i AL - zaatakowały kolumny samochodowe na szosie Nowy Targ - Rabka. Podczas drugiego ataku zginęło około 120 Niemców i zniszczono 10 pojazdów. Patrole "Ognia" rozbroiły wielu Niemców, np. 2 stycznia 35 członków organizacji Todta zostało rozbrojonych przez 25 ludzi "Ognia" i 9 partyzantów sowieckich. 23 stycznia patrol OS LSB zatrzymał dwóch żołnierzy RCA (Russkaja Oswoboditielnaja Armija), których po dochodzeniu rozstrzelano. Różnych mniejszych akcji było jeszcze wiele. O współpracy z AL tak napisał T. Szklarz: "Współpraca między naszymi ludźmi a AL i partyzantami radzieckimi trwała dalej, do samego końca. Chłopaki z naszego oddziału przeprowadzali ich ludzi do minowania dróg, wysadzania mostów, pociągów, wspólnie chodzili na Słowację, wspólnie odbyły się dwie akcje na Niemców (...). 18 stycznia 1945 Niemcy urządzili ostatnią pacyfikację na nasz obóz. Por. "Bogdan" i por. Sielicki przybyli do nas na pomoc z 30 ludźmi i dużo lepszą bronią od naszej" (cyt. za A. Fitową).

Ostatnią akcją "Ognia" w czasie okupacji niemieckiej było współdziałanie z ofensywą I Armii Gwardii gen. Greczki, która 27 stycznia zajęła Nowy Targ. Oddział LSB opanował szosę i linię kolejową Nowy Targ - Rabka, co zmusiło Niemców do wycofania się przez Szaflary i Czarny Dunajec. Miało miejsce także bezpośrednie współdziałanie: "Ogień" spotkał się z pułkownikiem Armii Czerwonej i przeprowadził radziecki oddział górski przez Turbacz do Nowego Targu, od strony Kowańca, co zaskoczyło Niemców. "Ogień"

wkroczył do miasta wraz z oddziałami AL ("Za Wolną Ojczyznę" i im. Waryńskiego) oraz wojskami sowieckimi. Jak głosi legenda towarzyszyła mu "kapitan Tania", która potem została zganiona przez swe dowództwo (to już nie legenda) za zbytne uleganie wpływowi polskiego partyzanta. "Ogień" pozostał już w Nowym Targu. Po paru dniach - pod koniec stycznia - przysłał parę furmanek do lasu z poleceniem zejścia z gór. W lesie było jeszcze 45 ludzi. Spakowało się prowianty, kotły i plecaki na furmanki, "Smak" wykombinował flagę biało-czerwoną i kroczył na czele oddziału (...). Zeszliśmy na Kowaniec do wyznaczonej szkoły-kwatery" (T. Szklarz).

Tak skończyła się niemiecka okupacja na Podhalu. Ze wschodu, z Armia Czerwoną, przyszło nowe, o którym "Ogień" wiedział dotąd jedynie z artykułów propagandowych prasy AL czy rozmów z por. "Zygrydem". Jeśli miał jakieś złudzenia, to wkrótce miała je rozwiać rzeczywistość.

*

Kończąc opis pierwszego etapu walki Józefa Kurasia, warto zebrać opinie i fakty charakteryzujące go jako człowieka i żołnierza.

Wszyscy, nawet nieprzychylnie doń nastawieni, określają go jako "odważnego, nie cofającego się przed nawet najtrudniejszym zadaniem partyzanta" (J. Depo). Był też bardzo dobrym dowódcą. J. Apostoł pisze, iż został dowódcą pierwszego oddziału Konfederacji Tatrzańskiej jako "najbardziej odpowiadający temu zadaniu". O zdolnościach organizacyjnych "Ognia" świadczą też stworzenie sprawnej sieci wywiadu, o której była mowa. Zresztą cała wcześniejsza i późniejsza działalność, w czasie której "Ogień" dokonał tak wielu, niekiedy bardzo trudnych, w większości udanych akcji, dowodzi posiadania przezeń wybitnych predyspozycji dowódczych. Stał się sławny i znany na całym Podhalu. Górale uważali go za bohatera, ale i "swojego człowieka", był lubiany i popularny. Nie był tylko już tak wesoły i beztroski jak przed wojną, stał się twardszy. "Do obozu, od czasu do czasu, przyprowadzani byli też Niemcy pojedynczo. Jeśli był to esesman, "Ogień" kończył go sam" (T. Szklarz).

Posiadał wielu oddanych sobie ludzi. Największy autorytet miał wśród partyzantów ze swego oddziału. A był to, jak twierdzi członek oddziału "Za Wolną Ojczyznę", "dobry oddział, karny. Nie było tam awantur, rabunków, niesubordynacji".

Z takim kapitałem - swego autorytetu, zdobytego doświadczenia, zaufania ludzi - wchodził "Ogień" w następny okres polskiej historii. Mogło się wydawać, że to dużo. Lecz nowy przeciwnik, któremu wkrótce rzucił wyzwanie, okazał się groźniejszy niż poprzedni.

W UB

W ciągu kilkunastu dni po zajęciu Podhala przez Armię Czerwoną partyzanci "Ognia" pomagali wojskom radzieckim w zakwaterowaniu, aprowizacji, zorganizowaniu lotniska itp. Tymczasem ich niedawni towarzysze broni - AL-owcy - zaczęli tworzyć instytucję, która miała stać się filarem nowej władzy: Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, oraz Milicję Obywatelską. Por. "Zygryd" i partyzanci z oddziału "Za Wolną Ojczyznę" zostali po kilku dniach odwołani z Nowego Targu i skierowani w inne rejony. Na ich miejsce przybyła tzw. grupa operacyjna, jedna z kilkuset sformowanych pod koniec 1944 w "Polsce Lubelskiej" z zadaniem przejmowania władzy na ziemiach zajmowanych przez wojsko sowieckie. Grupa składała się z funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) oraz członków PPR. Miała ona jak najszybciej zorganizować nowy aparat administracyjny, polityczny i policyjny. Szefem powiatowego UBP miał zostać Stanisław Strzałka, przedwojenny komunista, a komendantem powiatowym MO Aleksander Karaś.

W planach lubelskiej grupy nie przewidziano jednak, że MO zostanie zorganizowana przed ich przybyciem. A tak się właśnie stało: "Ogień" w

ciągu paru dni utworzył komendy i posterunki, obsadzając je swymi ludźmi. Gdy por. Karaś zjawił się na początku lutego z nominacją władz wojewódzkich na komendanta MO, zastał już na miejscu faktycznego komendanta - Kurasia. Karaś miał jednak tę przewagę, że posiadał oficjalną nominację i - przede wszystkim - był członkiem PPR. Zaniepokojony tym "Ogień": "w myśl poleceń SL" (według ww. górala spod Nowego Targu) wyjechał 8 lutego do Polskiego Sztabu Partyzanckiego w Lublinie, aby uzyskać zatwierdzenie na swym stanowisku. Towarzyszyli mu "Powicher" i "Bystry". W Lublinie bardzo się przydały świadectwa o współpracy z oddziałami Armii Ludowej i sowieckimi - "Ogień" otrzymał tam potrzebne poparcie. Poza tym zweryfikowano mu stopień porucznika. Udał się następnie do Warszawy, gdzie załatwił swą sprawę w Komitecie Centralnym PPR i w MBP. Z wydziału personalnego KC otrzymał skierowanie do Ministerstwa Bezpieczeństwa (podpisane przez Zofię Gomułową). Złożył następnie podanie o przyjęcie do pracy w MBP i zobowiązanie dotrzymania tajemnicy służbowej. 16 marca otrzymał w Krakowie z wojewódzkiego UBP skierowanie do pracy w charakterze kierownika Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Nowym Targu. (Reprodukcje wymienionych dokumentów znajdują się w książce S. Wałacha i artykule M. Stysiaka). Stanowisko objął 21 marca 1945 roku.

Po powrocie do Nowego Targu zastał tam zmieniającą sytuację polityczną. Komunistom udało się już powołać nowy aparat administracyjny i polityczny. W lutym powstała w Nowym Targu PPR i jej Komitet Powiatowy. Następnie zorganizowano Miejską Radę Narodową, a zakończono budowę aparatu tworząc 17 marca Powiatową RN. Oczywiście rady narodowe były w pełni opinane przez tzw. "stromiotwa demokratyczne": PPR, oraz fałszywe ("lubelskie") PPS i SL³. Nowe władze przyjęły nominację "Ognia" niechętnie. Jego związki z podziemnym Stronnictwem Ludowym były przecież znane. Obawiano się go jako człowieka niezależnego od PPR. Główną rolę w zakulisowych atakach na "Ognia" odegrał Władysław Machejek, pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PPR w Nowym Targu.⁴

Na początku kwietnia Józef Karaś otrzymał rozkaz stawienia się w WUBP w Krakowie. Wiele wskazuje na to, że miał tam zostać aresztowany. W ten sposób intryga Machejka i Strzałki zostałaby uwieńczona sukcesem, a "Ogień" wyeliminowany. Rozkazu nie wykonał. 12 kwietnia z 17 ludźmi z nowotarskiego UB poszedł w góry. Na Kowańcu, według Wałacha, wygłosił do nich krótkie przemówienie, w którym powiedział m.in.: "Partyzantkę rozpoczynamy od nowa. Teraz będziemy się bić o Polskę bez komunistów". Płk. Wałach, wkładając te słowa w usta "Ognia", trafił chyba w sedno, ale warto dokładniej poznać motywy ponownego podjęcia walki przez Józefa Kurasia.

Jaki był stosunek "Ognia" do nowej rzeczywistości? Jak pamiętamy, jego współpraca z AL wynikała z planu wniknięcia do władz, albo z wiary w obietnice PKWN. Gdy przyjęliśmy pierwszy wariant, to postępowanie "Ognia" jest łatwe do wytłumaczenia: wykonując wskazania podziemnego SL zorganizował MO, lecz kiedy zagroziło mu usunięcie ze stanowiska i aresztowanie, okazało się, że plan opowania władzy przez czynniki niezależne od komunistów nie da się w ten sposób zrealizować. Pozostało mu zatem jedynie ponownie wkroczenie na drogę otwartej walki. O tym, że "Ogień" organizując MO nie kierował się własną żądzą władzy (jak twierdzi większość partyjnych historyków), świadczą poufne wskazówki Narcyza Wiatra, dowódcy 10 w Małopolsce, przytoczone przez A. Fitową. Wiatr zalecał, aby LSB "starała się opanować urzędy bezpieczeństwa i posterunki MO". A. Fitowa podaje 12 przykładów oddziałów partyzanckich BCH z Małopolski, które zrealizowały te polecenia - wśród nich oddział "Ognia".

A jeżeli przyjmiemy wariant drugi, tj. współpracy Józefa Kurasia z AL z przekonania? Pomoc w tworzeniu nowej władzy byłaby tego logiczną konsekwencją. Lecz z dwóch relacji (górala i historyka, który w latach sześćdziesiątych przeprowadził wiele rozmów ze świadkami opisywanych wydarzeń) wynika, że pobyt "Ognia" w Lublinie i Warszawie stał się dla niego przełomem. Zobaczył tam kulisy władzy, zrozumiał jej cele. Jeśli przedtem wie-

rzył w głoszone przez nią hasła, to tam właśnie otworzyły mu się oczy "Ogień" prawdopodobnie wziął nawet udział w kursie dla oficerów bezpieki, na którym rozumiał prawdziwe, dalekosiężne cele władzy i dowiedział się, jakie środki zostaną użyte, by te cele osiągnąć. Wszak te środki i metody rodem z NKWD właśnie oni - oficerowie UB - mieli stosować w swej codziennej "pracy". O udziale w takim szkoleniu świadczy, poza relacją wzmiankowanego górala, bardzo długi okres pobytu w Warszawie i Lublinie (wyjazd z Nowego Targu nastąpił 8 lutego, a powrót 21 marca). Zmianę poglądów "Ognia" w tym czasie sugeruje też M. Stysiak: "Pobyt w Lublinie i Warszawie zmusił Józefa Kurasia do rozmyślań o przyszłości".

W każdym razie "Ogień" wrócił z Warszawy z wyrobionym poglądem na nową władzę. W jego przekonaniach pojawił się wtedy jeszcze jeden element: antysemityzm. Łatwo było zauważyć duży udział Żydów i ludzi pochodzenia żydowskiego w aparacie władzy, a szczególnie w organach bezpieczeństwa. Pociągało to często za sobą uproszczone, obiegowe opinie obciążające wszystkich Żydów winą za postępowanie władz. "Ogień" również zaczął tak myśleć. A przecież wcześniej nie wyróżniał się jakimś szczególnym antysemityzmem. Świadczy o tym choćby bardzo dobrze układająca się współpraca, a nawet osobista sympatia do por. Izaaka Gutmana "Zygryda". Niestety, obudzony wówczas antysemityzm miał później sprawić, że "Ogień" stał się odpowiedzialny za czyny zasługujące na potępienie.

Na zakończenie omówienia przyczyn ponownego rozpoczęcia walki niech cytat z listu Józefa Kurasia ukaże, jakie stawiał sobie cele: "dotąd siedzieć będziemy w lesie, dokąd nie zostanie ten rząd obalony i dokąd nie wejdą do rządu ludzie z Londynu".

Można jeszcze dodać, że przypadek "Ognia" nie był odosobniony. Wiosną 1945, jak pisze A. Fitowa, "nastąpiła wtórna konspiracja ludowców". Jej powodem było zaostrzenie atmosfery politycznej w kraju, co wyraziło się m.in. w nasileniu aktów terroru ze strony władz. 28 marca aresztowano i wywieziono do Moskwy szesnastu przywódców Polski Podziemnej, 21 kwietnia "nieznani sprawcy" zastrzelili na krakowskich Plantach Narcyza Wiatra.

Na koniec warto jeszcze przytoczyć wyjaśnienia decyzji "Ognia" z 12 kwietnia podawane w oficjalnych publikacjach. Miegodnie z tezą o bycie kształtującym świadomość, tłumaczy się rozpoczęcie walki przez Kurasia czynnikami subiektywnymi, a to "zasmakowaniem w mordzie i rabunku", a to "niskimi instynktami", poza tym "prymitywizmem politycznym", "demoralizacją", a w najlepszym razie "urażoną ambicją".

Oddział partyzancki "Błyskawica"

Organizując nowy oddział "Ogień" wykorzystał wszystkie swe zdolności i doświadczenie zdobyte w czasie wojny. Nie mogło mu to zapewnić zwycięstwa, lecz sprawiło, że stał się najgroźniejszym przeciwnikiem nowego systemu na południu Polski.

Swoim zwyczajem dużo uwagi poświęcił "Ogień" wywiadowi. Odchodząc w góry nie zabrał ze sobą wszystkich swoich ludzi. Część została w nowotarskim UB i MO. Potem jeszcze rozszerzył sieć informatorów w organach bezpieczeństwa, sięgnął nawet do Krakowa. Nowi ludzie, sprzyjający "Ogniom", lecz z nim nie związani w czasie wojny (a co za tym idzie nie podejrzewani przez bezpiekę o wrogie zamiary), wstępowali na jego polecenie do UB i milicji. Wywiad był, obok poparcia ludności, jednym z głównych źródeł jego sukcesów. "Ogień" był zawczasu poinformowany o akcjach przeciw niemu, posunięciach UB i wojska, mógł uprzedzać ataki, wycofywać się lub urządzić zasadzki.

Stworzył też zaplecze dla oddziału w postaci siatki kwater, współpracowników i informatorów na całym Podhalu. Według Stysiaka wpływ "Ognia" sięgały do miejscowych urzędów, przedsiębiorstw transportowych, administracji i zaopatrzenia. Znalazł też wsparcie u "niektórych przedstawicieli

miejscowego kleru" Wszystkie te fakty wskazują na szerokie społeczne poparcie działalności Kurasia.

Potwierdza to więkazość autorów, usiłując mniej lub bardziej nieudolnie wytłumaczyć zjawisko sympatyzowania ludności z "antyłudową" działalnością. O opozycyjnych nastrojach społeczeństwa najwomniej świadczą cyfry, pokazujące ilość członków różnych partii (dane z października 1946 r. już po "przegranym" przez PSL referendum): w powiecie Nowy Targ PPR-owców było 344, PPS-owców - 20, a PSL liczyło ponad dwa tysiące członków!

Przy takiej postawie społeczeństwa "Ogień" nie miał trudności ze znajdowaniem współpracowników w terenie i ochotników do oddziału. Przez jego zgrupowanie przewinęło się w ciągu dwóch lat około 600 ludzi, z tym że równocześnie nie miał pod swymi rozkazami więcej niż 300-400. Trzon oddziału, tzw. grupa sztabowa, składał się głównie z ludzi "Ognia" jeszcze z okresu wojny, partyzantów LSB. W 1945 podporządkowały się Kurasiowi także grupy złożone z byłych AK-owców - "Jastrzębia", "Wilka", "Wichra", "Tygrysa" i "Mściciela". Wciąż napływali też młodzi ludzie, głównie górale, którzy chcieli walczyć z komunistami. Znalazł się nawet w oddziale żołnierz radziecki.

Tak duży oddział nie mógł kwaterować w jednym miejscu. "Ogień" rozdzielił zatem ugrupowanie na kilka pododdziałów. W 1945 wszystkie grupy kwaterowały jeszcze niedaleko od siebie, w okolicach Turbacza. W roku następnym, gdy oddział wydatnie się powiększył, kilka kompanii zostało rozmieszczonych w innych rejonach. Poważnym problemem było utrzymanie sprawnej łączności z podległymi grupami. Rolę tę spełniali łącznicy przeroszący pieszko meldunki. System łączności był najbardziej narażony na cięsy i władze umiejętnie to wykorzystywały.

Józef Kurasz zorganizował też szereg placówek propagandowych, które miały informować i przekonywać społeczeństwo. Ich dziełem były na przykład akcje ulotkowe w lutym i marcu 1946 r., które objęły rejon od Rabki po Szczawnicę. Odezwy pisał osobiście "Ogień". Jak pamiętamy, nie był on człowiekiem wykształconym, toteż ich forma może czasem razić nieporadnością i błędami. Razi też widoczny w nich antysemityzm. Niemniej szczerosć i prostota zawartych w odezwach oskarżeń PPR, UB i ZSRR świadczą, że "Ogień" głęboko wierzył w słuszność obranej przez siebie drogi.⁵

Odezwy i inne pisma "Ognia", jak wyroki i kwity kontrybucyjne, były zazwyczaj opatrzone dwoma pieczęciami z wyobrażeniami orłów w koronie. Na jednej był napis "Oddział Partyzancki 'Błyskawica'", na drugiej inicjały AK. Tą drugą pieczęć "Ogień" być może otrzymał od oddziałów AK, które mu się podporządkowały.

Niełatwo było zorganizować aprowizację dla tak dużej grupy ludzi. Tym bardziej, że Podhale było wtedy regionem ubogim i odczuwało wciąż skutki okupacji. "Ogień" rekwirował artykuły żywnościowe ze spółdzielni rolniczych i magazynów bądź też nabywał je za pieniądze pochodzące z konfiskat i kontrybucji. Ale nie zawsze to wystarczało. W czasie wojny partyzanci starali się rekwirować żywnosć Niemcom i nie obciążać swoich. Teraz nie mieli innego wyjścia: aby się wyżywić, musieli brać także od chłopów. Choć ludzie "Ogniom" sprzyjali, to jednak ze względu na panującą biedę ciężko im było oddawać np. bydło na rzecz oddziału. Oczywiście nie oddawali za darmo, ludzie "Ognia" zazwyczaj płacili, jedynie gdy oddział nie miał pieniędzy, zostawiano pokwitowanie, jako podstawę do zapłacenia w późniejszym terminie.

Oddział rozpoczął działalność od rozbitcia dwóch powiatowych placówek UB - 17 kwietnia w Limanowej, gdzie część funkcjonariuszy odeszła z "Ogniem" i 18 kwietnia w Nowym Targu, gdzie zginęło 4 funkcjonariuszy UB (w tym zastępca kierownika PUBP i komendant ochrony), 7 wartowników poszło z partyzantami, a 30 więźniów uwolniono. "Uderzenia były celne. Na pewien czas sparaliżowały działalność władz bezpieczeństwa na Podhalu" (M. Stysiak). Jednak nie na długo. Wkrótce przysłano nowe ekipy ubeków. Byli to ludzie

"o skryształizowanym obliczu politycznym", którzy swą postawą "gwarantowali realizację wskazań partii w budowaniu nowego ustroju" (M. Stysiak). Ponieważ na Podhalu trudno było takich znaleźć, sięgnięto do regionów, gdzie PPR była stosunkowo liczna. UB i posterunki MO zaczęli więc obsadzać ludzie obcy, najczęściej młodzi. "Mieli oni nie więcej niż 18 - 20 lat, (...) z chrzanowskiego i miechowskiego, najczęściej ze szkołą podstawową, nierzadko nie ukończoną (...). Jednakże przynależność do PPR, poczucie (...) oparcia w komórce partyjnej, rekompensowały ogólne braki w wykształceniu, nieporadność w słowie i piśmie" - pisali N. Michta.

Ich postępowanie nie różniło się od działań UB na terenie całego kraju. Dla wydobycia zeznań i zastraszania stosowali okrutne metody śledztwa: bicie, szantażowanie, aresztowania członków rodziny były na porządku dziennym. Oczywiście powodowało to wrogość społeczeństwa i narastanie atmosfery strachu. Raport starosty nowotarskiego z 5 marca 1946 donosił: "Wskutek nieumiejętnego postępowania funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa stosunek ludności do władz bezpieczeństwa jest wrogi". Ale w rok później starosta zaakcentował coś innego: "Stosunek ludności do tych organów dalej oparty jest tylko na bojaźni" (raport z 1 maja 1947).

Pierwsze kroki

Rok 1945 nie był dla OP "Błyskawica" okresem dużej aktywności. Ludzie "Ognia" wykonali wtedy około 50 akcji, podczas gdy w 1946 - ponad 300. Wynikało to z sytuacji politycznej: w kraju dominował nastrój oczekiwania i nadziei obudzonej powrotem Stanisława Mikołajczyka, objęciem przez niego stanowiska wicepremiera w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej oraz legalizacją Polskiego Stronnictwa Ludowego. Również władze, nie czując się jeszcze zbyt pewnie, starały się nie zaostrzać konfliktów. W lecie i do końca września 1945 r. UB i KBW nie prowadziły intensywnej akcji przeciw oddziałowi "Ognia", licząc na ujawnienie się partyzantów w ramach amnestii. Zresztą UB było wtedy jeszcze zbyt słabe, a KBW dopiero w trakcie tworzenia. Włosną obławę na "Ognia" organizowało NKWD (np. 28 kwietnia 1945 r.), lecz wkrótce wojska radzieckie opuściły Podhale.

Wśród akcji OP "Błyskawica" z roku 1945 zwraca uwagę kilka takich, które wskazują na częściowe kontynuowanie przez "Ognia" działalności porządkowej, jaką prowadziła LSB, skierowanej przeciw przestępcom kryminalnym. Oto zapiski z dziennika "Ognia": "28.IV. Aresztowanie Jasistków - ojciec - syn - konfident niemiecki. (...) 30.XII. Szajka złodziejska z bronią w rękę" (cyt. za S. Wałachem).

Dominowały jednak akcje innego typu: rozbijanie posterunków MO i UB, egzekucje członków PPR, pracowników i konfidentów bezpieki.

W lecie 1945 r. kierownik nowotarskiego Urzędu Bezpieczeństwa S. Strzałka, nie mając odpowiednich sił do walki z "Ogniem", próbował na drodze rokowań skłonić go do złożenia broni. Zapewniał o darowaniu kary na mocy amnestii. Jednak Kuraś nie miał zamiaru rezygnować z walki. Natomiast do rokowań przystąpili dwaj dowódcy grup poakowskich: "Jastrząb" i "Wilki". Obaj, zachęceni obietnicami szefa zakopiańskiego UB, S. Ringera, ujawnili się 16 października 1945 r. i wyjechali na Ziemię Zachodnią. Po tym ich kroku "Ogień" przysłał do UB w Nowym Targu list, w którym pisał: "Sprawa złożenia broni: jako Polak i stary partyzant oświadczam: wytrwam do końca na swym stanowisku. Tak mi dopomóż Bóg. Zdrajca nie byłem i nie będę (...) Daremne wasze trudy, mozoły i najrozmaitsze podstępny. Gwarancje wolności wydajecie więźniom, których katujecie jak barbarzyńcy. Wstyd, hańba (...). Zrobiliście mnie bandytą - rabusiem! Jeśli nim jestem, to odpowiem za swoje czyny, ale nie przed wami. Nie dorośliście do tego, abyście mogli sądzić "Ognia" (...). Żegnam was, rodacy komunistki, zasyłając pozdrowienia dla Borowicza, Niemczyka, Jąkały, Fryźlewicza i wielu innych, którzy

zamienia się w sztandary powiewające na suchym drzewie (...). Czołem. Ogień, por."

Nie był to pierwszy list od Józefa Kurasia. Poprzednio zawiadomił posterunek MO w Szaflarach, że 25 września na zabawie w Bańskiej będą jego ludźmi, a 20 listopada poinformował UB, że przenosi się do Czechosłowacji. Takie żarty były jeszcze wówczas możliwe, gdyż bezpieka była zbyt słaba, by porwać się na niego. Próbowano stworzyć do walki z "Ogniem" grupy operacyjne, złożone z funkcjonariuszy UB i MO oraz aktywistów ORMO, PPR i ZWM, lecz okazało się, że właściwa postawa polityczna nie wystarczy, by dorównać doświadczonemu partyzantowi w sztuce walki w górach. Pod koniec 1945 r. żarty się jednak skończyły. Przeciw "Ogniewi" skierowano oddziały Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Wydzielenie specjalnych "wojsk wewnętrznych" (w nomenklaturze rosyjskiej "spec-oddziałów") jest pomysłem komunistycznym. Ich przeznaczeniem jest bowiem tzw. front wewnętrzny, czyli po polsku a nie w nowomowie - walka z własnym społeczeństwem. WBW, zwane też Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego - KBW, były podporządkowane Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Dowódcą WBW w województwie krakowskim był płk. Grzegorz (czy raczej Grigorij?) Zobienko. Do walki z "Ogniem" użyto głównie 6 samodzielnych batalionu operacyjnego. Poborowi wcieleni do krakowskiego WBW pochodził z Polski centralnej. M. Stysiak zwraca uwagę na fakt, że "szkolenie bojowe odbywało się nieregularnie i dorywczo (...). Jedynie w wyszkoleniu politycznym surowo przestrzegano zasady przeprowadzania wszystkich zajęć przewidzianych programem (...)"

Działania WBW przeciwko oddziałowi "Ognia" rozpoczęły się 9 listopada 1945 r. Plan sporządzony przez por. Popowa przewidywał zbudowanie systemu zasadzek i przeprowadzanie rewizji u osób podejrzanych o kontakty z partyzantami. KBW obsadziło przejścia leśne, drogi i mosty w celu sparaliżowania łączności "Ognia". Rozlokowano też pododdziały w kilku miejscowościach Podhala. System działań KBW i UB nie był skomplikowany: w razie schwytania ludzi z OP "Błyskawica" lub podejrzanych o sprzyjanie partyzantom wydobywano z nich to, co wiedzieli i organizowano obławę. "Ogień" zazwyczaj nie przyjmował walki, wymykał się, gubił pogoń.

Pierwsze rezultaty taktyki WBW to ujęcie w grudniu 1945 r. sześciu członków oddziału, m.in. Jana Kurasia "Kani", brata "Ognia" i "Potrzaska". W dzienniku "Ognia" znajduje się lakoniczna notatka: "28 XII. W więzieniu Potrzask, Kania, plac Inwalidów". Przy pl. Inwalidów w Krakowie (dziś pl. Wolności) mieścił się mający ponurą sławę WUBP.

"Ogień" - władca Podhala

Rok 1946 to czas krzepnięcia nowej władzy, czas terroru i represji mających zastraszyć społeczeństwo, a w szczególności odebrać poparcie Polskiemu Stronnictwu Ludowemu. Taka atmosfera polityczna spowodowała wzrost aktywności oddziałów partyzanckich - rok 1946 to apogeum ich działania. Grupa "Ognia" rozrosła się z około 80 ludzi pod koniec 1945 do 300-400 w 1946. Znacznie zwiększyła się aktywność oddziału: wykonano sześciokrotnie więcej akcji niż w roku poprzednim.

Pierwsze większe przedsięwzięcie w roku 1946 to rozbięcie posterunku MO w Niedzicy (zastrzelono komendanta). 20 lutego podczas akcji na posterunku w Rabie Wyżnej zabito funkcjonariusza UB. "Dziennik Polski" z 26 lutego w relacji zatytułowanej "Manifestacyjny pogrzeb poległych w obronie prawa i porządku" (chodziło o 4 milicjantów zastrzelonych przez ludzi "Ognia") pisał: "Wśród mówców pogrzebowych brakło niestety głosu obecnego na pogrzebie starosty nowotarskiego Skibińskiego (z PSL - przyp.BN). Podkreślić również należy, że orkiestra strażacka, pozostająca pod wpływami kół reakcyjnych odmówiła udziału w pogrzebie". Jest to jeszcze jeden dowód poparcia udzielanego przez społeczeństwo "Ogniewi". Sposób, w jaki prasa

pisala o podziemiu, zapowiadał już nadchodzące lata stalinowskie. Warto przytoczyć dla przykładu kilka zdań na temat "Ognia" z artykułu "Członkowie SS w bandach NSZ": "Jest to pseudonim znanego przed wojną koniokrada, psychopaty Józefa Kurasia, który w czasie wojny prowadził partyzantkę na własny rachunek, odznaczając się szczególnym sadyzmem wobec eksploatowanej ludności góralskiej. (...) W czasie wojny łączyły go ścisłe kontakty z Wackiem Krzeptowskim (...). Władze bezpieczeństwa posiadają w tej chwili niezbite dowody współdziałania band "Ognia" i NSZ z członkami SS" (Dziennik Polski z dn. 26.II.46). Czyż można się dziwić, że obrucany takimi oszczerstwami "Ogień" odrzucał wszelkie propozycje władz dotyczące ujawnienia się?

Z propozycjami złożenia broni ponownie wystąpiła nowotarska bezpieka w marcu 1946 r. Sposób nawiązania kontaktu z "Ogniem" był zresztą typowy dla UB. W marcu aresztowano grupę harcerzy z Nowego Targu, która stanowiła jedną z placówek "Ognia". Pośród aresztowanych wraz z nimi rodziców znalazła się łączniczka partyzantów, "Wanda". Wykorzystując uwięzienie jej syna jako środek nacisku, UB skłoniło ją do pośredniczenia w rozmowach. 24 marca udał się z "Wandą" w góry por. Władysław Czyż. Posiadał gwarancję bezpieczeństwa od "Ognia", a mimo tego nie był pewny swego życia. Przyczyny jego strachu były znamiennie: w nocy uciekł z aresztu bezpieki w Nowym Targu narzeczona "Ognia", Czesława Polaczykówna. Czyż obawiał się, że zostanie rozpoznany jako jeden z "przesłuchujących". Widocznie zdawał sobie sprawę, iż środki stosowane podczas śledztwa były tego rodzaju, że mogły skłonić Kurasia do złamania danego słowa.

"Ogień" postawił następujące warunki: usunięcie z powiatu Nowy Targ KBW, zwolnienie z więzienia jego ludzi, usunięcie UB, wysiedlenie ludności zydowskiej z Nowego Targu. Odpowiedź miał otrzymać 27 marca. Zamiast niej mjr Jan Frey-Bielecki, szef WUBP w Krakowie, poprowadził w góry kilkusetosobową obławę. Bez rezultatu. Rokowania oczywiście zostały zerwane. Zdańniem Wajacha walka z "Ogniem" trwałaby dużo krócej, gdyby nie sabotaż mjr. Bieleckiego i jego zastępcy Józefa Światła "już wówczas związanego organizacyjnie lub przynajmniej uczuciowo z międzynarodowym syjonizmem" (S. Wajach). Jak wiadomo, płk. Światło w 1953 r. przedostał się na Zachód, skąd - za pośrednictwem RWE - rozpoczął demaskowanie tajemnic MBP. W opisywanym okresie płk. Wajach był jego podwładnym.

Tak więc "Ogień" walczył dalej. W kwietniu rozbił 5 posterunków milicji. 4 maja wpadł w zasadzkę pluton KBW: zginęło 12 żołnierzy i 2 ube-ków. Według Styziaka byli oni torturowani przed śmiercią. Czy to prawda? Czy rzeczywiście oddział "Ognia" torturował jeńców? Historycy partyjni zarzucają to Kurasiowi i jego ludziom bez wahanía, twierdząc, że byli okrutni, zezwierzeceni, lecz przytaczając mało dowodów. Publikacje oficjalne pisano z oczywistym zamiarem zohydzenia postaci "Ognia", obciążenia partyzantów jak najliczniejszymi przestępstwami, wykazania, że byli oni zwykłymi bandytami. W imię obiektywizmu trzeba jednak rozpatrzyć te zarzuty. Wynika się, że są one przesadzane, lecz przypadki brutalnego obchodzenia się z ujętymi funkcjonariuszami i innymi osobami mogły rzeczywiście mieć miejsce. Natomiast tortur, w sensie świadomego i celowego znęcania się, nie było, o czym świadczą przynajmniej relacje wspomnianego już górala oraz jednego z członków oddziału "Ognia". Jeśli chodzi o brutalne postępowanie, to niełatwo je zrozumieć (co nie znaczy usprawiedliwić!). Złapani partyzanci lub ich rodziny byli torturowani przez UB i tutaj słowo "tortury" jest jak najbardziej na miejscu. Rodziło to chęć odwetu. Poza tym większość ludzi "Ognia" przeżywała w lesie już od kilku lat. Wiadomo, że każda walka deprawuje, a partyzantka chyba najbardziej. Po spędzeniu kilku lat w lesie byli z pewnością ludźmi twardymi, niezbyt czuлыми na cierpienia innych (i swoje własne). Nie usprawiedliwiają więc bicia jeńców, które być może się zdarzało, trzeba zdawać sobie sprawę i z powyżej wymienionych okoliczności.

Pozostał do omówienia drugi trudny problem. Oddział "Ognia" i podległe mu grupy zabiły w sumie około 50 Żydów i to rzekomo wyłącznie za pochodzenie, a nie za przynależność do PPR, współpracę z UB czy tym podobne. 20 kwietnia 1946 r. na szosie koło Nowego Targu nie zatrzymało się na wzwanie patrolu ppor. "Zbika" auto. Pasażerowie otworzyli ogień do partyzantów. Samochód zatrzymano i 5 osób pochodzenia żydowskiego zostało rozstrzelanych. 2 maja z 25 Żydów wyjeżdżających do Czechosłowacji grupa "Smigiego" rozstrzelała 12. Oba zdarzenia opisuje Wałach. Wspomnieliśmy już o przyczynach nagłego wzrostu antysemityzmu "Ognia" i jego ludzi: motywy polityczne (udział Żydów w tworzeniu nowego systemu) nałożyły się na istniejące przed wojną, rzec by można tradycyjne zarzuty natury ekonomicznej. Czy jednak ta eskalacja wrogości mogła doprowadzić do mordowania ludzi niewinnych, jak twierdzą historycy partyjni? Na razie brak wystarczających dowodów, by można było odpowiedzieć na to pytanie, lecz jeśli by okazało się to prawdą, to stanowiłoby ciemną plamę na działalności "Ognia".

*

Na omawiany okres, wiosnę 1946 r., przypada znaczne nasilenie kontrybucji władz przeciw "Ogniowi". 3 marca wprowadzono w powiecie Nowy Targ godzinę policyjną od 21 do 5 rano w listopadzie wydłużono ją od 19 do 7). Władze wyznaczyły nagrodę za pomoc w ujęciu Józefa Kurasia - najpierw 300, potem 400 tysięcy zł. Cały czas UB i wojsko zastraszало miejscową ludność, trwały aresztowania członków rodzin partyzantów i wszystkich podejrzanych o ich popieranie. Do powiatu ścigano postiki, nie tylko KBW, ale i zwykłe jednostki wojskowe. Kilkudziesięciuosobowe grupy żołnierzy rozmieszczono w wielu wsiach. Teren został nasycony wojskiem, co poważnie utrudniło łączność i poruszanie się oddziałów "Ognia".

W lecie UB próbowało zorganizować grupy zwiadowcze, które miały śledzić partyzantów w górach, lecz nie dało to większych rezultatów. Płk. Wałach, dowódca takiej grupy, opiewa "Ogień" przegonił ich z lasu (s. 185-191). Bezpieczeństwo próbowało też infiltracji przy pomocy agentów przejdźających na Podhale jako urzędnicy, handlarze itp. To również nie przyniosło większych efektów, wzrost nastrojów niechęci "Ognia" i jego partyzantów wobec obcych. Ludzi spoza Podhala posądzano często o działalność dla UB i dochodziło nawet do sporadycznego rozstrzelania podejrzanych i śledzenie partyzantów.

21 kwietnia miało miejsce ważne zdarzenie w życiu osobistym Józefa Kurasia: ślub z Czesławą Polaczykówną, młodą nauczycielką z Nowego Targu, która miesiąc wcześniej uciekła z aresztu. Matrimonium zawarto uroczystie w kościele w Ostrowsku. Cała miejscowość była na ten czas zajęta i osłabiana przez ludzi "Ognia". Większość obecnych była w strojach góralskich, część konno. Po ślubie partyzanci i goście udali się do lasu, gdzie odbyło się wesele. Żona "Ognia" pozostała kilka miesięcy przy oddziale. Potem wyjechała do Bochni. Tam, wkrótce po śmierci "Ognia", urodził się jego syn Zbyszek.

Najważniejszym wydarzeniem politycznym lata 1946 było "referendum ludowe" z 30 czerwca. Kuraś tak pisał w swej odezwie z okazji głosowania: "Ci, co mówią tak, oddają Polskę raz na zawsze pod władzę komunistów, rządzących i uchwalających bez sprzeciwu (bo nie będzie senatu) reformy, celem i tak już zaczętego bolszewizowania polski" (cyt. za S. Wałachem). W trakcie referendum "Ogień" nie prowadził żadnych większych akcji zbrojnych. Było to zresztą niemożliwe, gdyż na Podhale skierowano dodatkowe jednostki wojskowe (batalion KBW z Wrocławia, 3-ci batalion 35 pułku piechoty). Oddziały te wykorzystano nie tylko do ochrony referendum, ale i do przeprowadzania działań przeciwko zgrupowaniu Kurasia. W połowie czerwca 3 bat. 35 pp urządził oblężenie na obóz sztabu "Ognia" na Turbaczu. "Ogień" nie przyjął walki. Wojsko znalazło w opuszczonym obozie broń, amunicję, żywność i radiostację.

Mimo ciósów spadających na partyzantów lato 1946 to okres największej potęgi i znaczenia "Ognia". Wałach przytacza spis 27 akcji wykonanych w sierpniu. OP "Błyskawica" rozbił m. in. dwa posterunki MO, zlikwidował około 10 funkcjonariuszy UB, MO i KBW (w tym szefa UB oraz komendanta MO w Zakopanem). 30 lipca wysadzono pomnik żołnierzy radzieckich w Rabce. W tym czasie "Ogień" utworzył oddział działający w samym Krakowie. Największą akcją tej grupy było opanowanie więzienia św. Michała przy ul. Senackiej (18 sierpnia 1946). Uwolniono 62 więźniów. Ponad 20 z nich wyraziło chęć przylączenia się do partyzantów. Odesłano ich w góry i 11 września zostali zaprzysiężeni. 25 sierpnia ze szpitala przy ul. Kopernika uwolniono przebywających tam pod strażą dwóch rannych członków oddziału. Krakowski pododdział "Ognia" działał do października, potem został rozbity, większość członków aresztowano.

Zmierzch "Ognia"

We wrześniu 1946 r. KBW rozpoczęło akcję niszczenia zgrupowania "Ognia". Brało w niej udział około 800 żołnierzy, drugie tyle współdziałało z Grupą Operacyjną "Nowy Targ" w sąsiednich powiatach. Nie wliczono tu funkcjonariuszy UB i MO. "Ogień" nie miał więcej niż 400 ludzi i to rozproszonych od Krakowa po Zakopane i od Rabki po Nowy Sącz. Ale nie tylko przyniatająca przewaga liczebna sił KBW i UB była przyczyną, dla której Józef Kuraś zaczął ponosić coraz więcej porażek. Do tej pory cieszył się pełnym zaufaniem ludności: terminowo dostarczano kontyngenty żywności i odzieży, pomagano w zakwaterowaniu, ukrywano i informowano. Od jesieni 1946 sytuacja zaczęła się zmieniać.

Natężenie terroru ze strony władz cały czas rosło, we wrześniu na przykład aresztowano około 30 osób (w tym kobiety i kilkunastoletnich chłopców) z waksmundzkich rodzin Kurasjów, Srałów, Kolasów i innych, których krewni byli w partyzantce. Społeczeństwo było coraz bardziej zastraszone. W dzienniku "Ognia" można coraz częściej spotkać notatki: "pomoc odmówiona". Sfałszowane przez władze referendum zaczęło odbierać ludziom nadzieję na możliwość odzyskania wolności. Tracono wiarę w zwycięstwo Miłkołajczyka i pomoc Zachodu. Również III wojna światowa, która miała przynieść Polsce wolność, wydawała się coraz odleglejsza. Rodziło się zniechęcenie, pesymizm. Jak pisze komunistyczny historyk: "Oddział "Ognia" na skutek zmęczenia ludności terrorem oraz (...) postępu w umacnianiu się władzy ludowej - co potwierdziły wyniki czerwcowego referendum (...) - zaczyna powoli tracić jej poparcie" (Z.Kozik). A góral, bardzo dobrze znający "Ognia", wspomina: "Opinia ogółu ludzi była po stronie "Ognia", którego wspierano, ostrzegano, dawano poparcie przez cały 45 i 46 rok, dopiero jak zaczęto zamykać całe rodziny, moc ludzi zupełnie niewinnych, pozycja Kurasia osłabła".

"Ogień" był w trudnej sytuacji. Aby móc dalej prowadzić walkę musiał karać tych, którzy odmawiali pomocy albo współpracowali z władzami. Coraz częściej jego ludzie stosują kary kontrybucji, chłosty, wysiedlenia lub nawet rozstrzelania. Rodziło to wiele problemów, m.in. ten sam, co w czasie okupacji: fałszywe donosy pisane dla załatwienia osobistych porachunków. Teksty kilku meldunków, na których opierał się "Ogień" wydając wyroki, podaje Wałach. Ich treść świadczy o tym, że musiały być dobrze udokumentowane (dowody) i poświadczane (nazwiska świadków), lecz nadużyła z pewnością miały miejsce. Być może należy do nich zaliczyć wypadek powieszania kobiety w Ostrowsku, prawdopodobnie w październiku 1946 r. Wałach rozpoczyna swą relację od obszernego opisu tego zdarzenia celem ukazania w jego świetle "Ognia" jako odrażającego, okrutnego bandyty. Historyk z UB twierdzi, że powieszona kobieta była w ciąży, natomiast według relacji świadka tego wydarzenia, została ona skazana za współpracę z UB i nic nie

wskazywało na to, że spodziewa się dziecka. W każdym razie stosowanie tak drastycznych kar na pewno nie zwiększało poparcia dla partyzantów i świadczy o głębokich konfliktach, które pojawiły się wśród górali poddanych presji terroru bezpieki.

Władze starały się podsycać i wywoływać nastroje nie sprzyjające partyzantom; np. oddziały KBW oddawały niekiedy góralom żywność czy pieniądze zarekwirowane przez oddziały "Ognia", a potem zdobyte przez wojsko. Miało to unocznnić ludności szczerze zamiary i dobrą wolę władz pragnących bronić jej przed "bandami". Próbowano też przekonywać społeczeństwo. Tworzono ekipy propagandowe (wojskowo-partyjne), które organizowały wiece we wsiach, lecz ich wpływ na poglądy chłopów był minimalny.

Rozpoczynając we wrześniu ofensywę przeciwko zgrupowaniu Józefa Kurasia, KBW nawiązało ścisłą współpracę z organami bezpieczeństwa Republiki Czesosłowackiej, gdyż oddziały "Ognia" często przekraczały granicę i wykonywały akcje po stronie słowackiej.

W wyniku działań KBW i UB, ich przewagi liczebnej i atmosfery politycznej w kraju, sytuacja "Ognia" stała się na jesieni 1946 r. trudna. Kurasi zmodyfikował więc nieco organizację swego zgrupowania, by dostosować ją do zmienionych warunków. Już poprzednio poszczególne dowódcy działali w dużej mierze na własną rękę. Wykonywali co prawda rozkazy "Ognia", mieli obowiązek przysyłania do sztabu raportów i określonej części zdobyczy, lecz o przebiegu swych działań i taktyce decydowali sami. Teraz "Ogień" wyznaczył pododdziałom stałe rejony rozlokowania i działania.

W lecie 1946 OP "Błyskawica" składał się z około 350 ludzi stale przebywających w lesie. Dowódcami pododdziałów byli albo partyzanci wywodzący się jeszcze z Konfederacji Tatrzańskiej, albo dowódcy grup, które już jako zorganizowane oddziały podporządkowały się Kurasiowi. Zgrupowanie składało się z następujących oddziałów:

1. Sztab "Ognia" (dowódca, zastępcy: Jan Kolasa "Powicher" i Kazimierz Kuraś "Kruk", szef sztabu "Smak" oraz Stanisław Srał "Zimny", Stanisław Ludzia "Herkules", "Harnaś"). Grupa ochrony sztabu liczyła około 50 ludzi. Przy sztabie działała Komisja Szybko Wykonawcza do zadań specjalnych, która odbierała kontrybucje i wykonywała wyroki. Sztab kwatrował w ziemiankach i szałasach na Turbaczu, Lubaniu i Starych Wierchach.
2. Grupa działająca w okolicach Zakopanego. Dowódca: "Rysiek" (zdezertował w październiku 1946), po nim "Powicher"; około 120 ludzi.
3. 60-osobowy oddział działający w rejonie Czorsztyn - Krościenko. Dowódcy: "Lis" (aresztowany przez bezpiekę), "Roman" (zlikwidowany z rozkazu "Ognia"), Jan Batkiewicz "Śmigły".
4. Grupa "Groźnego" (Rabka - Klikuszowa), ok. 75 ludzi. Po śmierci "Groźnego" w walce z KBW w listopadzie 1946, na czele stanął Antoni Wąsowicz "Roch".
5. 60-osobowa grupa działająca w rejonie Szczawy, Mszany Dolnej. Dowódcy: "Łoś" (zlikwidowany z rozkazu "Ognia") i "Skąta". We wrześniu 1946 dołączyły dwie grupy z powiatu wadowickiego, w sumie ok. 40 ludzi.
6. Oddział Włodzimierza Bystrzyckiego "Dzielnego", 15 ludzi. Działał w rejonie Ludźmierza.
7. Grupa działająca w Krakowie oraz w powiatach Miechów i Myślenice, ok. 50 ludzi. Dowódcy: "Mściciel" i "Siekiera".

Później podporządkowały się Józefowi Kurasiowi następujące oddziały: w powiecie Nowy Sącz - "Zemsty" (30 członków), "Grota" (16) i "Ikara" (40); w powiecie Wadowice - "Huragana I" (40), "Huragana II" (30), "Prawego" (15). W opracowaniach brak dokładniejszych danych o sieci placówek "Ognia", Styśiak podał tylko, że placówek informacyjno-propagandowych było 10, po około 10 osób, rozrzuconych po całym Podhalu.

Od września do grudnia 1946 r. oddziały partyzanckie są jeszcze aktywne, zadają siłom bezpieczeństwa wiele ciosów, choć same ponoszą coraz dotkliwsze straty. Przybywa w dzienniku "Ognia" podobnie brzmiących notatek: "30.IX. - Długi ranny, zmarł zażywając truciznę + ("Ogień" miał zwyczaj zaznaczać śmierć krzyżykiem - przyp.BN). 6.X. - Rzutny - Wyswalski Zdzisław ur. 17.IV.1923 zginął + w Zakopanem - rzucił ostry granat zabijając 8 UB i 11 rannych. 7.X. - Aresztowanie Dolińskich, Kuba, Franek, Wojtek, UB zamordowało Wojtkę i Franka, Kuba uciekł na Jaworzynę. 19.X. - Walka w Kościeliskach - Kierpcówka - zdrada 7 ranc (...) UB złapało Moto- ra, Skałę i Apostoła, który strzelił sobie dwa razy do głowy" (cyt.za Wachem).

Także wśród partyzantów zaczęło narastać uczucie zniechęcenia. Nadszły na Mikołajczyka, Zachód, III wojnę zawiody. Czekano jeszcze tylko na wybory, ale coraz więcej wskazywało na to, że nie przyniosą one upragnionych zmian. Do oddziału zaczęło wkradać się rozprzeżenie. Dotąd dyscyplina była surowa. Partyzanci składali przy przyjęciu do oddziału następującą przysięgę:

Przysięgam Panu Bogu Wszchemogącemu, że będę wiernie służył Ojczyźnie swojej. Dla Polski Ludowej poświęcę swe życie. Rozkazy swych dowódców będę sumiennie wykonywał. O prawa należne chłopu i wsi polskiej będę walczył. Tajemnicy dochowam, choćby padło przypłacić własną krwią. Tak mi dopomóż Bóg.

Po odebraniu przysięgi "Ogień" nadawał pseudonim i wręczał broń. Zachowywano też zewnętrzne oznaki dyscypliny wojskowej. Partyzanci byli, przynajmniej w niektórych oddziałach, jednolicie umundurowani. Zdjęcia Kurasia i jego oddziału zamieszczone przez Stysiaka i Wałacha ukazują oddział bardziej przypominający jednostkę regularną niż partyzancką.

"Ogień" dbał o dyscyplinę, wymagał dokładnego wykonywania rozkazów i ścisłych meldunków. Pisał w rozkazie z 8 sierpnia 1946 r.: "Dowódca jest odpowiedzialny za każdy czyn popełniony przez strzelców. Rozkazy dowódcy muszą być wykonywane sumiennie. W razie niewykonania rozkazu przez kogoś strzelca spisać protokół i rozstrzelać na miejscu" (cyt.za Stysiakiem).

Pod koniec 1946 coraz większe rozproszenie zgrupowania, rozbitcie przez wojsko i UB łączności aprzyjało samowoli i niesubordynacji. Co prawda sporadycznie, ale zaczęło dochodzić do kradzieży, niewykonywania rozkazów itp. Aby zapobiec rozpadowi oddziału i czynom kryminalnym "Ogień" musiał stosować surowe kary. Dezerterski "Murzyn" został powieszony. "10.X - Rozstrzelanie ppor.Łosia, rabunki obozowe, pijaństwo, niewykonanie rozkazu, usiłowanie rozstrzelania dowódcy, rozstrzelano strzelca, wszystko jedno, nie wykonał rozkazu". Czyż w tym dziwnym zwrocie "wszystko jedno" nie brzmia wyrażona nuta zniechęcenia i desperacji? Jeden z respondentów (góral spod Nowego Targu) powiedział, że w tym okresie ciągłych obaw, ataków, aresztowań i strat całych oddziałów "Ogień" po prostu "stracił głowę". Niewykluczone, wystarczył przecież skorelować daty rozbitcia poszczególnych grup, aby ujrzeć coraz silniej zaciskającą się wokół "Ognia" i jego sztabu petlę.

We wrześniu 1946 OP "Błyskawica" stracił 64 partyzantów i współpracowników (zabici i aresztowani). W październiku dezertersko dowódca pododdziału "Rysiek" - UB szantażowało jego ojca w Warszawie. Jego miejsce zajął "Powicher". Następca "Łosia", "Skała", popełnił samobójstwo po rozbitciu obozu przez UB. Na początku października "Ogień" tak opisywał sytuację w liście do "Groźnego": "O ile Pan jest chory, niech prowadzi "Roch". Nie ma kogo posłać. "Skała" rozbita. "Łoś" rozbita. Ja prowadziłem walkę 29.IX. w Ochotnicy (...). Muszę zbierać rozbitków "Łosia" i niech szlag trafi, ale w górę serca. Szykujcie się na zime" (cyt.za Stysiakiem).

9 listopada w walce z KBW zginął "Groźny", zastąpił go "Roch". Również w listopadzie KBW i bezpieczeństwa przystąpiły do akcji przeciw największemu oddziałowi "Ognia", grupie dowodzonej przez "Powichra", działającej w



Od prawej: „Kania”, „Ogień” i inni w Gorcach



Od lewej: Józef KURAS – »OGIEŃ« i Jan
KURAS – »KANIA« z Waksmundu.
Okr. Nowy Targ. Żołnierze LSB w Gorcach 1944 r.

rejonie Zakopanego. 5 grudnia wojsko ujęło 3 partyzantów. Zeznali oni, że obóz mieści się w Dolinie Chochołowskiej. 8 grudnia obóz otoczyło 200 żołnierzy. Zabito 9, ujęto 12 partyzantów. Pozostali - z "Powichrem" - zbiegli.

W ostatnich dniach grudnia zgrupowanie "Ognia" składało się już tylko z trzech oddziałów:

1. Sztab zgrupowania w rejonie Turbacza;
2. Grupa "Powichra" w okolicach Chochołowa;
3. Grupa "Śmigłego" w rejonie Krościenka.

Wszystkie oddziały miały zmniejszone stany, zarówno z powodu strat, jak i zwolnienia przez "Ognia" większości członków zgrupowania do domów na okres zimy.

25 grudnia siły bezpieczeństwa rozbiły obóz "Śmigłego", dwóch partyzantów zginęło, dwóch aresztowano. I tym, symbolicznym dla sytuacji "Ognia" akcentem, zakończył się dla partyzantów rok 1946.

Śmierć "Ognia"

Zgrupowanie Józefa Kurasia właściwie już nie istniało, a siły przeciwnika ciągle rosły. W ostatniej fazie walki z "Ogniem" uczestniczyło prawie tysiąc żołnierzy (poza KBW krakowskim również 8 batalion WBW z Katowic i inne jednostki).

Styczeń i luty to dla "Ognia" i jego sztabu ciągłe zmiany miejsc zakwaterowania i ucieczki. Aresztowanie wielu ludzi (niektórzy z nich po torturach zdradzali lokalizację obozów i kwater) sprawiło, że nie miał już pewnego schronienia. Wielokrotna przewaga sił bezpieczeństwa wykluczała walkę. Pozostała mu tylko ucieczka i ukrywanie się.

19 stycznia 1947 r. odbyły się wybory do Sejmu. Całkowita klęska PSL odebrała "Ogniomu" i jego ludziom, jak zresztą i całemu społeczeństwu, resztki nadziei. Ujawniło się kilkunastu członków zgrupowania, w większości ci, którzy po zwolnieniu z oddziału przybyli do domów i otrzymali taką propozycję od bezpieki.

Ostatni pododdział - "Powichra" - rozbito 11 lutego w Kościelisku. "Powichra" nie było, dowodził "Marny". Sześciu partyzantów wołało spłonąć w otoczonym budynku niż się poddać.

Co czuł wtedy "Ogień"? Pozostał sam, z garścią ludzi, coraz trudniej było wymykać się nagonce UB i KBW. Wiedział, że przegrał. "Nie mieliśmy wyjścia. Tylko on co dnia wysyłał "Kruka" i "Zimnego" gdzieś w doliny, którzy po powrocie niezmiennie mówili, że nie otrzymali zrzutów zza granicy. Sam chodził mało, dokuczał mu paraliż lewej nogi. Potem całymi dniami pisał odezwy" - zeznała później "Hanka", narzeczona "Powichra". Jak na bandytę i mordercę - tymi mianami obdarzają "Ognia" różni "historycy" - dziwne doprawdy znalazł sobie zajęcie na ostatnie dni życia: pisanie odezwy, które już nie mogły nikogo poruszyć.

Być może jeszcze jakiś czas wymykałby się z gęstniejącej sieci obław KBW i bezpieki, ale - jak w ludowych legendach o Janosiku - pokonała go zdrada. "Ognia" wydał góral, którego dwóch braci, partyzantów, dostało się w ręce UB. W opracowaniach brak jego nazwiska. 17 lutego góral ów podał nowotarskiej bezpiece dokładną lokalizację obozu "Ognia". Ostatnie leśne schronienie Józefa Kurasia znajdowało się w Gorcach nad Ochotnicą. W obozie było wtedy tylko 25 ludzi. 100 żołnierzy i ubeków zaatakowało ich w nocy z 17 na 18 lutego. Zaskoczenie nie było całkowite, gdyż warty doszły z blizujących się żołnierzy z odległości około 300 m. Oddział zdołał się raz jeszcze wymknąć, zginął tylko strzelec "Smak". Lecz obóz został rozbity, partyzanci uciekli w ostatniej chwili, nie mogąc oczywiście nic ze sobą zabrać. A była przecież mroźna, śnieżna zima. "Hanka" zezna-

ła o następnych dniach: "Szliliśmy bez przerwy, do 20 lutego nic nie jedząc. Przy baczności paliliśmy ogniska, żeby się ogrzać". "Ogień" podzielił oddział na kilkuosobowe grupki. Sam z sześcioma ludźmi (byli to Franciszek Dróżdź "Szpak", Kazimierz Kuras "Kruk", Jan Kolasa "Powicher", "Hanka", S. Srał "Zimny" i Stanisław Ludzia "Harnas") zszedł do Ostrowska. Tutaj, w tym samym miejscu, gdzie 10 miesięcy wcześniej w pełni sił i sławy brał ślub, miała się teraz zakończyć jego pięcioletnia walka.

Już następnego dnia UB otrzymało wiadomość o miejscu pobytu "Ognia". Prawdopodobnie doniósł ten sam człowiek. 21 lutego ok. 10 rano 40 żołnierzy KBW i 10 ubeków otoczyło dom rodziny Zagatów, w którym znajdowali się partyzanci. Rozgorzała walka. Zginęli "Zimny" i "Kruk" popełniając samobójstwo. "Powichrowi", "Harnasiowi" i "Szpakowi" udało się zbiec. "Ogień" i "Hanka" ukryli się na strychu sąsiedniego domu. Płk. Wałach w literackiej formie opisuje ostatnie chwile "Ognia": "Paru funkcjonariuszy zbliżyło się do domu. Wróblewski krzyknął głośno:

- Poddaj się, Kuras! Zejdź ze strychu! Jutro amnestia!
"Ogień" i "Hanka" (...) nie odpowiadają. Idzie teraz dwóch naszych (...)
- Poddaj się, Józek... - mówią. - Nie masz szans (...). Mija długa chwila i w drzwiach ukazuje się "Hanka" (...) stoi chwilę z podniesionymi rękami.
- Major zaraz zejdzie... - mówi.
"Ogień" jednak nie poddał się, wybrał śmierć. Z otoczonego budynku rozległ się odgłos pojedynczego strzału.

Gdy zniesiono Józefa Kurasia ze strychu, okazało się, że strzelił sobie w głowę, ale jeszcze żyje. Przewieziono go do nowotarskiego szpitala i poddano operacji, lecz zmarł tego samego dnia wieczorem. Według członka oddziału "Ognia" przyczyną śmierci była trucizna, ukryta w specjalnym, wydrążonym sygnecie z podobizną orła. "Ogień" miał ją zająć po odzyskaniu przytomności. Miał wtedy niespełna 32 lata.

Epiłóg

Następnego dnia, 22 lutego 1947 r. sejm uchwalili ustawę o amnestii. Data śmierci "Ognia" ma w tym kontekście wymiar symbolu - nieugiętości i walki do końca.

Po śmierci dowódcy oddział rozpadł się. Korzystając z amnestii ujawniło się 510 członków i współpracowników OP "Błyskawica", w tym 9 dowódców pododdziałów (m.in. "Powicher" i "Smigły"). Część z nich została później aresztowana i skazana, lecz brak danych na temat tych represji. Walkę kontynuowały nieliczne już grupki. Do lata 1948 r. działał oddział "Wiarusów" pod dowództwem "Rocha", potem "Mściciela" i wreszcie "Harnasia". Rozbito go po wprowadzeniu do grupy prowokatora Mariana Reniaka (swą niechlebną akcję opisał w książce *Niebezpieczne ścieżki*). Kilkuosobowe grupki działały jeszcze kilka lat. Ostatni dowódca "Dziadek" ujawnił się w 1956 r.

Można podać kilka danych liczbowych ukazujących działalność OP "Błyskawica". W ciągu niespełna dwóch lat (od kwietnia 1945 do lutego 1947) oddział wykonał ok. 350 akcji, m.in. 57 razy rozbił posterunki MO. Z rąk oddziałów "Ognia" poniosło śmierć, według danych MSW, 430 osób, w tym: funkcjonariuszy UB - 76, MO - 70, żołnierzy KBW i WP - 45, członków PPR - 28, żołnierzy sowieckich - 27, Żydów - 53, pozostałych (należy tu prawdopodobnie wliczyć konfidentów i donosicieli UB, członków ORMO, ZWM oraz złapanych w górach i podejrzanych o szpiegostwo) - 131. Podczas walk zginęło ponad 50 ludzi "Ognia", ujęto ok. 150 partyzantów, aresztowano ponad 200 współpracowników.⁶

Tak więc w lutym 1947 nowe władze, a szczególnie bezpieka, odetchnęły z ulgą - terrorem zgnieciono opór Podhala przeciwko narzuconemu systemowi. Rozplakatowana odezwa Powiatowej Rady Narodowej głosiła triumfalnie: "Zdemoralizowane wojsko grupy zbaczańców i nieodpowiedzialnych jednostek rabunkiem i mordem zakłócały tak bardzo potrzebny u nas spokój, unicestwiając

w ten sposób przyspieszenie normalizacji życia na Podhalu. Dzięki wysiłkom i ofiarności żołnierza Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Władz Bezpieczeństwa, bandy te zostały prawie w zupełności zlikwidowane."

Rodzając się legendy "Ognia" komuniści nie mogli jednak zniszczyć. 1 listopada 1947 r. pojawił się w Ostrowsku krzyż z napisem: "Tu zginął bohaterską śmiercią Dowódca AK mjr. "Ogień". A dziś? Będąc w Waksmundzie w 1984 r. widziałem zamalowane napisy świadczące o tym, że pamięć o Józefie Kurasiu jest żywa. I nie tylko w Waksmundzie, na całym Podhalu ludzie pamiętają o "Ogniu". Co prawda 40 lat fałszowania historii przez komunistów sprawiło, że górale przeważnie niewiele wiedzą na jego temat, lecz w niektórych domach znajdujemy książkę Wałacha lub nawet Machejka (!) tylko z tego powodu, że jest tam mowa o "Ogniu".

Mimo dezinformacji legenda zatem trwa. Jest to legenda współczesnego Janosika, odważnego, zuchwałego, wyżej ceniącego wolność i hyr nad życie. Legenda nieuchwytnego harnasia, króla Podhala, obrońcy górali przed przeemocą, krzywdą i niesprawiedliwością.

Jeszcze jednym dowodem żywotności legendy jest wydana w 1984 nakładem oficyny "Cdn" nowela pt.: *Śmierć "Ognia"* Juliusza Nemo. Książka ta dotarła do mnie już po napisaniu niniejszej pracy, lecz okazało się, że jej autor doszedł do podobnych wniosków co do motywów i oceny działalności "Ognia".

Władze obawiają się tej legendy tak bardzo, że do dziś nie ujawniły rodzinie miejsca, gdzie znajduje się grób Józefa Kurasia. Nie zezwolono nawet na wybudowanie w Waksmundzie pomnika ku czci ofiar okupacji niemieckiej.

Czy legenda mówi prawdę, czy też prawda o Józefie Kurasiu "Ogniu" była inna? Czy był bohaterem, czy bandytą? Antykomunistycznym partyzantem czy zdegenerowanym psychopatą? Świetnym dowódcą i odważnym żołnierzem, czy żądnym krwi i władzy prymitywem? Myślę, że odpowiedź jest jednoznaczna: "Ogień" z pewnością nie był bandytą. Słowo bandyta określa człowieka, który popełnia czyny przestępcze, zbrodnicze, kierując się niską motywacją. Bandytą jest ktoś, kto zabija dla pieniędzy, ale przecież nie nazywamy tak żołnierza czy partyzanta, który na wojnie zastrzelił przeciwnika. Wydawałoby się, że są to konstatacje oczywiste, lecz niestety nie wszyscy chcą pojąć do rozróżnienia. Żaden Polak nie nazywa konfederatów barskich bandytami, natomiast inaczej jest z oddziałami, które walczyły po 1945 r. Czy wielu jest historyków i publicystów, którzy odważą się napisać "oddział NSZ" albo "zgrupowanie Łupaszki" nie dodając obowiązkowo obraźliwego i fałszywego w większości wypadków słowa "banda"? A język potoczny, ukształtowany przez dziesiątki lat propagandy, jeszcze łatwiej posługuje się wpojonymi natrętnym powtarzaniem określeniami "bandy", "bandyci". Zupełnie jakbyśmy nie pamiętali napisów: "Achtung! Polnische Banditen!" "Ogień" zapisał: "12.XII.46 - (...) Chowaniec Stanisław - Łopuszna - wysiedlenie - nazwanie partyzantów bandytami". Sądzę, że my, żyjący 40 lat później, również nie mamy prawa obrażać pamięci jego i tysięcy innych poległych po 1945 r.

Na zakończenie warto jeszcze raz wrócić do sprawy etycznej oceny działalności "Ognia". Był twardy i nieubłagany, ale przecież także sprawiedliwy, oczywiście na tyle, na ile pozwalały warunki. Nie mógł sprawdzać prawdziwości meldunków, musiał być nieufny i podejrzliwy, aby przetrwać. Jakie są dowody poczucia sprawiedliwości "Ognia"? Choćby to, że podczas rozbijania posterunków milicji rozstrzeliwano tylko niektórych funkcjonariuszy, tych, którzy szczególnie terroryzowali społeczeństwo. Nie zawsze zabijano też konfidentów UB, ormowców czy żołnierzy ujętych w czasie akcji. Jeśli stwierdzano, że nie popełnili żadnych groźnych przestępstw przeciwko ludności i, że partyzantom, puszczano ich wolno.

Trudnym problemem jest sprawa walki z wojskiem. Żołnierze pochodzili w większości z przymusowego poboru i nie było ich wina, że zostali wcieleni do KBW. "Ogień" zdawał sobie sprawę z ich przymusowej sytuacji, walka z wojskiem była dla niego i dla innych partyzantów szczególnie trudna. Być może dlatego starał się unikać starć i wolał raczej uciekać niż się bronić. Zauważyliśmy też, że żołnierzy zginęło stosunkowo niewiele (z tego większość w bezpośredniej walce), a stanowili przecież główną siłę do walki z "Ogniem".⁷

O tym, że Józef Kuraś starał się być sprawiedliwy, świadczą również przypadki odwoływania kontrybucji, wysiedlania i innych kar, gdy oskarżeni potrafili wykazać swą niewinność. Przeciwno "Ogniom" świadczy natomiast zarzut mordowania Żydów i złego traktowania jeńców. Prawdopodobnie niekiedy okazywał się też zbyt podejrzliwy, gdy kazał rozstrzeliwać ludzi złapanych w górach, ale przecież turystów od "turystów" wysyłanych przez UB nie można było odróżnić. Przetrawianie oddziału było w takich przypadkach sprawą nadrzędną.

Wiele faktów z życia i działalności Józefa Kurasia pozostaje do dziś nieznanymi, wielu nie jesteśmy pewni. Nie wiadomo na przykład, czy OP "Byskawica" działał w ramach szerszej organizacji, czy też "Ogień" był samodzielnym, lokalnym dowódcą. Fakt używania przezeń pieczętki AK o niczym nie świadczy (poza sentymentem do tej nazwy), gdyż Armia Krajowa była od stycznia 1945 r. rozwiązana. Istniały kontakty z WiN-em, NSZ, lecz brak dokładniejszych o nich wiadomości. Z jednej z relacji wynika też, że "Ogień" utrzymywał kontakty z zagranicą przez kurierów, ale nic bliższego na ten temat również nie wiadomo. Pozostaje też zagadką, kto mianował "Ognia" majorem. Jak pamiętamy, wojnę zakończył jako porucznik. W 1946 r. oznajmił swoim ludziom, że otrzymał nominację na stopień majora. Partyzantów nazywano potem często "majorów". Te i inne zagadki czekają na rozwiązanie. Wiele spraw wyjaśni się po udostępnieniu archiwów, ale z pewnością nie wszystkie.

*

Wkrótce minie 40 rocznica śmierci Józefa Kurasia "Ognia". Jeśli legenda o nim żyje do dziś, to znaczy, że przetrwała próba czasu. Przewidział to Stefan Korboński, który na wiadomość o śmierci "Ognia" napisał: "Tak się skończył góralski epos. Już nie żyje tatrzański Janosik dwudziestego wieku, góral Józef Kuraś z Waksmundu, którego sława na Podhalu zaczęła mit poprzednika i żyć będzie przez wiele lat przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówić będą o nim juhasi wieczorami na halach, przy buzującym ognisku. Szeptać o nim będą babki wnukom w góralskich chałupach (...). Marzyć będą o jego sławie rośli chłopcy góralscy, którym Podhale wyda się za ciasne. I jeszcze wiele lat będzie, jak zmora, dusił we śnie ubeków.

A jeśli bezpieczeniaka pędzącego nocą autem po górskiej drodze, ściśniętym nieoczekiwany strach za gardło i przerażenie podniesie mu włosy na głowie, niech wie, że to cień "Ognia" wędrujący po szczytach i dolinach musnął go w przelocie".

PRZYPISY

1. Augustyn Suski był człowiekiem szlachetnym i ideowym, lecz okazało się, że w warunkach konspiracji cechy te mogą spowodzić katastrofę. Kiedy bowiem doszło w Placówce Naczelnej KT do głosowania nad sprawą oskarżenia Wagnera Romanowskiego o prowokację, Suski sprzeciwił się zdaniu reszty kierownictwa o uznaniu go winnym i wyrokowi śmierci. Ponieważ decyzje musiały zapadać jednogłośnie, Wagner ocalał. W 5 dni później A. Sus-

ki, a po nim inni działacze KT zostali aresztowani. "Pośród 187 członków Konfederacji, których nazwiska udało się ustalić po wojnie, blisko połowa zginęła w obozach koncentracyjnych, w więzieniach, w egzekucjach publicznych" (W.Wnuk)

2. Według niektórych źródeł, wyrok ten został później, dzięki interwencji "Rocha", cofnięty.
3. Niemal pogładowo odbywało się tworzenie władzy ludowej w pobliskim Zakopanem. 27.I., gdy Niemcy zaczęli opuszczać miasto, na ulicach pojawiły się patrole AK. Władzę przejął Zarząd Miejski związany z Delegaturą Rządu. Z oddziałów AK utworzono Milicję Miejską. Gdy 30.I weszły do Zakopanego wojska sowieckie, PFR-owcy udali się do komendanta miasta W. Macniewa i "prosilili o pomoc w zorganizowaniu władzy ludowej". Następnego dnia rozwiązano Zarząd i Milicję Miejską. Utworzono MO (komendant S. Gryziecki - PPR) i MRN (przewodniczący S. Łęczyski - PPR, komunistą z Warszawy, sekretarz S. Ringer - PPR, późniejszy szef UB).
4. Machejek przyznaje się zresztą do tego we wznawianej już kilkakrotnie książce *Rano przeszedł huragan*. Choć dotyczy ona postaci Józefa Kurasia, nie została tutaj potraktowana jako źródło, stanowi ona bowiem niewybredny, wyjątkowo kłamliwy paszkwil na "Ognia", pisany na dodatek w formie rzekomo autentycznego pamiętnika Machejka. Posuwa się on nawet do wydrukowania sfałszowanego dziennika "Ognia". Z pewnością inny dziennik - prawdopodobnie autentyczny - zamieszcza Wałach.
5. Omówienie treści i formy odezwu jest oparte na tekstach zamieszczonych przez Wałacha i Stysiaka. Konieczne więc staje się zastrzeżenie, że są one być może nieautentyczne (jak zauważył J. Nemo, ich nieporadny styl podejrzanie przypomina Machejka). Oto fragmenty tekstów:

Bracia Polacy! Na podstawie wywiadu ze strony UBP zostało stwierdzone, że wszystkie aresztowania, które nastąpiły od pierwszej chwili wystąpienia czerwonych zbirów, powstały przez zdradę naszych braci, którzy pieniądź wywyższają ponad życie ludzkie. (...) Pamiętajcie, że wszyscy zdrajcy, którzy wyrzekli się polskości, wstępując w szeregi konfidentów UBP, KBW, MO, ORMÓ lub zajęli kierownicze stanowiska celem śledzenia i tepienia prawdziwych Polaków będą na każdym kroku wieszani i strzelani, nie patrząc na ich pochodzenie (...) "Ogień".

Bracia Polacy! Nadszedł czas, kiedy będziemy bezwzględni i nieubłagani. Zginie każdy Żyd (pijawka krwi polskiej), PFR (Płatni Pachołkowie-Rosji), pracownik bezpieki (morderca, kat i rabuś). Każdy konfident bezpieki, który jest największym zdrajcą, ponieważ on wszystko donosi i przez niego naród Polski w tak okrutny sposób cierpi (...).

Bracia Rodacy! (...) My, Polacy nieugięci, których nikt nie potrafi załamać na duchu, wytrwamy i zwyciężymy zbira komuny. Nie pomogą mordy niewinnych Polaków, wywożenia na Sybir, likwidowanie najcenniejszych ludzi bez śladu, bo za kilka dni narodzi się Chrystus nasz opiekun (...). Z pieśnią na ustach "Bóg się rodzi" pójdziemy razem w krwawy bój z czerwonymi zbirami, żydostwem i opryszkami demokracji (...) i zwyciężymy ostateczny bój, a komuna przepadnie na wieki (...). "Ogień"

6. Dalsze ich losy nie doczekały się jeszcze opracowania. Dla przykładu można podać, że w sierpniu 1947 r. odbył się w Krakowie proces jedenastu członków oddziału, wśród których znajdowała się "Stokrotka", 19-letnia Janina Polaczykówna, siostra żony "Ognia". Trzech oskarżonych (m.in. Jana Srala "Potrzaska") skazano na śmierć z zamianą na 15 lat więzienia. "Stokrotka" otrzymała wyrok 3 lat więzienia.
7. W dwa dni po zastrzeleniu 10 żołnierzy KBW znajdujemy w dzienniku "Ognia" notatkę: "6.V. Rozbrojono 12 ludzi pod dow. ppor., koszary, zwolniono z bronią".

BIBLIOGRAFIA

Okres do 1945 r.:

1. Sylwester Leczykiewicz, *Konfederacja Tatrzańska*. Warszawa 1966 (wyd. 2 w 1973).
Jedyna praca na temat KT, niestety wydana z pominięciem obszernych partii oryginału dotyczących działalności zbrojnej konfederatów, czyli walk oddziału "Ognia".
2. Włodzimierz Wnuk, *Walka podziemna na szczytach*. Warszawa 1980. Wyd. 4.
Historia Podhala w latach 1939-45. Niestety postać i działalność Józefa Kurasia zostały prawie zupełnie pominięte.
3. Alina Fitowa, *Bataliony Chłopskie w Małopolsce 1939-1945*. Kraków 1984.
Szczegółowa, oparta na bogatej bazie źródłowej praca, zawierająca wiele faktów rzucających nowe światło na postać "Ognia" w kontekście ogólnej linii politycznej RL.

Okres 1945-47

1. Marian Stysiak, *Z walk z podziemiem zbrojnym na Podhalu w: Z walk przeciwko zbrojnemu podziemi 1944-1947*, red. M. Turlejska. Warszawa 1966.
Praca pisana na Wojskowej Akademii Politycznej szczegółowo omawia rolę KBW w walce z "Ogniem". W warstwie politycznej oczywiście nieobiektywna, natomiast organizacja militarnych akcji sił bezpieczeństwa przedstawiona została szeroko i dokładnie.
2. Stanisław Wałach, *Był w Polsce czas*. Kraków 1971. Wyd. 2.
Autor, płk. UB, na podstawie milicyjnych archiwów i wspomnień swoich kolegów omawia działalność "Ognia" (bardzo tendencyjnie, choć z widocznym respektem) oraz akcje bezpieki.

spis treści

Przewodnik po numerze.....	3
Ks. Piotr Skarga WZYWANIE DO POKUTY.....	6
O SZATANIE, GRZECHU I KOMUNIZMIE rozmowa z ks. St. Małkowskim.....	7
Ks. St. Małkowski HOMILIA.....	15
DOKUMENTY - ks. St. Małkowski - Episkopat.....	19
Andrzej Neut DŁONIE BEZ STYGMATÓW. TRZEBA POCHWALIĆ CZEKISTĘ.....	28
Curzio Malaparte LEGENDA LENINA.....	29
Norman Davies POLSCY KOMUNISCI.....	55
MY, SOCJALISCI rozmowa z Lidą Ciołkoszową.....	76
KRAJOBRAZ PODZIEMIA.....	82
SB-WŁADZTWO.....	97
Marcin Stop KLARNET.....	107
Bohdan Nagórski UGIEN.....	114

W numerze zamieszczono collages Głosza - str. 65 - 72

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

BUZATTI
KRASIŃSKI
wańkowiec
forsyth
piasecki

POKOLENIE cena **600**